

Nowy bestseller „New York Timesa”

JAYNE ANN
KRENTZ

KIEDY
WSZYSTKIE
DZIEWCZYNY
ODEJDA


AMBER

JAYNE ANN
KRENTZ

**KIEDY
WSZYSTKIE
DZIEWCZYNY
ODEJDĄ**

Przekład
EWA SPIRYDOWICZ



Korekta

Hanna Lachowska

Joanna Złotnicka

Projekt graficzny okładki

Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce

© Oleg Gekman | Dreamstime.com

Zdjęcie autorki

Marc von Borstel

Tytuł oryginału

When All The Girls Have Gone

Copyright © 2016 by Jayne Ann Krentz

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana

ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu

bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition

Copyright © 2017 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6295-6

Warszawa 2017. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego

P.U. OPCJA

Frankowi z miłością

Rozdział 1

Zabójca czeka cierpliwie, aż ofiara wyjdzie z leśnej chaty.

Bo przecież nie ma pośpiechu. Czekanie pozwala rozkoszować się smakiem zemsty.

W sumie to całkiem przyjemne, tak sobie czekać, z omszałym pniem za plecami, ze strzelbą pod ręką. Koniec lata w górach Cascades to cudowna pora roku. Fakt, turyści tłoczą się na wąskich górskich drogach i zatrzymują na każdym zakręcie, żeby pstrykać zdjęcia. Zostawiają po sobie sterty śmieci na polanach piknikowych. Ale wraz z nadejściem jesieni uciekną, wypłoszą ich pierwsze burze, wichury i ulewy. A w zimie, kiedy spadnie śnieg, drogi stają się nieprzejezdne.

Teraz jednak ciepły wiaterek kołysze gałęziami, niesie zapach drzew i roślinności rozkoszującej się krótkim górskim latem.

Przyszedł czas, żeby pomyśleć o przeszłości, o wszystkich niesprawiedliwościach, za którymi stoi mężczyzna w leśnej chacie. Podczas wstępnych przygotowań pojawiały się wątpliwości, czy kiedy przyjdzie co do czego, nie zadrży ręka. Ale nie, nie było obaw, była tylko pewność.

Drzwi chaty otwierają się i Gordon Greenslade wychodzi na werandę. Zawsze był przystojny i nawet starzał się pięknie. Jego włosy mieniły się srebrzyście, nie straszyły ponurą siwizną. Nadal był szczupły i zwinny, wiek tylko nieznacznie złagodził ostre rysy.

Trzyma w ręku kubek z kawą. Zabójca rozpoznaje ten kubek. Stary, ręcznie zrobiony i malowany. Jak wszystko w leśnej chacie, jest zużyty i wypłowiały.

W dzisiejszych czasach Greenslade korzystał z chaty, żeby polować i łowić, i żeby odpocząć od stresów związanych z pozycją najważniejszego mieszkańca miasteczka. Stał na czele firmy, która była drugim co do wielkości pracodawcą w Loring; przez ostatnich kilka lat palmę pierwszeństwa dzierżył miejscowy college. Co ważniejsze, miał w kieszeni lokalnych polityków, władze uczelni i kilku przedstawicieli w kongresie stanowym. Jeśli wierzyć plotkom, miał też haki na co najmniej jednego senatora.

Wszyscy w Loring szanowali Gordona Greenslade'a, a niejeden był jego dłużnikiem. Był wyniosły, zadufany w sobie – filar lokalnej społeczności, ale tak naprawdę nikt go nie lubił. Zabawne będzie obserwować, ile autentycznego wysiłku policja włoży w poszukiwanie mordercy.

Zabójca wychodzi na polanę przed chatą. Musi upłynąć dłuższa chwila, zanim Gordon zda sobie sprawę, że ma towarzystwo. Jest zaskoczony, ale szybko bierze się w garść i zdziwienie przeradza się w irytację.

– Co ty tu robisz? – pyta.

Zabójca nie zwraca sobie głowy odpowiedzią. Jakby nie było, sprawa jest raczej jasna.

Greenslade za późno orientuje się, że lufa jest skierowana w niego. Na jego twarzy malują się gniew i strach.

Chce uciec do chaty, w której pewnie ma broń, ale nie jest dość szybki. Kula trafia go w pierś.

Strzał w głowę byłby za prosty, bo wówczas śmierć nastąpiłaby natychmiast, a wtedy zabójca nie mógłby patrzeć, jak jego ofiara się wykrwawia. Nie byłoby czasu, by Greenslade zrozumiał, że tu chodzi o zemstę.

Śmierć Gordona Greenslade'a trafiła na pierwsze strony lokalnej gazety „Loring Herald”. Tej rewelacji towarzyszył autentyczny szok – jakby nie było, Greenslade był najgrubszą rybą w miasteczku – ale nie autentyczny żal. Mimo to wszyscy zadbali, by okazać zmarłemu należny szacunek, bo śmierć Gordona Greenslade'a nie zmieniła niczego w miejscowych układach ekonomiczno-politycznych. Rodzina Greenslade'ów nadal była drugim co do wielkości pracodawcą w Loring i pociągała za sznurki we władzach college'u, czyli głównego miejsca zatrudnienia mieszkańców. Miasto istniało tylko dzięki Greenslade'om.

Policjanci zrobili, co do nich należało, przeprowadzili dochodzenie, ale ostatecznie doszli do wniosku, o który chodziło zabójcy: Gordon Greenslade zginął przypadkowo, od zabłąkanej kuli myśliwego, który być może nawet nie zdawał sobie sprawy, że kogoś zabił. W każdym razie było mało prawdopodobne, że uda się poznać tożsamość sprawcy.

Wszyscy mieszkańcy tych okolic wiedzieli, że góry są bardzo niebezpieczne. Jesienią potoki wzbierają do niebezpiecznych poziomów, porywają nieszczęśników, którzy nierozważnie zbliżyli się do brzegu. Lawiny błotne blokowały drogi. Wichury obalały drzewa, które spadały na samochody. A zimą co roku lawiny śnieżne pozbawiały życia kilku narciarzy i snowboardzistów. Latem zaś niejedynemu wędrowiec zniknął bez śladu w rozpadlinach i wąwozach.

A do wypadków podczas polowań dochodziło przez cały rok.

Rozdział 2

...i wtedy go zabiłam.

Ethel Deeping podniosła wzrok znad kartek pamiętnika. Uśmiechała się dumnie; najwyraźniej czekała na aplauz publiczności.

W pierwszej chwili pozostałych członków kółka literackiego *Opisz Swoje Życie* z wrażenia zamuroowało.

A potem przez salę przemknęły pomruki dezaprobaty, które wkrótce weszły do rozmiarów świętego oburzenia.

– Nie możesz tego umieścić we wspomnieniach – orzekła Hazel Williams z ostatniego rzędu i uderzyła laską o podłogę, żeby podkreślić wagę swoich słów. – Mamy spisywać historię naszego życia, a nie bajki. Ci od fikcji spotykają się w środy wieczorem.

– Tak jest – poparł ją Bob Perkins. – To mają być wspomnienia. Musisz przestrzegać zasad. Jak chcesz pisać kryminały, dołącz do innej grupy.

Ethel zmrużyła oczy.

– To są moje wspomnienia i będę je opowiadała tak, jak mi się żywnie podoba.

Charlotte Sawyer, która siedziała na przodzie małej salki, uniosła rękę, prosząc o ciszę. Gniewne pomruki ustały. Wszyscy patrzyli na nią.

Była zdecydowanie najmłodszą osobą w grupie. Czwartkowe popołudniowe zajęcia *Opisz Swoje Życie* cieszyły się sporą popularnością wśród pensjonariuszy osiedla Deszczowe Ogrody. Był to jeden z pierwszych kursów, które zorganizowała jako dyrektorka do spraw edukacyjno-społecznych. Pracowała tu od roku, gdy, po kolejnych nudnych posadach w Portland w stanie Oregon, posłuchała rady przyrodniej siostry i przeniosła się do Seattle. Natychmiast znalazła tę posadę i pięć minut po tym, jak objęła nowe stanowisko, wiedziała już, że znalazła swoje miejsce na ziemi.

Organizowanie warsztatów, kursów, szkoleń i wieczorków towarzyskich w osiedlu Deszczowe Ogrody dla osób starszych to nie to samo co pełna blichtru praca jej przyrodniej siostry, Jocelyn, która pracowała w fundacji znanego biznesmena. Jej zadaniem było pozyskiwanie środków i dlatego często podróżowała w egzotyczne zakątki świata i obracała się wśród znanych i bogatych – wszystko po to, żeby ich namówić do wpłaty na rzecz fundacji. Mimo to Charlotte nie zamieniłaby się z nią miejscami. Żadna praca do tej pory nie sprawiała jej tyle satysfakcji.

Jedyny – niestety, niemały – minus jej posady to fakt, że w drodze do biura przechodziła koło tablicy pamiątkowej w holu. Niemal każdego tygodnia pojawiał się na niej nowe nazwisko. Ze względu na swoje stanowisko znała właściwie wszystkich pensjonariuszy; często także utrzymywała kontakty z ich rodzinami.

Podczas roku w osiedlu Deszczowe Ogrody uczestniczyła w większej ilości pogrzebów niż większość ludzi przez całe życie. I niepostrzeżenie zaczęło się zmieniać jej podejście do śmierci.

Powoli do niej docierało, że zanim zjawiała się w Deszczowych Ogrodach, żyła głównie przyszłością. Jako mała dziewczynka czekała wiecznie na święta, wakacje i urodziny i przede wszystkim na to, że w końcu dorośnie. Kiedy już do tego doszło, okazało się, że dorosłość wcale nie jest taka fajna, jak sądziła. Co gorsza, przyszłość zdawała się boleśnie nieprzewidywalna.

W osiedlu Deszczowe Ogrody zrozumiała w końcu, że bez względu na wiek, ilekroć spoglądasz wstecz, wydaje ci się, że twoje życie trwało zaledwie chwilę. Przeszłości nie sposób zmienić, przyszłość jest nieznana. Od pensjonariuszy Deszczowych Ogródów uczyła się, że tajemnica szczęśliwego życia to umieć żyć tu i teraz.

Uśmiechnęła się ciepło do Ethel Deeping i pozostałych.

– Ethel zauważyła coś bardzo ważnego – zaczęła. – Może opowiadać swoją historię, jak jej się żywnie podoba. I jest niezaprzeczalnym faktem, że było wielu bardzo znanych autorów pamiętników, którzy, żeby ująć to delikatnie, nieco koloryzowali swoje wspomnienia.

– Żeby były ciekawsze – dopowiedziała Ethel.

– Ale tak nie można! – zagrzemiał Ted Hagstrom.

Ted, emerytowany inżynier, zawsze skrupulatnie przestrzegał zasad.

Kolejna fala gniewnych pomruków. Charlotte znowu poprosiła o ciszę.

– Zanim skrytykujemy pracę Ethel, zapytajmy ją, dlaczego w tak niekonwencjonalny sposób zakończyła rozdział poświęcony jej małżeństwu – zaczęła. – Ethel?

Ethel się rozpromieniła.

– Bo tak jest ciekawiej.

– To fakt – przyznała Charlotte. – Ale czy to pasuje do tego wszystkiego, co od ciebie wiemy o twoim mężu? Dałaś nam jasno do zrozumienia, że pan Deeping był wspaniałym mężem i filarem lokalnej społeczności. Wspominałaś, że regularnie uczęszczał do kościoła, że służył w wojsku i że wszyscy go lubili.

– I dobrze grał w golfa – dodała Ethel.

– No właśnie. – Charlotte odchrząknęła.

– Bardzo był przystojny w mundurze. – Ethel mruknęła znacząco. – Nigdy nie odrzucaj faceta w mundurze. Bo wiesz, tak właśnie go poznałam. Byliśmy oboje w wojsku. Ja byłam pielęgniarką. Odeszłam, żeby po ślubie zająć się dziećmi.

– Tak, mówiłaś. Podkreślałaś też, że po jego śmierci było ci ciężko wychować dwoje dzieci i wiązać koniec z końcem.

– Tak było.

– Może więc, mimo uczucia do męża, w głębi duszy masz do niego żal, że osierocił cię i dzieci? – podsunęła delikatnie Charlotte.

– Cóż, po jego śmierci rzeczywiście niełatwo było związać koniec z końcem – przyznała Ethel. – Ale daliśmy radę. – Rozpromieniła się. – Nie wiem, czy wiecie, ale mój syn jest lekarzem. A córka prawniczką.

– Tak, jakieś dwadzieścia czy trzydzieści razy wspominałaś, że twoim dzieciom się udało – prychnęła Hazel Williams. Nie starała się nawet ukryć wrogości.

Hazel Williams wychowała troje dzieci, ale w jej wspomnieniach pojawiała się tylko dwójka – córka nauczycielka i syn robotnik budowlany. Choć skrupulatnie odnotowała narodziny drugiego syna na rodzinnym drzewie genealogicznym, nie wspominała o nim ani słowem. Każda rodzina ma swoje tajemnice, pomyślała Charlotte. Niepisaną zasadą tego kursu było założenie, że każdy uczestnik ma prawo do tajemnic. Nikomu nie wolno węszyć w cudzym życiu.

– Chciałam tylko powiedzieć, że po śmierci Harolda dobrze sobie radziliśmy – zauważyła Ethel.

– To chyba jasne – wtrąciła Charlotte. Chciała zmienić temat. – To nie lada osiągnięcie wychować samodzielnie dwoje dzieci i jednocześnie pracować na pełen etat. Możesz być z siebie dumna.

Stan Barlow zachnął się.

– Dlaczego wszyscy uważają to za nie lada osiągnięcie, gdy kobieta sama wychowuje dzieci? Kiedy to samo robi mężczyzna, nikt tego nie zauważa.

Mildred Hamilton, która siedziała przed Stanem, odwróciła się do niego.

– Nie znam żadnego mężczyzny, który sam wychowywał dzieci. Wszyscy znani mi faceci, których żony umarły albo od nich odeszły, znaleźli sobie nowe partnerki w ciągu pół roku. Jak ty.

Stan poczerwieniał. Miał na koncie trzy małżeństwa.

– Ja tylko zadałem logiczne pytanie – mruknął.

– Chyba zbaczamy z tematu – zauważyła Charlotte. Wstała i znacząco spojrzała na wielki ścienny zegar. W osiedlu Deszczowe Ogrody wszystkie zegary miały duże, czytelne cyferblaty. – Zajęcia dobiegają już końca, zaraz zaczyna się happy hour w sali kominkowej. Zadanie na przyszły tydzień – wspomnienie na temat: moja pierwsza praca.

Większość pamiętnikarzy wstała z trudem, zabrała laski i chodziki i żwawo opuszczała salę. Happy hour to kolejna atrakcja, którą wprowadziła Charlotte. Zarząd ośrodka początkowo odnosił się do pomysłu sceptycznie, ale Charlotte trafnie zauważyła, że część rezydentów i tak wypija co wieczór lampkę wina w zaciszu swego apartamentu. Przekonała szefa, że wspólna happy hour to lepsze rozwiązanie. Po pierwsze, stwarzało kolejną okazję do spotkań towarzyskich w

grupie społecznej mocno zagrożonej samotnością, po drugie – było bezpieczniejsze niż picie do lustra.

Pomysł spotkał się z tak entuzjastycznym przyjęciem, że Charlotte była święcie przekonana, że rezydenci zbuntują się, gdyby nagle z niego zrezygnowano. Mało jednak prawdopodobne, żeby wykreślono akurat tę pozycję z grafika zajęć, bo okazało się, że wieczorek z winem ma dodatkową zaletę. Codzienna lampka alkoholu okazała się nie lata atutem na mocno konkurencyjnym rynku ośrodków dla seniorów.

Ethel poczekała, aż wszyscy wyjdą, a potem wstała, chwyciła poręcz chodzika i przeszła Charlotte przenikliwym spojrzeniem.

– Nadal uważam, że zabójstwo Harolda to najlepsze zakończenie – obstawała przy swoim. – Bardziej dramatyczne. Tak jak ta sytuacja, kiedy narzeczony zostawił cię przed ołtarzem.

Charlotte starała się za bardzo nie krzywić.

– Drastyczne, a jakże – mruknęła. – Ale pamiętaj, piszesz dla dzieci, wnuków, prawnuków. Te wspomnienia staną się częścią rodzinnej historii, będą przechodzić z rąk do rąk, z pokolenia na pokolenie. Zjawią się w Internecie. Jeśli twoje dzieci zakwestionują prawdziwość twoich słów w jednym punkcie, być może przekreślą całość rodzinnej historii.

– Hm. – Ethel zmrużyła oczy. – O tym nie pomyślałam.

– Radzę to przemyśleć – podsunęła Charlotte. – Spisywanie wspomnień łączy się ze specyficzną odpowiedzialnością.

– Dobrze – mruknęła Ethel. – Przemyślę to. A teraz muszę się przebrać na happy hour.

Charlotte uśmiechnęła się.

– Dobrej zabawy.

– Zawsze świetnie się bawimy. – Ethel zatrzymała się przy drzwiach i tak manewrowała chodzikiem, że znowu patrzyła na Charlotte. – Miałaś szczęście, wiesz?

– Jak to?

– Pomyśl tylko, co byłoby, gdybyś jednak wyszła za tego dupka.

– Tak się akurat składa, że naprawdę sporo o tym myślałam i muszę przyznać ci rację, Ethel. Miałam szczęście.

– No właśnie. Pamiętaj o tym, spisując własne wspomnienia.

– Dobrze. – Charlotte uśmiechnęła się.

Ethel zniknęła za drzwiami.

Charlotte wsłuchiwała się w odgłos jej kroków na korytarzu. Ethel nie była pierwszą, która zwracała jej uwagę na fakt, iż w sumie uniknęła gorszego losu. Wszyscy w Deszczowych Ogródach – pensjonariusze i pracownicy – wiedzieli o klęsce z Brianem Conroyem, bo wszystkich zaprosiła na wesele.

Wymyśliła sobie uroczystość w sali kominkowej. Jocelyn była oburzona, proponowała, że w prezencie ślubnym znajdzie i opłaci młodej parze bardziej eleganckie miejsce; pracowała w znanej fundacji i miała dojścia w różnych ciekawych lokalizacjach. Charlotte jednak uparcie obstawała przy swoim. Tłumaczyła, że dopiero od niedawna mieszka w Seattle i większość jej przyjaciół i znajomych to pracownicy i mieszkańcy Deszczowych Ogrodów, więc wesele właśnie w ośrodku wydawało się logicznym rozwiązaniem. Zwłaszcza że większości rezydentów trudno byłoby dostać się do lokalu poza ośrodkiem. Tylko nieliczni nadal siadali za kierownicą.

Nadchodzące wesele było tematem numer jeden przez wiele tygodni, więc nic dziwnego, że kiedy pięć dni przed uroczystością rozeszła się wieść, że ślubu nie będzie, zaskoczyła wszystkich. Jakby nie było, to było najbardziej dramatyczne wydarzenie w życiu pensjonariuszy, nie licząc alarmu pożarowego, który kilkoro wzięło za autentyczne zagrożenie.

Naprawdę miała szczęście, powtarzała sobie Charlotte. Ale na myśl, że mało brakowało, a wyszłaby za Briana Conroya, pseudonim Książę z Bajki, i skompromitowała się nie tylko we własnych oczach, ale też Jocelyn, przeszył ją dreszcz.

Wiele razy zastanawiała się, jakich cech szuka u męża idealnego, wydawało się, że w przypadku Briana każdą z nich może spokojnie odhaczyć. Brian był sympatyczny, otwarty i dobrze wychowany. Wydawał się troskliwy i dobry. Był inteligentny, ciekawy, miał dobrą pracę – wykładał socjologię w college'u. Łatwo się z nim rozmawiało. Łączyły ich te same upodobania: kochali spacerować, muzykę symfoniczną i tak dalej.

Książę z Bajki. Jasne. Czy coś mogłoby pójść nie tak? Ach, taki drobiazg. Bajki to fikcja.

I choć bardzo przeżyła ślub, którego nie było – najgorsze były wyrazy współczucia – w głębi duszy wiedziała, że nie może o to obwiniać Briana, w każdym razie nie tylko jego. Wiedziała doskonale, czemu stchórzył w ostatniej chwili. Terapeutka uświadomiła jej, że musi wziąć na siebie sporą część odpowiedzialności za to, co się wydarzyło. Chciała, jak zawsze, trzymać się rozsądku. I koniec końców Brian zdał sobie sprawę, że jego narzeczona jest po prostu nudna.

Musisz opuścić strefę komfortu, tłumaczyła terapeutka. Musisz spróbować czegoś nowego, otworzyć się na nowe doświadczenia.

Próbowała. Zapisła się na kurs kajakowy i szybko doszła do wniosku, że nie lubi się moczyć w lodowatej wodzie. Potem były narty – nie znosiła upadać w śnieg. W akcie rozpaczki kupiła rower, chcąc, że względu na środowisko, jeździć nim do pracy, ale i ten plan spalił na panewce, kiedy mało brakowało, a wpadłaby pod ciężarówkę.

Skończyło się na kursie medytacji. Terapeutka nie była zachwycona.

A tak naprawdę teraz, gdy rozpacz już tak bardzo nie bolała, Charlotte ze zdumieniem stwierdziła, że czuje przede wszystkim ulgę. Ethel miała rację. Naprawdę miała szczęście. Co oczywiście nie znaczyło, że wybaczyła Brianowi. W końcu miała swoją dumę.

Zebrała dokumenty i notes i ruszyła do drzwi. Mijając salę kominkową, zajrzała do środka. W tle grała muzyka sprzed lat, nie zagłuszając jednak ożywionych rozmów.

Nagle pożałowała, że nie umówiła się z nikim na drinka po pracy. Zazwyczaj w takiej sytuacji dzwoniła do Jocelyn i umawiała się z nią w knajpcie w centrum, ale Jocelyn wyjechała na cały miesiąc.

Zatrzymała się przy tablicy pamiątkowej, by spojrzeć na zdjęcia niedawno zmarłych pensjonariuszy. Na fotografiach prawie zawsze byli w kwiecie wieku, mężczyźni – w mundurach wojskowych albo dobrze skrojonych garniturach, kobiety w kreacjach z minionych dekad. Niektórzy mieli stroje ślubne i blask w oczach, pełnych nadziei na wspólną przyszłość.

Według Charlotte żadne z nich nie spodziewało się, że na starość wyląduje w domu seniora Deszczowe Ogrody. Ale przecież nawet ci z tablicy pamiątkowej przeżyli wszystko, co szykował im los – tragedie, traumy, rozczarowania i ból – i po latach opowiadali swoją historię w Deszczowych Ogrodach.

I tak samo ona, po latach, opowie o sobie swoim przyjacielom, sąsiadom, i może też wnukom, dumiała Charlotte.

Weszła do kantorka, zapisała kilka uwag do następnych zajęć i przejrzała plan.

W progu stała Sarah Jameson. Była to szczupła atrakcyjna sześćdziesięciolatka, która gustowała w eleganckich kostiumach i czarnych szpilkach. Oparła się o framugę i uśmiechnęła.

– Podobno dzisiaj było burzliwie – zaczęła. – Ethel Deeping uśmierciła męża we wspomnieniach?

– Plotki szybko się rozchodzą – zauważyła Charlotte.

– Alkohol rozwiązuje języki.

– Kursantom czasami umyka granica między spisywaniem wspomnień a fikcją literacką – wyjaśniła Charlotte. – Ethel zaklina się, że jej mąż był filarem lokalnej społeczności, ale wydaje mi się, że nadal ma do niego żal. Umarł, kiedy ich dzieci były jeszcze małe, zostawił ją samą i wydaje mi się, że Ethel w ten sposób chce się na nim zemścić. No i, jak sama twierdzi, tak jest bardziej dramatycznie.

– I tu ma rację. – Sarah zachichotała. – Kto jej zabroni pisać, co tylko zechce? Zresztą sama mówiłaś, że spisywanie wspomnień to forma terapii.

– Fakt. – Charlotte spojrzała w okno. Nadal padało. Sięgnęła pod biurko po

kalosze, zdjęła pantofle. – Problem w tym, że pozostali mają do Ethel żal, że koloryzuje.

– Nie wierzę, że tylko ona to robi.

– Widzę co innego. – Charlotte założyła kalosze. – Większość moich kronikarzy koncentruje się na tym, co w ich życiu było dobre, a pomija gorsze okresy.

– I co w tym złego?

– Nic. – Charlotte wstała, zdjęła kurtkę z wieszaka. – Wyparcie ma zalety, to pewne. Nauczyłam się tego, pracując tutaj. Najszczęśliwsi rezydenci to ci, którzy na nowo napisali swoje życie.

Wyjęła torebkę z szuflady i przewiesiła sobie przez ramię.

– Jocelyn się odezwała?

– Nie. O dziwo, chyba odpowiada jej życie w klasztorze. Szczerze mówiąc, nie wierzyłam, że wytrzyma tam choćby tydzień. Przecież Jocelyn jest uzależniona od Internetu. Założyłam się z nią o dziesięć dolarów, że nie wytrzyma miesiąca bez poczty elektronicznej.

– Cóż, na razie nie ma jej tylko tydzień. Jeszcze możesz wygrać ten zakład. Jakies plany na wieczór?

– Nie. Zajrzę do Jocelyn, podleję kwiaty, wyjmę pocztę ze skrzynki i tyle. A ty?

– Nie, ale już nie mogę się doczekać weekendu. Wybieramy się z mężem na wybrzeże. Nadciąga sztorm, a ja uwielbiam plażę podczas burzy.

– Hm – mruknęła Charlotte. – Do jutra.

Przeszła przez hol, pożegnała się z pracownikami recepcji i wyszła na deszczowe popołudnie. Zatrzymała się przy wejściu i przeanalizowała w myślach rozmowę z Sarah. Nie podobało jej się zakończenie.

Jestem singielką w określonym wieku i nie mam żadnych planów, ani na dzisiaj, ani na weekend, stwierdziła. Żałosne. Spędziła zdecydowanie za dużo czasu, oplakując związek z Brianem Conroyem. Czas zacząć na nowo żyć.

Naciągnęła kaptur na głowę – w Seattle tylko turyści noszą parasole – i wyszła na deszcz.

Jedną z wielu zalet pracy w Deszczowych Ogrodach był fakt, że do domu miała tylko dwadzieścia minut piechotą. Właściwie, jak się nad tym zastanović, wszystko, co ją interesowało, znajdowało się w odległości dwudziestominutowego spaceru. Seattle miało wszystkie wygody wielkiego miasta, ale jednocześnie pod wieloma względami nadal zachowało czar małej miejsciny. Abstrahując od Briana Conroya i deszczu, dobrze, że posłuchała rady Jocelyn i przeprowadziła się tu z Oregonu.

Na mały parking przed wejściem wjechał drogi samochód. Drzwiczki od strony kierowcy otworzyły się i ze środka wysiadł mężczyzna. Podbiegł do

odsłoniętego wejścia. Na widok Charlotte uśmiechnął się z nutą męskiej satysfakcji.

– Ależ leje – zauważył. – Dobrze chociaż, że nie jest zimno.

– Fakt – mruknęła.

– Za młoda pani na rezydentkę – powiedział. – Odwiedzała pani kogoś?

– Nie, pracuję tutaj.

– Tak? – Zerknął na drzwi. – Liczyłem, że ma tu pani kogoś.

– Dlaczego?

– Bo chciałem zapytać, co pani sądzi o tym ośrodku. Dostałem zadanie od rodziny – mam znaleźć odpowiedni ośrodek dla babci. Ale skoro pani tu pracuje, nie będzie pani obiektywna, prawda?

– Pracuję tu, bo bardzo mi się tu podoba – odparła. – W środku znajdzie pan pracowników, którzy odpowiedzą panu na wszystkie pytania, ale tak naprawdę powinien pan przywieźć tu babcię, żeby sama się rozejrzała. Przeprowadzka do takiego miejsca to spora zmiana w życiu – niech sama podejmie decyzję.

Jezu, jaka mądralińska, nawet we własnych uszach. Niemal słyszała komentarz Jocelyn:

Tak jest, Charlotte, przystojny facet posyła ci seksowny uśmiech i zadaje proste pytanie, a ty od razu wygłaszasz wykład. Wyluzuj, dziewczyno.

Nieznamy uśmiechnął się szerzej.

– To prawda – przyznał. – Po prostu oglądam różne ośrodki. Babcia spędziła pięćdziesiąt lat w jednym miejscu. Przeraza ją przeprowadzka do ośrodka pełnego obcych.

Charlotte poczuła grunt pod nogami. Co tam flirty, pomyślała. Trzymaj się tego, co dobrze znasz.

– Czy babcia przypadkiem grywa w brydża? – zapytała.

Chyba zaskoczyła go tym pytaniem, ale szybko wziął się w garść.

– No ba! Jest królową brydża.

– W takim razie trafił pan idealnie – zapewniła. – Kiedy tylko rozejdzie się wieść, że gra, znajdzie nowych przyjaciół.

– Dzięki. Przekażę jej. – Zawahał się, jakby nie wiedział, czy powiedzieć coś jeszcze. – A w co my będziemy grać w jej wieku?

– Gry komputerowe.

Zachichotał i w jego głosie znowu pojawiły się ciepłe nuty.

– Pewnie tak. Cóż, dzięki za informacje.

Otworzył szklane drzwi i zniknął w holu.

Charlotte wyszła na deszcz. Szła energicznym krokiem. Rozbawiła go na chwilę. To dobrze, stwierdziła. Gorzej, że wcale nie miała takiego zamiaru. Rzuciła: gry komputerowe, bo naprawdę było to pierwsze, co przyszło jej do głowy w odpowiedzi na jego pytanie.

Nie flirtowała z nim, a jednak w tej rozmowie była pewna iskra i ta myśl poprawiła jej humor. Może jednak Brian Conroy nie do końca wszystko zepsuł. Może po prostu musiała odczekać pewien czas.

Coś kazało jej obejrzeć się za siebie. Nie spodziewała się znowu go zobaczyć, teraz pewnie stoi przy recepcji, wypytuje pracowników, może zwiedza ośrodek.

Zdziwiła się, gdy zobaczyła go za przeszklonymi drzwiami. Była niemal pewna, że ją obserwuje.

Świadomość, że spodobała mu się na tyle, że odprowadzał ją wzrokiem, powinna wzbudzić kolejną falę kobiecej satysfakcji, ale nie wiadomo dlaczego wywołała nagły niepokój.

Super, teraz jeszcze popadam w paranoję.

Przyspieszyła kroku, jakby nagle w pełni poczuła przenikliwy chłód dnia chylącego się ku końcowi. Nagle zapragnęła znaleźć się w klasztorze, razem z Jocelyn. Podobała jej się myśl o kilku tygodniach z dala od rzeczywistości, ale pracowała w Deszczowych Ogrodach od zaledwie roku i nie miała szans na miesiąc wolnego.

Obiecywała sobie, że po powrocie do domu włączy aplikację medytacyjną, którą kupiła po kursie uważności.

Rozdział 3

Max Cutler stał pośrodku saloniku Louise Flint i wczuwał się w pustkę. Zawsze daje się ją wyczuć w mieszkaniu zmarłych – przynajmniej on ją wczuwał.

Kiedy stawiał pierwsze kroki jako profiler, kolega z pracy powiedział mu, że to jego wyobraźnia ściąga cały ten mrok. Gdyby nie wiedział, że ktoś tu umarł, nie odbierałby tego w ten sposób.

Ale wiedział, że Louise Flint umarła właśnie tutaj, w tym mieszkaniu, w którym teraz był, i wczuwał pustkę. Oczywiście monotony deszcz i szara pokrywa chmur nie poprawiały sytuacji. Przeprowadził się do Seattle pół roku wcześniej i liczył się z okrytą niesławą pogodą tego miasta. Dzisiaj jednak szczególnie mocno wczuwał atmosferę.

– Gliniarze są pewni, że to samobójstwo – powiedział Daniel Flint. – Ale ja nie wierzę, żeby Louise przedawkowała, celowo czy przypadkowo.

– Uważa pan, że została zamordowana – stwierdził Max spokojnie.

– Proszę się rozejrzeć – odparł Daniel. Zatoczył łuk ręką. – Przecież od razu widać, że ktoś zdemolował mieszkanie. I zabrał jej komputer i telefon. Mówię panu, ktoś ją zabił i zabrał sprzęt.

Daniel studiował na ostatnim roku. Max sprawdził go pobieżnie, zanim przyjął zlecenie. Daniel pracował w restauracji i prowadził typowe studenckie życie. Miał do spłacenia spory kredyt, który wziął, żeby opłacić czesne, a ponieważ studiował historię, po ukończeniu nauki nie mógł liczyć na lukratywną posadę, a to z kolei oznaczało, że nie bardzo mógł sobie pozwolić na wynajęcie prywatnego detektywa.

A jednak dwie godziny temu wszedł do jego biura z determinacją na twarzy; młody człowiek z misją.

Tylko że misja to nie pieniądze.

Powinienem powiesić sobie szyld na drzwiach: Ludziom z misją dziękujemy.

Tylko że w tej chwili klienci bynajmniej nie cisnęli się do niego drzwiami i oknami. Zlecenie z zeszłego tygodnia, od firmy ubezpieczeniowej, skończyło się szybko i tak jak zawsze – ugodą. Firma zapłaciła tylko kilka tysięcy, nie kilkaset, jak tego żądał prawnik poszkodowanego, za to za sprawą informacji od Maxa.

W ciągu niecałych piętnastu minut odkrył, że kretyn, który chciał pozwać ubezpieczyciela, wrzucił na portalu społecznościowym swoje zdjęcia, jak tańczy półnago. Zważywszy, że twierdził, że grozi mu wózek inwalidzki wskutek obrażeń kręgosłupa, firma miała silną kartę przetargową w negocjacjach.

Widząc dowody, prawnik dupka szybko szedł z sumy i firma poszła na ugodę, chcąc szybko załatwić sprawę, jak w większości przypadków tego typu. Uгода jest tańsza niż sąd i Max nie kwestionował tego podejścia.

Ale co jakiś czas przyda się misja.

Rozglądał się po mieszkaniu. Może nie penthouse, ale jednak apartament z górnej półki. Louise zarabiała sporo w fundacji charytatywnej, skoro stać ją było na mieszkanie w jednym z nowoczesnych wieżowców z żelaza i stali. Na pewno było to o wiele droższe lokum niż jego domek na spokojnej ulicy.

We wnętrzu panował bałagan, jakby ktoś szukał czegoś nerwowo. Max przemyślał to.

Ciuchy od znanych projektantów. Droga biżuteria. A w garażu, jeśli wierzyć Danielowi, drogi samochód.

– Czyli morderca zabrał tylko elektronikę? Nic więcej? – zapytał.

Co prawda niełatwo byłoby wynieść z apartamentu naręcze ubrań, a co dopiero wyprowadzić samochód z garażu, jednak przede wszystkim spokoju nie dawał mu fakt, że włoska skórzana torebka nadal leżała na stoliku, a w niej portfel denatki i wszystkie karty kredytowe.

– Policjanci mówili, że w dzisiejszych czasach złodzieje biorą głównie elektronikę – odparł Daniel. – Bo to się sprzedaje najszybciej. I że takich włamań dokonują narkomani, szukający szybkiego zarobku na kolejną działkę.

– I przy okazji szukają też narkotyków – zauważył Max.

Starał się, by zabrzmiało to neutralnie. Ot, taka uwaga, nie zarzut. Ale Daniel i tak się zdenerwował.

– Mówię panu, że ona nie brała.

– W porządku.

– Ale co innego nie daje mi spokoju. – Daniel się zawahał.

– Tak?

– W dniu... śmierci... podjęła dziesięć tysięcy dolarów.

– Czek?

– Gotówka. Zdaję sobie sprawę, jak to może wyglądać. Po co komu dziesięć kawałków w gotówce, prawda? Na dragi, ot co.

– Są też inne powody, żeby podjąć taką sumę – zauważył Max. – Zakładam, że nie znalazł pan tych pieniędzy?

– Nie, pewnie morderca je zabrał.

– Bierze dziesięć kawałków, ale nie portfel czy karty.

Daniel spojrzał na torebkę.

– Może kiedy znalazł taką kasę, nie zawracał sobie głowy drobnicą. Albo bardzo się spieszył.

– Może. Jakiś pomysł, czemu podjęła taką sumę?

– Nie. – Daniel zaprzeczył ruchem głowy. – Nie wspominałem o tym policji, bo obawiałem się, że to tylko utwierdzi ich w przekonaniu, że przedawkowała. Uznaliby, że prała pieniądze.

– Przy jej łóżku leżała pusta strzykawka i torebeczka z resztkami narkotyku

najnowszej generacji, jak to określili policjanci.

– Tak, ale...

– Nie było śladów przemocy, nikt jej nie pobił, nie dźgnął nożem. Nic nie wskazuje na to, by uprawiała seks przed śmiercią. Ale zniknęło dziesięć tysięcy, jej laptop i telefon.

– Może ktoś to zaaranżował – przekonywał Daniel. – Może ktoś ją oszołomił, a potem upozorował samobójstwo.

Przy łóżku nie było żadnych szklanek, ale Max wolał tego nie mówić. Niewykluczone przecież, że morderca zadał sobie trud, by zatrzeć ślady, i umył kieliszki.

– Co jeszcze powiedzieli policjanci?

Daniel zmrużył oczy.

– Nie powiedzieli tego otwarcie, ale wynikało jasno, że uważali, że Louise związała się z niewłaściwym facetem. W tej chwili chyba zakładają, że ona i jej kochanek zażyli narkotyki i Louise przedawkowała, a facet spanikował, zamiast wezwać pogotowie, ukradł sprzęt, splądrował mieszkanie w poszukiwaniu narkotyków i uciekł. A to i tak łagodna wersja, bo nie wiedzą o pieniądzach.

– Inne hipotezy?

Daniel głęboko zaczerpnął tchu.

– Owszem, że Louise dorabiała jako ekskluzywna dziewczyna na telefon, a narkotyki to część jej pracy. I ten sam wniosek – przedawkowała, a klient zabrał sprzęt i prochy. A ja wiem, że nie brała, nie prostytuowała się i nie prała nikomu brudnych pieniędzy.

– Proszę mi opowiedzieć o Louise. I skąd ta pewność, że nie brała i nie była prostytutką?

Daniel przecesał włosy palcami.

– Choć była moją kuzynką, rzadko się widywaliśmy w dzieciństwie, to się zmieniło dopiero, kiedy była nastolatką. Dorastała na wschodnim wybrzeżu. Jej ojciec zmarł, kiedy była mała, a matka wyszła później za drania, który przez kilka lat molestował Louise. Kiedy matka się o tym dowiedziała, zarzuciła Louise kłamstwo, ale z czasem sama zobaczyła, że córka mówiła prawdę. Rozwiodła się z nim i przeprowadziła z Louise tutaj, na zachód. I poprosiła córkę, żeby nikomu nie mówiła o molestowaniu.

– Takie rady nigdy się dobrze nie kończą.

– No właśnie. Louise miała spore kłopoty, ale nikt z nas nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Miała do czynienia z narkotykami? – domyślił się Max.

Daniel poczerwieniał. Wyglądał, jakby chciał zaprzeczyć.

– Przez pewien czas – przyznał w końcu. – Jako nastolatka. Uciekała z domu, raz mieszkała na ulicy przez kilka miesięcy. W tamtym okresie pewnie brała

i handlowała, żeby przeżyć. Przechodziła trudny okres i wszyscy, cała rodzina, skreślili ją jako beznadziejny przypadek. Mam do siebie żal, że nie starałem się jej bardziej pomóc.

– Była od pana starsza, czyli w tamtym okresie był pan dzieckiem – zauważył Max. – Niewiele mógł pan zrobić.

– Może niewiele, ale zawsze coś.

– Proszę mi wierzyć, nie można uratować kogoś, kto sam tego nie chce.

– Mama też tak mówi.

– Jeśli mówi pan prawdę, Louise w końcu wzięła się w garść.

– Tak. Od wielu lat świetnie sobie radziła. Właśnie o to mi chodzi.

Uwielbiała pracę w fundacji. Sporo podróżowała i obracała się wśród sław.

Max wolał nie mówić, że celebryci słyną z beztroskiego podejścia do narkotyków.

– Coś jeszcze? – powiedział tylko.

– Pracowała jako wolontariuszka w schronisku dla maltretowanych kobiet, ze względu na swoją przeszłość. Mówiła, że właśnie takie schronisko przed laty uratowało jej życie. Udawała, że musi spłacić dług. I miała przyjaciół. Z kilkoma przyjaciółkami założyły klub inwesterek. Planowała sobie przyszłość. Nie zaryzykowałyby, wracając do narkotyków.

– Miała kogoś?

Po raz pierwszy Daniel się zawahał.

– Nie sądzę. To znaczy co jakiś czas z kimś się umawiała, ale zazwyczaj po to, żeby mieć towarzysza na imprezę dobroczynną. Szczerze mówiąc, chyba nie przepadała za mężczyznami, nie ufała im – tylko mnie. Proszę, niech pan przyjmie tę sprawę.

Max ponownie rozejrzał się po mieszkaniu.

A potem spojrzał na młodego człowieka, niecierpliwie czekającego na jego decyzję.

– Nie wszystko jest jasne – przyznał. – Rozejrzę się i poszukam odpowiedzi.

Danielowi kamień spadł z serca.

– Bardzo panu dziękuję.

– Muszę pana o czymś uprzedzić, zanim zabiorę się do pracy.

– Tak?

– Czasami klientom nie podoba się to, co odkryję. Czy na pewno pan tego chce?

Daniel spochmurniał.

– Chce pan powiedzieć, że może się okazać, że Louise naprawdę wróciła do dragów i prostytucji?

– Mówię tylko, że czasami klientom nie podobają się odpowiedzi, do których docieram. Czasami martwi celowo zabierają swoje tajemnice do grobu. Muszę

mieć pewność, że upora się pan ze wszystkim, co odkryję.

– Tak. – Daniel wbił dłonie w kieszenie kurtki. – Nie zniosę niepewności.

– Dobrze, przyjrzę się śmierci pana kuzynki.

Daniel skinął głową.

– Dobrze. Teraz, co do pańskiego wynagrodzenia. Louise zapisała mi apartament i samochód. Sprzedam je, wtedy panu zapłacę.

Max wolał mu nie mówić, że mieszkanie, w którym umarł poprzedni właściciel, może okazać się trudne do sprzedania.

– Dobrze – mruknął. – Chciałbym tu zostać sam. Rozejrzeć się. Sporządzić notatki. Zrobić zdjęcia.

– Nie ma sprawy. Dam panu klucze do mieszkania i piwnicy, i skrzynki pocztowej. Proszę zostać, ile pan chce. Powiem odźwiernemu, że może pan wchodzić o każdej porze dnia i nocy.

– Lepiej nikomu nie mówić, że prowadzę dochodzenie w sprawie jej śmierci, bo wszyscy się zdenerwują i zamkną w sobie. Niech pan im powie, że załatwiam sprawy testamentu.

– Dobrze, tak zrobię. W sumie w pewnym sensie tak jest.

– Kłamstwo jest bardziej wiarygodne, gdy towarzyszy mu prawda. Tyle prawdy, ile to możliwe. Mniejsze szanse na pomyłkę.

– Brzmi rozsądnie.

– Jeszcze jedno – dodał Max. – Chciałbym rzucić okiem na jej samochód.

– Jasne, jest w garażu. Kluczyki były w torebce.

– Chodźmy tam razem.

– Dobrze. – Daniel spojrzał na niego ze zdziwieniem. – Ale właściwie dlaczego?

– Właściciele takich budynków trochę się denerwują, widząc obcych w garażu. Wolałbym, żeby mnie nie zamknęli za próbę włamania do samochodu.

– No tak.

Daniel ruszył do drzwi w o wiele lepszym humorze, gdyż miał pewność, że ktoś zajmie się sprawą śmierci jego kuzynki. Max szedł za nim. Zamknął za sobą drzwi.

Po chwili znaleźli się w podziemnym garażu. Daniel podszedł do ciemnoniebieskiego sedana. Max otworzył drzwi pilotem.

W bagażniku nie było nic ciekawego., W schowku przy kierownicy było to co zawsze, paczka nawilżanych chusteczek i okulary słoneczne. W Seattle nigdy za wiele okularów słonecznych, Max już to zauważył. Ilekroć słońce wychodziło zza chmur, człowiek był nieprzygotowany.

Usiadł na fotelu kierowcy, spojrzał na licznik.

– Od dawna miała ten wóz?

– Nie, kupiła go na początku roku – odparł Daniel.

- Mały przebieg.
- Lubiła mieszkać w centrum także dlatego, że do pracy chodziła na piechotę. Siedziba fundacji jest niedaleko stąd.
- Max włączył GPS i sprawdził ostatni wpis.
- Kogo znała w Loring w stanie Waszyngton? – zapytał.
- Daniel zmarszczył brwi.
- Nie mam pojęcia. Ale zajmowała się zbieraniem funduszy. Może pojechała tam na spotkanie z potencjalnym sponsorem.
- Wygląda na to, że to była ostatnia dłuższa wyprawa tym samochodem.
- Myśli pan, że to ważne?
- To tylko pytanie. W tej chwili tylko to mamy. Mnóstwo pytań.

Rozdział 4

Charlotte otworzyła drzwi do mieszkania Jocelyn i odbyła cały rytuał dezaktywacji alarmu. Jocelyn miała, delikatnie mówiąc, lekką obsesję na punkcie bezpieczeństwa. Nie dość, że u siebie zainstalowała najnowszy system alarmowy, miała też zakusy, by podobnym sprzętem uszczęśliwić przyrodnią siostrę.

Charlotte zgodziła się na skomplikowany zamek w drzwiach i system alarmowy, ale zaprotestowała, kiedy w rozmowie pojawiły się kamery. Przeraziła ją wizja, że oko kamery będzie ją obserwowało, gdy wędruje po sypialni w samej bieliźnie. No tak, ale w końcu to ona zakleiła obiektyw kamerki internetowej w laptopie kawałkiem plastra.

Wszyscy mamy swoje dziwactwa, pomyślała.

Położyła korespondencję na stoliku ze szklanym blatem i przejrzała ją pobieżnie. Jak zwykle, niewiele było ważnych listów – Jocelyn załatwiała większość spraw, zarówno służbowych, jak i prywatnych, w Internecie. Tylko jedna koperta nie wyglądała jak przesyłka reklamowa – ze stemplem pocztowym z Seattle, za to bez nadawcy. Jocelyn upoważniła ją, by otwierała wszystko, co wyda jej się ważne, położyła ją więc na stoliku przy drzwiach, żeby nie zapomnieć, zanim wyjdzie.

Pozostałe koperty wylądowały w plastikowej torbie, którą zabierze wychodząc i wrzuci do kontenera na makulaturę.

Następnie zabrała się za podlewanie kwiatów. Z ulgą stwierdziła, że wielki bambus ma się dobrze, podobnie jak majestatyczna dracena.

Rośliny były jej pomysłem. Tuż po przeprowadzce do Seattle podarowała siostrze bambus w doniczce. Jocelyn nie była zachwycona, ale Charlotte uparcie powtarzała, że zieleń ociepli chłodne, nowoczesne wnętrze.

Bo apartament Jocelyn doskonale odzwierciedlał jej charakter – był elegancki i zimny, idealny, jak stary czarnobiały film. Jedyne barwne plamy to kobaltowe poduszki i tego samego koloru ściana za białą skórzaną kanapą.

Decyzja Jocelyn, by na miesiąc zaszyć się w klasztorze na Karaibach, była, delikatnie mówiąc, zaskakująca. Po pierwsze, coś, co najbardziej przypominało pustelnię w jej dotychczasowym życiu, to pobyt w ekskluzywnym spa. Uparła się jednak i nie zabrała ze sobą ani letnich kreacji, ani elektronicznych gadżetów. Wyruszyła z Seattle tylko z plecakiem, co prawda od znanego projektanta, ale jednak tylko plecakiem. A Jocelyn nigdy nie ograniczała się w kwestii bagażu.

Charlotte podlała wszystkie rośliny, spuściła wodę w toalecie, rozkręciła na chwilę kran w łazience i kuchni, żeby woda się nie zastała, podeszła do drzwi i sięgnęła po miękką wyściełaną kopertę.

Rozerwała ją. W środku była kolejna koperta. Wyczuła zarys kluczy – trzech.

Na odwrocie koperty z kluczami była też odręcznie napisana notatka:

Pewnie dopada mnie paranoja, ale wiesz, co mówią – nawet paranoicy miewają wrogów, więc wolę się zabezpieczyć. Na wypadek, gdyby się okazało, że moje obawy jednak mają pewne podstawy, mój egzemplarz jest w piwnicy. Zgodnie z umową niczego nie umieściłam w sieci. Już nie mogę się doczekać, kiedy po twoim powrocie z głuszy wyskoczymy na drinka.

Louise

W małym kręgu przyjaciółek Jocelyn była tylko jedna kobieta o tym imieniu. Louise Flint pracowała w biurze tej samej fundacji co Jocelyn i doskonale wiedziała, że ta wyjeżdża z miasta na dłużej. Niby dlaczego wysłała jej komplet kluczy i dziwny liścik? Bez sensu.

Charlotte zerknęła na zegarek. Wpół do szóstej; niewykluczone, że Louise jest jeszcze w pracy.

Wybrała znajomy numer i ze zdumieniem usłyszała w słuchawce głos recepcjonistki.

– Elizabeth? – zdziwiła się. – Tu Charlotte Sawyer. Pracujesz dzisiaj do późna?

– Witaj, Charlotte.

Elizabeth wydawała się rozkojarzona.

– Chciałam porozmawiać z Louise, jest jeszcze?

Długa, nieprzyjemna cisza.

– Więc jeszcze nie wiesz – stwierdziła Elizabeth.

– Czego nie wiem? O czym ty mówisz?

– Przykro mi, że dowiesz się akurat ode mnie. Louise już... z nami nie ma.

– W sensie: odeszła z pracy?

– Nie, Charlotte. Umarła.

Charlotte zacisnęła dłoń na słuchawce.

– Co? Jak to? Jak? Kiedy?

– Nie wiem dokładnie, kiedy to się stało. Z tego, co mi wiadomo, znalazła ją sprzątaczką, gdy jak co tydzień stawiała się rano do pracy i otworzyła drzwi własnym kluczem.

– To straszne. Nie mogę w to uwierzyć. Co się stało?

– Nie wiem dokładnie, ale słyszałam plotki, iż niewykluczone, że Louise... popełniła samobójstwo.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– Jak my wszyscy. Jestem jeszcze w pracy, bo przejęłam jej obowiązki, przynajmniej do powrotu Jocelyn. Kiedy zabrakło ich dwóch, nie bardzo dajemy sobie radę, delikatnie mówiąc.

– Sama nie wiem, co powiedzieć.

– W takich chwilach brakuje słów – zauważyła delikatnie Elizabeth. –

Jocelyn pewnie będzie w szoku, kiedy się dowie.

– Tak – mruknęła Charlotte.

Elizabeth zniżyła głos.

– Słyszałam też inne plotki, ale w ogóle w to nie wierzę.

– Jakie? – zainteresowała się Charlotte.

– Ktoś wspominał, że w przeszłości Louise nie stroniła od narkotyków.

Policjanci nie wykluczają, że wróciła do nałogu.

– To na pewno nieprawda. Do zobaczenia, Elizabeth.

– Jocelyn dzwoniła?

– Nie. Chciała odciąć się od rzeczywistości, pamiętasz?

– Tak, ale nie mogę sobie wyobrazić jej z dala od sieci.

– Wiem, ale bardzo jej na tym zależało.

– Czyli dowie się o tym, co spotkało Louise, dopiero kiedy wyjedzie z tej pustelni – podsumowała Elizabeth.

– Tak.

– Będzie zrozpaczona. Były sobie bardzo bliskie.

– Tak.

Charlotte zakończyła rozmowę. Przez chwilę stała pośrodku eleganckiego saloniku i zastanawiała się co dalej.

Jocelyn miała małą grupkę przyjaciółek. Wszystkie w czasie wolnym bawiły się w inwestowanie. Charlotte poznała je przy różnych okazjach, ale żadnej nie znała dobrze. Jocelyn nie zapraszała jej na ich spotkania, nie proponowała też, by zainwestowała swoje oszczędności w ich projekty. Za mało zarabiasz, żeby tak ryzykować, powtarzała wielokrotnie.

Jak na siostrę przyrodnią Jocelyn była fantastyczna. Ale jak cała rodzina uważała Charlotte za osobę naiwną, przesadnie ufną i z założenia zakładającą, że ludzie jej nie okłamią, a w każdym razie nie prosto w oczy. Pomyłka pod tytułem Brian Conroy tylko ją utwierdziła w tym przekonaniu.

I w sumie ci wszyscy ludzie mieli rację, stwierdziła. Już dawno powinna była dostrzec sygnały alarmowe, nie czekać, aż Brian ją zaskoczy. Ona jednak wolała sobie tłumaczyć drobne zmiany w jego zachowaniu. Powtarzała sobie, że to normalne, że pan młody denerwuje się przed ślubem.

Spojrzała na kopertę z kluczami, nie wiedząc co dalej. Po chwili namysłu podeszła do biurka Jocelyn i przejrzała kolejne teczki z papierami. Szybko znalazła notes z numerami czterech przyjaciółek. Emily Kelly pracowała w HR lokalnej firmy komputerowej.

Wybrała numer. Dopiero kiedy Emily odebrała, zdała sobie sprawę, że cały czas wstrzymywała oddech.

– Słucham? – odezwała się Emily.

Miała dziwny, spięty głos.

– Tu Charlotte, Charlotte Sawyer, siostra przyrodnia Jocelyn. Spotkałyśmy się kilka razy.

– Oczywiście. – W głosie Emily wyczuwało się ulgę. – Przepraszam, Charlotte, miałam ciężki dzień.

– Dzwonię, bo właśnie się dowiedziałam, że coś się stało Louise.

– Nie żyje. – Emily była głęboko poruszona.

– Jocelyn będzie załamana.

– Jak my wszystkie – zapewniła Emily.

– To był wypadek?

Długa cisza, a potem w końcu ściszony głos:

– Podobno przedawkowała.

– Recepcjonistka w fundacji mówiła to samo, ale nie bardzo mogę w to uwierzyć.

– Rozumiem cię – mruknęła Emily. – Louise zawsze obchodziła narkotyki szerokim łukiem, ze względu na swoją przeszłość, a także na to, co widziała w schronisku dla maltretowanych kobiet, w którym pracowała jako wolontariuszka.

– W jaki sposób dowiedziałas się o jej śmierci? – zainteresowała się Charlotte.

– Zadzwoił do mnie Daniel Flint, jej kuzyn. Mówił, że miał listę jej najbliższych przyjaciół. On nam powiedział.

– Pamiętam, Jocelyn wspominała kiedyś, że Louise ma tu w Seattle kuzyna i że bardzo go lubi. Chyba gdzieś tu studiuje?

– Tak. To straszne. Louise tyle w życiu przeszła – przemoc, narkotyki, ulica – a teraz to.

– Straszne – przyznała cicho Charlotte.

Kolejna chwila ciszy w słuchawce.

– Czy był jakiś szczególny powód, dla którego chciałaś się skontaktować z Louise? – zapytała Emily.

Charlotte spojrzała na kopertę z kluczami i pomyślała o słowach na mniejszej kopercie. *Mam nadzieję, że nie będziesz musiała szukać mojej kopii.*

– Teraz to już i tak bez znaczenia – mruknęła.

– Pewnie tak.

– Jocelyn będzie wstrząśnięta.

– Tak. – Emily zawahała się. – Odzywała się do ciebie?

– Nie. Nadal jest w tym klasztorze.

– Po prostu trudno sobie wyobrazić Jocelyn bez kontaktu ze światem wirtualnym.

– Wiesz, jaka jest. Kiedy coś wbije sobie do głowy, nie sposób jej to wyperswadować.

Święta prawda.

Charlotte zakończyła rozmowę i schowała telefon do torebki. Uważnie przeczytała jeszcze raz notatkę na odwrocie koperty.

– Cholera – mruknęła.

Zastanawiała się, co zrobiłaby Jocelyn, gdyby to ona stała tu teraz z kluczami w dłoni. Wiedziała to, oczywiście. Różniły się z Jocelyn pod niemal każdym względem, więc bardzo łatwo było przewidzieć, co zrobiłaby przyrodnia siostra.

Poszłyby od razu do mieszkania Louise i postarałaby się odnaleźć te dokumenty, najwyraźniej bardzo dla niej ważne.

Ale Charlotte to nie Jocelyn. Charlotte była ostrożna, uważna, nie lubiła ryzyka. Zawsze przestrzegała dozwolonej prędkości i przestrzegała zasad – a przynajmniej się starała. Nie miała prawa ani do tych dokumentów, ani niczego, co należało do Louise.

Rzecz w tym, że Louise zdała się na Jocelyn, a tej tu nie ma.

Idiotyczne, ale dałaby sobie rękę uciąć, że słyszała, jak gdzieś, w innym wymiarze, nieubłaganie tyka zegar.

Chyba za dużo kryminałów w telewizji.

Rozdział 5

Kiedy Charlotte dotarła do apartamentowca, w którym mieściło się mieszkanie Louise, jesienne słońce już zaszło i nad miastem zapadła noc. Robiło jej się zimno na myśl o powrocie do domu, samej, w ciemności. Nie wiadomo dlaczego, nagle przypomniało jej się spojrzenie, jakim obrzucił ją tamten przystojny mężczyzna za przeszklonymi drzwiami holu Deszczowych Ogrodów.

Nie uważała się za osobę nieśmiałą, raczej za ostrożną i przezorną. Mimo wszystko, choć było jeszcze wcześniej, a ulicami centrum przechadzało się mnóstwo przechodniów, obiecała sobie, że po wyjściu z budynku Louise zadzwoni po taksówkę.

Zajrzała do przeszklonego holu. Recepcja była pusta. Najwyraźniej konsjerż już skończył pracę.

Choć miała klucze do mieszkania Louise, nie była ani jej krewną, ani nawet przyjaciółką. Czuła się nieswojo na myśl o naruszeniu jej prywatności. Przyszło jej do głowy, że być może w mieszkaniu jest ktoś z jej rodziny. Z braku lepszego pomysłu zadzwoniła domofonem na górę.

I omal nie zemdląca, słysząc męski głos.

– Mieszkanie Louise Flint.

Był to niski, męski głos, z wyraźnie słyszalną nutą władczości i opanowania. Z pewnością nie był to głos studenta.

Serce zabiło jej szybciej. Coś jest nie tak. Nie mogła za żadne skarby świata wymyślić żadnego logicznego powodu, dla którego w mieszkaniu Louise miały przebywać jakiś mężczyzna.

– Kto mówi? – zapytała.

– Max Cutler. A pani to...?

– Przyjaciółka Louise. Czy raczej przyjaźniła się z nią moja przyrodnia siostra, ale Jocelyn wyjechała, a ja właśnie się dowiedziałam, co się stało.

Urwała nagle. Ta rozmowa nie toczyła się po jej myśli. Może lepiej nic nie mówić o kluczach.

– Chyba powinniśmy porozmawiać – zaczął Max.

– Dlaczego?

– Dlatego, że jestem prywatnym detektywem.

– Prywatnym detektywem? Jak to?

– Daniel Flint prosił, żebym przyjrzał się śmierci Louise, a pani jest pierwszą osobą, która do niej przysłała, odkąd tu jestem. Chciałbym zadać pani kilka pytań.

– Chwileczkę. Dlaczego Daniel Flint pana zatrudnił?

– Ma wątpliwości co do przyczyny śmierci.

– A czemu nie zwrócił się z tym do policji?

– Policjantom najwyraźniej wystarczyło to, co tu zobaczyli. Jemu nie.

Mnie też nie, pomyślała.

Rozważyła wszystkie opcje.

– No dobrze – powiedziała. – Ale nie wjadę do pana na górę. Spotkamy się w holu.

– Zaraz tam będę.

– Mam nadzieję, że ma pan identyfikator.

– Oczywiście.

Rozdział 6

Kilka minut później wysiadł z windy w holu. W ręku trzymał odznakę w skórzanym futerale. Za plastikową osłonką widziała coś, co przypominało oficjalną legitymację.

– Max Cutler – przedstawił się.

Uważnie przyjrzała się legitymacji. Wyglądała na autentyczną, tylko że Charlotte nigdy dotąd nie widziała takiego dokumentu. W każdym razie facet na zdjęciu przypominał tego stojącego w holu, z tą różnicą, że mężczyzna z fotografii nie onieśmiał tak bardzo, jak ten w rzeczywistości.

Max Cutler wydawał się stworzony do munduru, policyjnego albo wojskowego. Była w nim pewna twardość, nieugiętość. On jednak miał na sobie spodnie khaki, białą koszulę rozpiętą pod szyją i wiekową marynarkę.

Za to krótko ostrzyżone ciemne włosy potwierdzały wojskowe skojarzenia. Ta fryzura podkreślała ostre rysy jego twarzy. Ze złotobrązowych oczu nie dało się niczego wyczytać.

Nie był to najprzystojniejszy facet w Seattle, zdecydowanie nie, stwierdziła. Ale za to miałyby największe szanse, gdyby na arenie gladiatorów przyszło mu zmierzyć się z typowym przystojniakiem.

Miał w sobie swoisty chłód i opanowanie, jakby celowo oddzielał się od świata niewidzialnym murem. Wiedziała instynktownie, że facet tego pokroju czuje się nieswojo, widząc emocje innych. Zapewne tłumi swoje uczucia. Zdecydowanie nie lubi melodramatów, podsumowała.

Upomniała się, że jest tu zamiast Jocelyn. Nietrudno było sobie wyobrazić, jak w tej sytuacji zachowałaby się jej siostra. Asertywnie.

– Legitymację można podrobić – zauważyła.

– Fakt. – Skinął głową i uśmiechnął się leciutko. – Ale ja też nie mam powodu, żeby pani ufać.

– Znałam Louise. Moja przyrodnia siostra jest... była jej przyjaciółką. Być może najbliższą.

– A gdzie teraz jest? – zainteresował się.

Pytanie zabrzmiało nieco zbyt od niechcienia.

– To nie pana sprawa – odparła, siląc się na chłodny, zdecydowany ton. – W każdym razie przynajmniej dopóki nie dowiem się o panu czegoś więcej.

– Jak mówiłem, pracuję dla Daniela Flinta, kuzyna zmarłej. – Max wyjął telefon z kieszeni i wybrał numer. – Zadzwońię do niego, żeby potwierdził moje słowa.

Powiedział coś szybko do aparatu i podał go Charlotte. Niechętnie wyciągnęła rękę.

– Halo? – zaczęła niespokojnie. – Tu Charlotte Sawyer.

– Siostra Jocelyn, tak?

– Przyrodnia.

– Poznałem ją, widzieliśmy się raz czy dwa. Bardzo się przyjaźniły z Louise. Nazywam się Daniel Flint, a facet, który dał pani telefon, mówi prawdę. Zatrudniłem go.

– Bardzo mi przykro z powodu Louise – powiedziała. – Nie znałam jej zbyt dobrze, ale bardzo ją lubiłam i wiem, że Jocelyn bardzo się przejmie jej śmiercią. Jak pan powiedział, były sobie bardzo bliskie. Nie zamierzam wchodzić panu Cutlerowi w drogę ani tym bardziej naruszać pana prywatności, ale mam klucze Louise. Co mam z nimi zrobić?

– Klucze do mieszkania?

– I piwnicy.

Cały czas czuła na sobie przenikliwe spojrzenie Maxa.

– Nie potrzebuję dodatkowego kompletu – zapewnił Daniel. – Proszę je przekazać panu Cutlerowi.

– Do kluczy był dołączony list – ciągnęła Charlotte. Odwróciła się, odeszła o kilka kroków od Maxa i ściszyła głos. – Coś o dokumentach, które Louise chciała przekazać Jocelyn.

– Jakich dokumentach?

– Nie mam pojęcia.

– Hm. – Daniel przez chwilę myślał intensywnie. – Cóż, jeśli Louise chciała je przekazać Jocelyn, nie mam nic przeciwko temu. Ale proszę pozwolić Maxowi Cutlerowi na nie zerknąć, dobrze?

– Oczywiście. – Zerknęła przez ramię. Max obserwował ją cały czas. – Słyszałam od pana Cutlera, że nie wierzy pan w oficjalną przyczynę śmierci Louise. Uważa pan, że ją zamordowano?

– Tak. – W głosie Daniela nie było ani cienia wahania.

– A policja... – Odchrząknęła.

– Są innego zdania. Słyszałem, jak jeden z detektywów rzucił: ćpunem się jest do końca.

– Louise nie brała – zapewniła Charlotte. Dopiero kiedy Max lekko zmrużył oczy, zdała sobie sprawę, że powiedziała to z wielkim przejęciem. Zniżyła głos. – Jocelyn wiedziałaby o tym. I zrobiłaby coś, choćby zawiozła ją na odwyk.

– Cieszę się, że co do tego jesteśmy tego samego zdania – odparł Daniel. – Niech pani porozmawia z Cutlerem, proszę. Może wie pani coś, co pozwoli mu udowodnić, że nie przedawkowała, ani celowo, ani przypadkiem. I że się nie prostytuowała.

Charlotte nie posiadała się z oburzenia. Tym razem nawet nie starała się tego ukryć.

– Policjanci sugerują, że była prostytutką?

– Tak.

– Najwyraźniej jej nie znali.

– Nie. Przepraszam, ale muszę kończyć. Szef mnie woła. Proszę przekazać Cutlerowi wszystko, co pani wie.

– Dobrze. Jeszcze raz powtórzę: bardzo mi przykro z powodu Louise.

– Dziękuję.

Charlotte przerwała połączenie. Odwróciła się powoli i podeszła do Maxa. Podała mu telefon. Wziął go i wsunął do kieszeni marynarki.

– Zadowolona? – zapytał.

– Zgadza się z Danielem. Nie wierzę, że Louise brała, a już na pewno, że wróciła na ulicę. To niemożliwe.

– Skąd ta pewność?

Zniecierpliwiona machnęła ręką.

– Nie wiem, jak to panu udowodnić. Ale jestem gotowa się założyć, że moja siostra Jocelyn wiedziałaby, gdyby Louise zaczęła się prostytuować albo wróciła do narkotyków. Byłaby zaniepokojona. Zaczęłaby działać.

– Ale chyba niewiele mogłaby zdziałać, ani w sprawie narkotyków, ani prostytutki.

– Nie zna pan Jocelyn. Jest bardzo zdeterminowana.

– Na razie wierzę pani na słowo.

– Dzięki.

Max puścił sarkazm mimo uszu.

– Jeśli wierzyć mojemu klientowi, Louise nie miała też żadnych problemów finansowych.

– Nie. Jocelyn pomogłaby jej, gdyby o to chodziło.

Max przyglądał się jej uważnie.

– Wygląda na to, że więź między Jocelyn a Louise jest tu kluczowa. A jednak to pani tu jest, a nie pani siostra.

– Jocelyn wyjechała na miesiąc do klasztoru na Karaibach, bez telefonu i komputera. Nie mam jak się z nią skontaktować, żeby jej przekazać tę wiadomość.

– Nie zabrała ze sobą żadnego aparatu?

Charlotte znacząco uniosła brwi.

– Nie bez powodu mówimy o ucieczce od elektroniki i świata wirtualnego.

– Ciekawe.

Zaskoczył ją ten zwięzły komentarz.

– Dlaczego? – zapytała.

– Z mieszkania Louise zniknął jej telefon i laptop. Prawdopodobnie tej samej nocy, gdy zginęła.

– Kradzież?

– To jedna z hipotez – mruknął Max.

Nagle zrozumiała.

– Zabrał je zabójca?

– Jak powiedziałem, to jedna z hipotez.

– Czyich?

– Mojego klienta.

– A co to ma wspólnego z wyjazdem mojej siostry?

– Nie mam pojęcia – przyznał Max. – Ale póki co, wiem tyle: kobieta nie żyje, w mieszkaniu nie ma jej telefonu, komputera i dziesięciu tysięcy dolarów, a jej jakoby najlepsza przyjaciółka znika z radaru.

Charlotte zacisnęła dłoń na uchwycie torebki.

– Jedno z drugim nie ma nic wspólnego. To niemożliwe.

– Więc mamy do czynienia z zadziwiającym zbiegiem okoliczności.

Charlotte przyglądała mu się bez słowa, niezdolna wymyślić żadnej riposty na jego słowa.

– O co chodzi z tymi dziesięcioma tysiącami? – zapytała w końcu.

– Louise Flint podjęła je z konta w dniu śmierci, rano.

– W gotówce? Podjęła dziesięć tysięcy w gotówce?

– Rozumie pani, skąd moje pytania – mruknął Max. – Może obejrzymy sobie te dokumenty, o których wspominała pani mojemu klientowi?

– Zastanawiała się przez mniej więcej trzy sekundy i doszła do wniosku, że ma tylko jedno rozsądne wyjście – oddać mu klucze i odejść, umyć ręce. Nie mogła jednak tego zrobić, bo Max Cutler sugerował, że Jocelyn może być w to wplątana, a jej tu nie było i nie mogła się bronić.

– Dobrze – powiedziała w końcu. – Ale proszę pamiętać, że w liście Louise wyraźnie podkreśla, że to Jocelyn ma dostać te dokumenty.

– Jasne – mruknął Max. – Tylko że jej tu nie ma, prawda?

Charlotte uniosła głowę.

– Ale ja jestem.

– Może najpierw zobaczy pani, co tam jest, zanim je pani zabierze.

Racja, pomyślała.

– Cholera. – Wyjęła klucze z torebki. – Chodźmy.

– Dokąd?

– Do piwnicy Louise. Zakładam, że pan wie, gdzie jest?

– Tak – odparł Max. – Wiem. Szczerze mówiąc, sam chciałem tam zajrzeć, zanim pani zadzwoniła.

Rozdział 7

Wszystko wskazuje na to, że ten, kto przeszukał jej mieszkanie, dotarł i tutaj – stwierdził Max. – I nie zawracał sobie głowy zamykaniem drzwi na kłódkę.

Otworzył drewniane drzwi i rozejrzał się pospiesznie. Ciasną przestrzeń wypełniało to, co zawsze koniec końców łąduje w piwnicach. Składany stół i krzesła, które w lecie zapewne stanowiły wyposażenie balkonu. Z rozerwanego kartonu wysypywały się ozdoby świąteczne. Na ścianie wisiał rower. Nieco dalej leżał starannie złożony śpiwór, namiot, butla gazowa i sprzęt narciarski.

I całe mnóstwo walizek.

– Nie sposób stwierdzić, czy intruz znalazł to, czego szukał, prawda? – mruknęła Charlotte.

Smutek w jej głosie kazał Maxowi przyjrzeć się jej uważniej. Oby nie zaczęła płakać. Nie bardzo sobie radził ze szlochającymi kobietami.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak. – Wyjęła chusteczkę z kieszeni żakietu i otarła oczy. – Na tyle, na ile w takiej sytuacji może być w porządku. Chodzi o to, że Louise była najlepszą przyjaciółką Jocelyn. Przytłacza mnie myśl, że już jej nie ma, że nigdy nie skorzysta z tych wszystkich rzeczy. Jocelyn będzie załamana, kiedy się o wszystkim dowie.

Cholera. Jednak zaczęła płakać. Uznał, że najlepszym wyjściem będzie udawać, że niczego nie zauważył.

– Czy pani siostra i Flint bardzo się przyjaźniły? – zapytał.

Charlotte pociągnęła nosem, ale kiedy się odezwała, była już spokojniejsza.

– Tak – mruknęła.

Wzięła się w garść, stwierdził. W głębi duszy odetchnął z ulgą.

– Wygląda na to, że przeszukał kartonowe pudła i zapewne też walizki – zauważył. – Ale nie sądzę, żeby znalazł to, czego szukał.

– Dlaczego?

– Nie wiem, mówi mi to chaos poszukiwań – odparł.

Nigdy nie potrafił dokładnie wyjaśnić, w jaki sposób pracuje. Szukał wzorców, a pośpiech, z jakim intruz buszował w schowku, zdradzał wściekłość i frustrację.

Wyjął jedną z walizek i przyglądał się otoczeniu. Piwnice zajmowały całe piętro budynku. Urządzono je tak, że stanowiły istny labirynt wąskich, przypominających kaniony korytarzy i ślepych zaułków. W tej chwili byli tu tylko on i Charlotte, ale lada chwila to mogło się zmienić; wystarczy, by zjawił się jeden z lokatorów. Albo ktoś obcy.

Powtarzał sobie, że nie ma ochoty na niepotrzebne wyjaśnienia, ale to nie wszystko. Tak naprawdę nie lubił zamkniętych pomieszczeń, zwłaszcza takich z

ograniczoną liczbą wejść. Czuł wtedy, jak stare wspomnienia, stare koszmary, budzą się do życia.

Musiał się skoncentrować na zadaniu, a to niemożliwe, kiedy jakaś jego część cały czas podświadomie czeka, aż zza zamkniętych drzwi schowków zaatakują go potwory.

Zajrzał do każdej walizki po kolei. Wszystkie były puste, poza jedną. W małej podręcznej walizeczce była mapa drogowa i trzy duże koperty.

– Ani śladu narkotyków i gotówki – mruknął. – Ale coś tu jest. – Zamknął ją i podniósł. – Obejrzę ją dokładnie na górze, w jej mieszkaniu.

W pierwszej chwili myślał, że Charlotte zaprotestuje. Spojrzała na niego, lekko rozchyliła usta, szeroko otworzyła oczy. Domyślał się, że intryguje ją zawartość walizki, chyba jednak coś, co dostrzegła w jego oczach, przekonało ją, że nie ma sensu kłócić się o taki drobiazg.

– Dobrze – powiedziała tylko.

O nic nie pyta, stwierdził. To dobrze.

Szła przodem, gdy opuszczali piwniczny labirynt. Otworzyła drzwi. W ślad za nią wsiadł do windy i wcisnął guzik z numerem dziesięć. Milczeli podczas jazdy na górę, ale był bardzo świadomy jej bliskości. Stała obok, spięta i milcząca, i patrzyła, jak zmieniają się numerki, jakby widziała w nich sekretny kod. Jednego był pewien – obawiała się tego, co znajdą. Już to było ciekawe.

Nie, poprawił się. To Charlotte była ciekawa.

Przez kilka sekund usiłował sobie wmówić, że intryguje go wyłącznie na gruncie zawodowym. Jakby nie było, bada sprawę potencjalnego morderstwa, a Charlotte zjawiała się na miejscu zbrodni jako jedna z pierwszych.

W poprzedniej pracy nauczył się, że stare przekonanie, że przestępca zawsze wraca na miejsce zbrodni, zawiera sporo prawdy. Czasami robi to, żeby podziwiać swoje dzieło, czasami, żeby się upewnić, że nie zostawił żadnych śladów, a czasami skłania do tego przymus zbyt silny, by mu się przeciwstawić.

Więc owszem, miał poważne zawodowe powody, by interesować się Charlotte Sawyer.

Ale w głębi serca wiedział, że to nie jest tylko zainteresowanie profesjonalisty, lecz także mężczyzny.

Ta świadomość wytrąciła go z równowagi. Zacisnął dłoń na rączce walizki.

Właściwie sam nie wiedział, czego się spodziewał, kiedy jechał windą do holu na spotkanie z nią. Na początku dochodzenia zawsze starał się zachować otwarty umysł, bo już dawno nauczył się, że pierwsze wrażenie ma ogromne znaczenie. Nie chciał odnieść błędnego wrażenia tylko dlatego, że coś sobie wcześniej wmówił.

Ale kiedy drzwi windy się otworzyły, był pewien tylko jednego – Charlotte Sawyer nie pasowała do żadnej znanej mu kategorii.

Niełatwo będzie ją zaklasyfikować.

To nie był typ błyskotliwej flirciary. Ani naburmuszonej ślicznotki. Ani chłodnej, zdystansowanej intelektualistki. Nie była też nieśmiała, nerwowa, bezczelna ani arogancka.

Nie usiłowała go uwieść. Nie chciała też nim manipulować, ale dałby sobie rękę uciąć, że gdyby chodziło o sprawę, którą uzna za ważną, natychmiast stanęłaby do walki.

A kiedy się uśmiecha, robi to szczerze, zauważył. A kiedy jej zielono-brązowe oczy rozjaśnia śmiech, namiętność, albo inne uczucie, od razu wiadomo, że to prawdziwa emocja.

Rozpięła kurtkę, odsłaniając ciemnozielony sweterek i czarne spodnie. Widział zarys jej ciała; nie ubierała się uwodzicielsko, była raczej smukła, jędrna i kobieca.

Nie przychodziła mu do głowy żadna inna cecha zwracająca uwagę, poza lśniącościami, czujnymi oczami. Ale te wszystkie elementy składały się w interesującą całość.

W ślad za nią wysiadł z windy i szedł w stronę mieszkania Louise. Otworzył drzwi, przepuścił ją przodem i patrzył, jak odruchowo ruszyła przed siebie i nagle na progu zatrzymała się w pół kroku. Wydawało mu się, że słyszał, jak wstrzymuje oddech, i od razu wiedział.

– Zawsze tak jest, kiedy się wie, co się tu wydarzyło – mruknął cicho.

Spojrzała na niego.

– To... dziwne.

– Tak.

– Można do tego przywyknąć?

– Mnie się nie udało.

– Często pan to robi?

– Już nie. Kiedyś pracowałem jako profiler, ale teraz świadczę głównie usługi dla firm. Sprawdzam pracowników. Roszczenia ubezpieczeniowe, te sprawy. A to oznacza, że zazwyczaj nie wchodzę do takich pomieszczeń.

Skinęła głową, głęboko zaczerpnęła tchu i weszła do środka energicznym, zdecydowanym krokiem. Poszedł za nią i ostrożnie zamknął drzwi.

Nagle do niego dotarło, że właśnie odbyli ważną rozmowę, a jednocześnie żadne z nich nie musiało niczego tłumaczyć ani uściślać. Rozumieli się. Nie przywykł do takich rozmów. Nie bardzo wiedział, co właściwie o tym sądzić.

Postawił małą walizeczkę na dywanie, kucnął, otworzył ją.

Charlotte uklękła obok.

Razem obejrzeni mapę drogową stanu Waszyngton i trzy koperty.

– Cóż, nie tego się spodziewałam – przyznała Charlotte.

Spojrzał na nią.

– A czego?
– Sama nie wiem – przyznała.
– I to jest najlepsze podejście do takich sytuacji.
– Zasada profilerów?
– Moja zasada, gdy byłem profilerem. Każdy zabiera się za to inaczej.
Powoli rozkładał mapę stanu Waszyngton.
– W dzisiejszych czasach mało kto korzysta z papierowej mapy. Wszyscy zdają się na GPS i satelity.
– Nie przypominam sobie, by Jocelyn wspominała coś o tym, że Louise wybiera się na wycieczkę. No ale z drugiej strony, dlaczego miałyby mi to mówić?
Zerknął na nią.
– Siostra nie wprowadziła pani do kręgu przyjaciółek?
– Właściwie nie. Przyjaźni się z członkiniami klubu inwestorskiego. Przedstawiła nas sobie i co jakiś czas się spotykamy, ale nie, nie przyjaźnimy się. Tak naprawdę niewiele mam z nimi wspólnego.
– Hm. – Zamyślił się na chwilę. – Więc nie proponowały pani wspólnego inwestowania?
– Nie. – Charlotte zmarszczyła nos. – Jocelyn twierdziła, że za mało zarabiam, żeby sobie pozwolić na takie ryzyko, że ich inwestycje to tak naprawdę forma hazardu. Spotykały się na drinka, sprawdzały podstawowe dane i ryzykowały, kupując kilka akcji albo inwestując w obiecujące ich zdaniem start-upy.
– Opłaciło się?
– Jocelyn wspominała, że na kilku trochę zarobiły, ale najczęściej wychodziły na zero. Chociaż ostatnio wspominała, że wiążą wielkie nadzieje z miejscowym start-upem, w który zainwestowały kilka miesięcy temu. Uważała, że to firma z potencjałem.
Rozłożył mapę na wykładzinie i przyglądał się jej.
– Zaznaczono pięć miejscowości. Na pierwszy rzut oka nie widzę między nimi żadnego związku. Rozsypane po zachodniej części stanu.
– Louise zaznaczyła trzy z nich żółtym markerem. – Charlotte pochyliła się nad mapą. – A pozostałe dwie – czerwonym. Ciekawe, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie.
Sięgnął do walizki i wyjął jedną z kopert. Widniały na niej inicjały J.A. Była zaklejona. Otworzył ją ostrożnie i wyciągnął ze środka kilka złożonych na pół kartek. Charlotte obserwowała go bacznie.
– No i? – dopytywała.
– Pierwsza kartka to wydruk komputerowy. – Rozłożył ją. – Kopia nekrologu niejakiej Jennifer Kingsley, lat dwadzieścia jeden. Sprzed mniej więcej trzech miesięcy. – Urwał na moment, wrócił spojrzeniem do mapy. – Wygląda na

to, że mieszkała w jednym z miasteczek zaznaczonych na czerwono.

Charlotte wpatrywała się w mapę.

– Wiadomo, jak umarła?

– Nie. A to często oznacza samobójstwo, przedawkowanie albo inną przyczynę śmierci, którą rodzina wolała zachować w tajemnicy.

– Co jest na drugiej kartce?

Przebiegł ją wzrokiem.

– Notatki. Informacja, że ofiara pracowała wieczorami i że policja podejrzewa przedawkowanie. Wygląda na pismo Louise Flint.

Charlotte sięgnęła po drugą kopertę. Otworzyła ją. W środku była tylko jedna kartka.

– Kolejny nekrolog – powiedziała. – Karen Ralston, dwadzieścia lat. Nie ma przyczyny śmierci, ale Louise dopisała coś odręcznie: „przedawkowanie”. Zwłoki znaleziono w mieszkaniu. Sąsiedzi podejrzewają samobójstwo.

Max spojrzął na nią.

– Dwie martwe kobiety, rzekomo ofiary narkotyków. Ich ciała znaleziono w ich domach. A teraz nie żyje Louise, jakoby dlatego, że przedawkowała. Znaleziono ją w jej własnym mieszkaniu.

Charlotte przyglądała mu się wielkimi oczami pełnymi niepokoju.

– Co to wszystko ma znaczyć?

– Nie mam pojęcia. – Wyjął z walizki trzecią kopertę. Było w niej kilkanaście kartek. – Wycinki z gazet i kopie raportów policyjnych.

– Kolejne tajemnicze przedawkowania?

– Nie. To zgłoszenia napaści. Podejrzenia gwałtów. – Czytał, szukał podobieństw, jakiegoś wzoru. – Wszystkie kobiety były mnie więcej w tym samym wieku, co te dwie z nekrologów. Miejscowości pokrywają się z tymi zaznaczonymi na mapie na żółto.

– Aresztowano kogoś?

– Z dokumentów nic takiego nie wynika. Louise też coś dopisała: „brak opisu napastnika. Narkotyki w grze”.

– Co to wszystko ma znaczyć?

– Poszperam trochę i zobaczę, co uda mi się ustalić.

Charlotte przysiadła na piętach i wpatrywała się w zawartość walizki.

– Louise wpakowała się w coś niebezpiecznego, prawda?

– Tak, tak mi się wydaje. Jedyne, co łączy te pięć kobiet, to narkotyki.

Charlotte pokręciła głową.

– Byłam przekonana, że nie miała nic wspólnego z narkotykami. Cóż, jednego możemy być pewni – nie wiemy, czego szukał intruz, ale na pewno nie mapy, nekrologów i tych wyników. Nawet nie raczył zajrzeć do kopert.

– Nie.

– A zatem interesowało go coś innego. Narkotyki albo gotówka, tak jak podejrzewa policja.

– Prawdopodobnie.

Rozejrzał się po ponurym wnętrzu, złożył mapę, wrzucił ją do walizki. Wsunął kartki do trzeciej koperty i położył na mapie.

– Mam już dość tego miejsca – mruknął. Zamknął walizkę. – Potrzebuję trochę czasu, żeby to wszystko sprawdzić. Ma pani samochód?

– Nie – odparła. – Przyszłam na piechotę.

– Zaparkowałem przed budynkiem. Odwiozę panią. – Nagle do niego dotarło, że może przecież nie chce przebywać z nim sama w aucie. Ale było już późno. Nie chciał, żeby sama wędrowała deszczowymi ulicami. – Chyba że woli pani wziąć taksówkę?

Chyba dokładnie to sobie przemyślała. Powtarzał sobie, że nie może brać tego osobiście. A potem uśmiechnęła się lekko, ale bardzo prawdziwie.

– Dziękuję bardzo – odparła.

Nie był to milowy krok w kierunku zdobycia jej zaufania, stwierdził, ale zawsze to jakiś postęp.

I natychmiast zaczął analizować, czemu właściwie go to obchodzi. W jego branży sukces opierał się na założeniu, że wszyscy, klienci też, zawsze kłamią. Każdy ma coś do ukrycia.

Na zewnątrz, na zalanej deszczem ulicy, Charlotte założyła kaptur na głowę, a on postawił kołnierz kurtki. Nie miał innej ochrony przed pogodą. Na tylnym siedzeniu samochodu leżała czapeczka baseballowa, ale kiedy szedł na spotkanie z Danielem Flintem w mieszkaniu Louise, nie przyszło mu do głowy, żeby ją zabrać. Ciekawe, czy to niekorzystnie wpływa na jego wizerunek. Jeśli wierzyć słowom rodziny, w tej branży wizerunek to podstawa.

Tego dnia przyjechał do miasta szarym, anonimowym samochodem, którego używał do pracy w centrum. Nie zwracał na siebie uwagi na ulicy i dlatego go wybrał. Z drugiej strony, nikomu nie mógłby nim zaimponować.

Nie żeby chciał zaimponować Charlotte.

Nie skomentowała, gdy otworzył jej drzwiczki od strony pasażera. Pewnie doszła do wniosku, że nie najlepiej mu się układa w interesach. I miała rację.

Zatrzasnął drzwiczki, obszedł wóz i wszedł, ale w tym czasie zdążył już zmoknąć. Ściągnął z siebie mokrą kurtkę i cisnął na tylne siedzenie. Kurtka wyjdzie z tego cało, ale w sumie kiepsko mu szło udawanie króla detektywów.

Chociaż właściwie czemu to takie ważne, zastanawiał się.

Odpalił silnik i ruszył.

– Zastanawia się pani, czy Louise miała coś wspólnego ze śmiercią tych kobiet, tak? – domyślił się. – Czy może sprzedawała im narkotyki?

– Nie, naprawdę nie wyobrażam jej sobie handlującej narkotykami.

– Jak sama pani powiedziała, wcale jej pani dobrze nie znała.

Kątem oka widział, jak zaciska dłonie na pasku torebki.

– Fakt, ale bardzo dobrze znam Jocelyn – odparła. – Nie wyobrażam sobie, by przyjaźniła się z dilerką.

– Spokojnie. Jeśli chce się znaleźć odpowiedzi, nie można za daleko wybiegać przed siebie. W tej chwili mamy tylko pytania. Pochopne wnioski zaprowadzą nas w ślepy zaułek.

Charlotte puściła uchwyt torebki i skrzyżowała ręce na piersi. Wbiła wzrok w przednią szybę.

– My? – zapytała.

Zwolnił na światłach i skorzystał z okazji, by się jej przyjrzeć. Odwróciła głowę i popatrzyła mu w oczy.

– Powiedział pan, że w tej chwili mamy tylko pytania – przypomniała.

Zacisnął dłonie na kierownicy. Światła się zmieniły. Nacisnął pedał gazu.

– Przenośnia – odparł. – Pracuję dla Daniela Flinta. Mam zobowiązania wobec klienta. Jest też taki drobiazg jak poufność zlecenia.

– Czy to oznacza, że nie może pan pracować jednocześnie dla mnie?

Znowu na nią spojrzał.

– A co niby miałbym zrobić?

– To chyba jasne. Chciałabym wiedzieć, czy nagła decyzja Jocelyn, by zniknąć z powierzchni ziemi, w jakiś sposób łączy się ze śmiercią Louise.

Przemyślał to.

– Porozmawiam o tym z moim klientem. Muszę wiedzieć, czy ma problem z tym, że podzielę się tym, co ustalę.

– Bardzo proszę to zrobić. Bo jeśli pan nie przyjmie mojego zlecenia, znajdę kogoś, kto się tego podejmie.

– O rany. Czyżby szantaż?

– Nacisk.

– Twardzielka z pani.

Zerknęła na niego, wyraźnie zaskoczona.

– Nie. Twardzielką jest Jocelyn.

– Nie twierdzę, że tak nie jest. Mówię tylko, że pani też jest twarda.

Wbiła wzrok w mokrą jezdnię.

– Zna mnie pan od godziny.

– Czasami to wystarczy.

– Nie jestem twarda – upierała się. – Jestem bardzo przezorna.

– Robi pani to, co musi, póki to możliwe.

– Chyba tak. Z całą pewnością nie jestem spontaniczna. Proszę zapytać mojego eks.

Powtarzał sobie, że nie ma sensu się cieszyć tylko dlatego, że mężczyzna w

jej życiu jest eks. Pewnie teraz ma kogoś innego, powtarzał sobie.

– Jest pewien problem z pani zleceniem – zaczął. – Może dojść do konfliktu interesów. Ale pogadam z Danielem Flintem i wyjaśnię, że obojgu nam zależy na ustaleniu, co spotkało jego kuzynkę. Zobaczymy, czy zgodzi się, żebym dzielił się z panią tym, co zdołam ustalić.

– Dobrze – mruknęła. Zawahała się. – A jeśli chodzi o tę przezorność?

– Tak?

– Podczas terapii dowiedziałam się, że to nie zawsze jest dobra strategia. Czasami warto reagować spontanicznie i otwierać się na nowe możliwości.

– Chodzi pani na terapię?

– Chodziłam przez pewien czas, po tym, jak mój narzeczony, ten dupek, zostawił mnie pięć dni przed ślubem. Nie żebym miała do niego żal.

– Ależ skądże – odparł z kamienną miną. – Kto miałby żal do drania, który zostawia narzeczoną pięć dni przed ślubem.

– No właśnie. A poza tym to zła karma. Choć przyznam, że czasami kusi mnie, żeby powbijać igły w jego podobiznę.

– Całkowicie zrozumiałe.

– Dziękuję.

Zerknął na nią.

– Więc na terapii usłyszała pani, że ma być bardziej spontaniczna?

– Mhm.

– Nadal tam pani chodzi?

– Nie.

– Dlaczego?

– Terapeutka twierdziła, że jeśli mam się z tym w pełni uporać, muszę wziąć na siebie część winy za rozpad naszego związku.

Gwizdnął pod nosem.

– Niezłe. Jak do tego doszła?

– Twierdziła, że podświadomie przymykałam oczy na dysfunkcyjny aspekt naszego związku i nie chciałam dostrzec oznak, że do siebie nie pasujemy. Bujałam w obłokach, bo wmówiłam sobie, że Brian to księżę z bajki. Cóż mogę powiedzieć? Miałam dosyć słuchania, że to moja wina, że mnie zostawił przed ołtarzem – no, prawie.

– Więc przerwała pani terapię.

– Tak jest – urwała. – I to było w tym wszystkim najlepsze. A poza tym nie mam zielonego pojęcia, czemu o tym wszystkim z panem rozmawiam.

– Nie za bardzo się znam na spontaniczności. Ja w sumie też jestem przezorny. Ale z tego, co pani mówi, wynika, że przerwanie terapii było właśnie przejawem spontaniczności.

Krótką cisza.

- No tak – przyznała. – Nigdy na to tak nie patrzyłam. Wydawała się bardzo z siebie zadowolona.
- Nie żebym chciał zmienić temat, ale muszę coś powiedzieć – zaczął.
- Tak?
- Wspominała pani, że nie wyobraża sobie, by pani siostra mogła przyjaźnić się z dilerką narkotyków, która miała coś wspólnego ze śmiercią dwóch kobiet.
- No, tak.
- Ale muszę panią uprzedzić: ilekroć aresztuje się morderców, gwałcicieli, pedofili i innych przyjemniaczków, pierwsze, co mówią przyjaciele i sąsiedzi, to...
- To był taki miły, zwyczajny człowiek – dokończyła. – Tak, też już o tym myślałam. Ale musi pan przyznać, że jest coś, co przemawia za niewinnością Louise.
- Co?
- Gdyby była w jakikolwiek sposób odpowiedzialna za śmierć tych kobiet, gdyby sprzedawała narkotyki pozostałym, nie trzymałaby żadnych dowodów wiążących ją z tymi sprawami.
- Niewiele pani wie o przestępcach, co?
- No, nie.
- Proszę mi uwierzyć, uwielbiają pamiątki.

Rozdział 8

Nic.

Ani na komórce Louise Flint, ani w jej komputerze nie było nic, co zdradzałoby, gdzie tamto ukryła.

Dzięki pomocy hackera, za którą musiał słono zapłacić oczywiście, udało mu się sprawdzić jej pocztę elektroniczną i zawartość laptopa. I nie znalazł tam absolutnie nic.

A teraz jedyna osoba, która wiedziała, gdzie to ukryła – czyli Flint we własnej osobie – nie żyje.

Wściekłość podchodziła mu do gardła falą żółci. Trey Greenslade zatrzasnął pokrywę laptopa i energicznie podniósł się z krzesła. Nerwowo przechadzał się po ciasnym pokoju hotelowym. Usiłował zebrać myśli, a nie było to łatwe, bo dygotał na całym ciele. Nerwy, tłumaczył sobie. Oddychaj głęboko. I pod żadnym pozorem nie wpadaj w panikę. Dasz sobie radę.

Tylko że był na granicy paniki, a to niedobrze. Bardzo, bardzo niedobrze.

Otworzył hotelowy barek i wyjął ze środka buteleczkę wódki, odkręcił, upił spory łyk. Alkohol palił go w gardle i zarazem sprawiał, że w głowie mu się przejaśniło.

Podszedł do okna, przycisnął dłoń do szyby i wbił wzrok w światła miasta. Usiłował opracować nową strategię. Problem w tym, że musi działać szybko. Nie było czasu na solidne planowanie. Ale nie miał innego wyjścia.

Kiedy się dowiedział, że Louise Flint pojechała do Loring w stanie Waszyngton, zostało mu już bardzo mało czasu. Musiał działać szybko i tak właśnie uczynił. A teraz Flint nie żyje, a on nie znalazł w jej mieszkaniu tego, czego szukał. Ani w mieszkaniu, ani w piwnicy czy samochodzie.

Może zatrzymała się w drodze powrotnej do Seattle i gdzieś ukryła tę nieszczęsną paczuszkę.

Podróż z Loring trwała dwie godziny, prowadziła przez wiejskie okolice pełne wiosek i osiedli rolniczych. Z tego, co mu wiadomo, nie miała w okolicy żadnych przyjaciół czy krewnych, a czegoś tak cennego nie powierzyłaby obcym.

Upił kolejny łyk wódki i usiłował się skoncentrować.

Być może zatrzymała się gdzieś na trasie i wynajęła schowek, tylko że na odcinku między Seattle i Loring jest takich miejsc co najmniej kilkanaście i nawet gdyby udało mu się wytypować właściwe, czekałby go jeszcze niemały problem ustalenia, który konkretnie schowek wynajęła Louise.

To droga donikąd. Musiał zabrać się za to inaczej. Jedyna dobra wiadomość to, o ile właściwie zinterpretował listę połączeń z jej telefonu i komunikację elektroniczną, Flint nie zdradziła, gdzie ukryła paczuszkę ani Jocelyn Pruett, ani nikomu innemu.

W sumie logiczne, że utrzymała to w tajemnicy, rozmyślał. Wiedziała pewnie, że zawartość paczuszki w rękach szantażysty jest bezcenna.

Dobrze, więc w sumie może założyć, że Flint zabrała tajemnicę do grobu. Nic mu nie grozi. A jednak myśl o paczuszce, którą gdzieś tam ktoś w każdej chwili może odnaleźć i zburzyć jego świat, nie dawała mu spokoju.

Tyle lat, dumał. Tyle lat, podczas których nie wiedział nic o jej istnieniu. Żył w błogiej nieświadomości. Ale teraz, gdy już o niej wiedział, nie zaśnie spokojnie, póki jej nie odnajdzie i nie zniszczy jej zawartości.

Cholera. Kiedy już wszystko zaczęło się układać po jego myśli. Dlaczego akurat teraz wszystko zaczęło się walić?

Dopił resztkę wódki i odwrócił się od okna. Z trudem powstrzymał odruch, by cisnąć butelką o ścianę, ale ostatnie, czego mu trzeba, to ciekawskie pytania personelu hotelowego. Powoli, delikatnie odstawił buteleczkę na biurko.

Przez chwilę w milczeniu wpatrywał się w komputer i telefon.

No dobrze, powtarzał sobie. Myśl logicznie.

Flint została wyeliminowana. Już mu nie zaszkodzi. Co więcej, wszystko wskazywało na to, że ani w drodze do Loring, ani wracając do Seattle, z nikim się nie kontaktowała. Zostaje więc jedno logiczne wytłumaczenie – w pewnym momencie powierzyła paczuszkę jednej z przyjaciółek.

Czas działać dalej.

Ale po kolei. Jest bardzo przezornym człowiekiem, a w tej chwili znajduje się w posiadaniu komputera i telefonu martwej kobiety. Mało prawdopodobne, by ktokolwiek skojarzył go z Flint, ale od dawna nauczył się podejmować środki ostrożności. Musi się pozbyć tego sprzętu. To akurat proste. Rano pójdzie pobiegać nad wodą, zapanuje się na nabrzeże i ciśnie laptop i telefon do Elliott Bay.

Dźwięk telefonu wyrwał go z zadumy. Zerknął na wyświetlacz i stłumił jęk, ale kiedy unosił aparat do ucha, w jego głosie nie było nawet cienia irytacji.

– Cześć, babciu – zaczął. – Co tam w domu?

– Dzwonię, żeby się upewnić, że nie zapomniałeś o specjalnym posiedzeniu rady.

Głos Marian Greenslade zawsze działał mu na nerwy. Zbliżała się do dziewięćdziesiątki i w rodzinie Greenslade zawsze, odkąd sięgał pamięcią, grała pierwsze skrzypce. Sztywna, zakłamana, wiecznie niezadowolona. Z wiekiem nie łagodniała, jeśli już, to raczej przeciwnie. Uważała się za strażniczkę reputacji rodu Greenslade. Śmierć syna, ojca Treya, kilka miesięcy wcześniej, tylko umocniła ją w dążeniu do tego, żeby rodzinny interes pozostał nietknięty, żeby w całości przekazać go następnemu pokoleniu.

Trey nie zamierzał do tego dopuścić. Nie chciał do końca życia ugiąć się pod brzemieniem rodzinnej firmy. I wiązał z Loring-Greenslade własne plany. Najpierw jednak musiał przejąć kontrolę nad firmą.

- Spokojnie, babciu – rzucił. – Będę na posiedzeniu.
- Zakładam także, że pojawisz się na moich urodzinach.
- Ależ oczywiście.
- Byłoby kiepsko, gdyby Charles przyszedł, a ty nie – dodała babka.

Marian nigdy nie bawiła się w subtelności, choć akurat w tym wypadku nie miała powodu do obaw.

Po śmierci ojca Treya zarząd firmy powierzył jednemu z wiceprezesów stanowisko głównego dyrektora – póki nie wyłonią następcy Gordona Greenslade’a. Wszyscy w Loring wiedzieli, że ostateczną decyzję podejmie Marian. A Trey miał świadomość, że jedynym poważnym rywalem był kuzyn Charles.

Stara musi być szczęśliwa.

Jeśli będzie trzeba, usunie Charlesa z drogi. Wypadki chodzą po ludziach. Weźmy choćby nieszczęśliwe zajście podczas polowania, które odebrało mu ojca.

Nie, Charles nie będzie problemem.

- Muszę kończyć, babciu. Umówiłem się na drinka z potencjalnym klientem.
- Dobranoc. Pamiętaj, to bardzo ważne, żebyś się pojawił na posiedzeniu zarządu.

– Tak, babciu.

Rozłączył się i z trudem powstrzymał dreszcz. Bardzo nie lubił głosu Marian, jeszcze bardziej niż głosu ojca. Nie tylko to ich łączyło. Gordon Greenslade był równie sztywny i wymagający jak jego matka; równie trudno było go zadowolić. Ale jego już nie ma.

Trey odszedł do okna. To, czego szukał, gdzieś tu jest. Musi to tylko znaleźć.

Było ich pięć, na początku. O ile mu wiadomo, Louise nie przyjaźniła się z nikim innym. Jeśli przekazała komuś paczuszkę, na pewno jednej z nich.

Jedna załatwiona, jedna zapadła się pod ziemię. Zostały trzy.

Rozdział 9

Jasne, nie ma sprawy – zapewnił Daniel Flint. – Zdaję się na pana. Zależy mi jedynie na odpowiedziach.

– Nawet jeśli się okaże, że ta prawda położy się cieniem na reputacji Louise albo na pana wspomnieniach? – uściślił Max.

– To nie ma znaczenia – odparł Daniel. – Jestem przekonany, że została zamordowana, ale chcę poznać prawdę bez względu na wszystko. Jeśli ta kobieta, Charlotte Sawyer, też szuka odpowiedzi, moim zdaniem gramy w tej samej drużynie.

– Dobrze. Będę pana informował o postępach.

– Dzięki. Muszę kończyć. Mój szef zaraz dostanie apopleksji. Mamy dziś pełną knajpę.

Telefon w dłoni Maxa umilkł. Odłożył go na stary drewniany stół i wbił wzrok w kuchenne okno. Typowa dla Seattle mżawka zalewała cichą uliczkę. Widział poświatę z telewizora za cienką firanką w wiktoriańskim domku kilkanaście metrów dalej. Państwo Lund uwielbiali seriale kryminalne.

W domku sąsiadującym z Lundami było ciemno i tak pewnie będzie jeszcze przez jakąś godzinę. Dwaj młodzi mężczyźni – nowożeńcy – wprowadzili się niedawno, ale obaj pracowali do późna i często spotykali się ze znajomymi w mieście.

Mieszkańcy tej okolicy stanowili dziwną mieszankę emerytów z obsesją na punkcie ogródków, wiecznie planujących kolejne rejsy, i młodych rodzin, przekonanych, że za kilka lat z zyskiem odsprzedadzą mały domek, jeśli uda im się go odpowiednio podrasować.

Był za stary na taki domek na start, ale kiedy Whitney od niego odeszła, żeby zacząć wreszcie żyć, tylko na to było go stać. Sam sobie winien. Wbił gwóźdź do własnej trumny, po rozwodzie rzucając dobrze płatne stanowisko profilera w Waszyngtonie DC i wyjeżdżając do Seattle, żeby stanąć na własnych nogach.

Wszyscy go przestrzegali przed pogodą. Inni twierdzili, że najgorszy jest nie tyle deszcz, ile długie okresy szarugi. On jednak mieszkał tu już od pół roku i klimat mu nie przeszkadzał.

Przekonał się też, że lubi być sobie sterem, żeglarzem, okrętem, choć póki co bardzo mało zarabiał.

Pewnie zaraz po przyjeździe trzeba było coś wynająć, a nie kupować, dumał. Z finansowego punktu widzenia byłoby to rozsądniejsze. Ale jeśli chodzi o decyzje, był zero-jedynkowy, wyznawał zasadę: wszystko albo nic. Podjął decyzję, gdy wysiadł z samolotu. Zostanie w Seattle.

Otworzył puszkę tuńczyka i przygotował kanapki. W słoiku został jeden jedyny ogórek konserwowy. Dodał go do posiłku. Jakby nie było, zbilansowana

dieta oznacza, że trzeba jeść warzywa.

Wyjął piwo z lodówki, sięgnął po talerz z kanapką i ogórkiem i podszedł do stolika.

W oknie po przeciwnej stronie ulicy zapaliło się światło. Ktoś odsunął zasłonę i w szybie pojawiła się znajoma twarz.

Anson Salinas uniósł rękę na powitanie. Max odpowiedział tym samym. Firanka wróciła na miejsce.

Anson także był nowy w Seattle. Zamieszkał tu cztery miesiące temu. Wcześniej przez trzydzieści lat pilnował prawa, z czego lwią część czasu w małym miasteczku na skalistym wybrzeżu północnej Kalifornii.

Max włączył komputer i analizował ostatnie ustalenia między kęsem kanapki a łykiem piwa. Właściwie wcale go nie zdziwiło, kiedy doszedł do wniosku, że dwie martwe i trzy zgwałcone kobiety miały sporo ze sobą wspólnego. Kółka na mapie zdradzały wzór, problem w tym, jak go rozgryźć.

Wczytywał się w lakoniczne notatki w Internecie. Zerknął na zegarek. Nie jest za późno, żeby zadzwonić do nowej partnerki, zdecydował. Przez moment zastanawiał się, czy powinien zaniepokoić go fakt, że szuka pretekstu, byle pretekstu, żeby się z nią skontaktować.

Odebrała po pierwszym sygnale.

– Co jest? – zapytała. – Masz coś?

Wyczuwał niepokój w jej głosie.

– Rozmawiałem z Danielem Flintem – odparł. – Zgadza się, żebyśmy wymieniali się informacjami.

– Super. Cieszę się. Czyli teraz też jestem twoją klientką?

– Nie, jesteś osobą, z którą wymieniam się informacjami – tłumaczył cierpliwie. – Wydawało mi się, że to jasne.

Sam nie wiedział, jak ją zaklasyfikować, ale zależało mu, żeby od początku było jasne, że nie jest jego klientką. Nie powinno się sypiać z klientkami, a on fantazjował o Charlotte w łóżku, odkąd po raz pierwszy zobaczył ją w holu apartamentowca Louise Flint.

– Czyli jestem konsultantką? – dopytywała.

– Nie, bo wtedy musiałbym ci płacić.

Poza tym z konsultantkami też nie powinno się sypiać, pomyślał.

– Rozumiem. – W jej głosie chyba pojawiło się rozbawienie. – Czyli bez względu na to, jak to określić, pracujemy razem. Jesteśmy znajomymi z pracy.

Postrzeganie jej jako znajomej z pracy to chyba też nie jest najlepszy pomysł, ale nic innego nie przychodziło mu do głowy.

– Niech będzie – mruknął. – Chciałem ci zadać kilka pytań.

– Oczywiście.

Max spojrzał na walizkę na podłodze przy stoliku.

– Wspominałaś, że twoja siostra wyjechała na Karaiby?
– Tak, do klasztoru z klauzurą. Zakonnice kilka razy w roku przyjmują kobiety chcące uciec od współczesnego świata. Utrzymują się z tego.

– Co to za wyspa?

– Świętej Adeli. Klasztor pod wezwaniem tej samej świętej. A co?

– Jakim cudem twoja siostra tam trafiła?

– Twierdziła, że wyszukała w sieci takie ośrodki i zdecydowała się na Świętą Adelę. O co ci chodzi?

– Sam nie wiem – przyznał. – Zazwyczaj tak jest, póki wszystko mi się nie ułoży w głowie.

– Bardzo filozoficzne.

Wydawało mu się, że słyszy uśmiech w jej głosie. Ale może mu się tylko tak zdawało.

– W ustach prywatnego detektywa, tak? – rzucił.

– W ustach każdego.

– Rozumiem. – Gorączkowo szukał innego tematu, żeby podtrzymać rozmowę. – Jakież plany na dzisiaj?

– Jasne. Dzika impreza. Po kolacji będę medytować, a potem obejrzę coś w telewizji, położę się do łóżka i poczytam. I przez cały ten czas będę się martwiła o Jocelyn i zastanawiała, czemu Louise nie żyje.

– Czyli masz pełne ręce roboty. Mój wieczór zapowiada się podobnie. Bez medytacji.

Długa cisza w słuchawce. Czekał, aż się pożegna, ale nie zrobiła tego, a w każdym razie nie od razu.

– Max?

– Tak?

– Myślisz, że moja siostra jest cała i zdrowa?

Nie znosił takich pytań.

– Nie mam pojęcia – przyznał.

– Bałam się, że to powiesz.

Był pewien, że zaraz się rozłączy.

– Chciałem cię jeszcze o coś zapytać – rzucił.

– Tak?

– Sprawdziłem zapis w GPS Louise. Wygląda na to, że jej ostatnia podróż prowadziła do Loring w stanie Waszyngton.

Słyszał, jak gwałtownie nabrała powietrza w płuca.

– Do Loring? – szepnęła. – Jesteś pewien?

– Wiem tylko, że Loring to ostatnie miejsce zapisane w pamięci GPS. Nie znalazłem nic, co sugerowałoby, że miała tam znajomych. Daniel nie ma pojęcia, czemu miałyby tam jechać, chyba że na spotkanie z darczyńcą. Ale recepcjonistka

z fundacji twierdzi, że w Loring nie ma żadnych ofiarodawców.

– Kiedy tam pojechała? – zapytała Charlotte cicho.

– W dniu śmierci.

– Nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, ale jeśli ta sprawa łączy się z Loring, nie jest dobrze.

– Czemu?

– Moja siostra przyrodnia studiowała w Loring. Przerwała studia na drugim roku i dokończyła je na innym college'u.

– Czemu?

– Zaatakowano ją na kcampusie. Zgwałcono. Nigdy nie złapano sprawcy. Jocelyn nie była w stanie go zidentyfikować, bo go nie widziała. Zaszedł ją od tyłu i zasłonił oczy.

Rozdział 10

Nie wiem, jak wy, ale ja umieram ze strachu – stwierdziła Victoria Mathis. Z całej siły ścisnęła nóżkę kieliszka martini. – Najpierw Jocelyn zmywa się na miesięczny urlop z dala od cywilizacji, a teraz Louise nie żyje. Mówię wam, coś tu jest nie tak.

Tego popołudnia to ona napisała do pozostałych i zwołała nieplanowane spotkanie klubu. Zazwyczaj byłoby ich pięć, ale ponieważ Jocelyn wyjechała, a Louise nie żyła, spotkały się we trzy. A z nich trzech tylko ona i Emily Kelly wydawały się naprawdę przejęte. Madison Benson wyraźnie uważała, że przesadzają.

Być może denerwowała się dlatego, że pracowała w marketingu. Była mistrzynią wychwytywania nowych trendów w świecie mody i wiedziała też, jak niewiarygodnie szybko dobrze zapowiadający się nurt może się wypalić. Ufała swojej intuicji i teraz nie mogła nie dostrzegać, że śmierć Louise i zniknięcie Jocelyn to bardzo groźne oznaki. Wszystkie wiedziały, że ryzykują.

Madison Benson, siedząca po przeciwnej stronie stołu, spojrzała na nią z dezaprobatą i irytacją.

– Nie ma powodu do paniki – powiedziała. – Louise umarła, bo przedawkowała. Nic takiego się nie stało. Wszystkie znamy jej przeszłość.

Victoria podejrzewała, że Madison tym samym tonem zwracała się do zaniepokojonych klientów. Inteligentna, błyskotliwa, Madison miała wszystko – urodę, głowę do liczb, zmysł inwestorski i charyzmatyczną osobowość. Choć jej firma nadal była mała w porównaniu z rekinami finansjery, grono zadowolonych klientów szybko rosło.

Victoria podejrzewała, że wielu z tych klientów, płci obojga, fantazjuje o nocy z Madison, która w wolnym czasie mogłaby sobie dorabiać jako domina. Z tego jednak, co przyjaciółkom było wiadomo, nie bardzo interesowała się seksem. Jocelyn nieraz wspominała, że jej zdaniem Madison nadal szuka drugiej połówki – płć obojętna – kogoś, kogo uzna za równą lub równego sobie.

– Louise nie brała od lat – zauważyła Emily Kelly. – Gdyby wróciła do narkotyków, któraś z nas zauważyłaby coś. A ja nie dostrzegłam żadnych niepokojących sygnałów.

Mało brakowało, a Victoria zakrztusiłaby się swoim martini.

– Co ty opowiadasz? To ty pracujesz w HR. To ty skończyłaś psychologię. To ty z nas wszystkich powinnaś najlepiej znać się na ludziach. To ty powinnaś zauważyć, że Louise jest ostatnio jakaś dziwna. Przez ostatni miesiąc była bardzo wycofana, zamknięta w sobie, jakby nieobecna myślami. Bałam się, że to w depresja.

– I może tak było. – Emily zacisnęła usta.

Z nich wszystkich Emily najmniej pasowała do klubu, stwierdziła Victoria. Sama Emily pewnie zdawała sobie z tego sprawę. Było jasne, że brakuje jej odwagi, by ryzykować tak jak one.

To Madison nalegała, żeby przyjęły ją do swojego grona, i faktycznie, Emily wniosła ważne umiejętności. Po mistrzowsku wyszukiwała informacje i zazwyczaj – poza tą sprawą z Louise – po mistrzowsku przewidywała kolejne posunięcia przeciwników. Ale brakowało jej ryzykanckiej żyłki, którą miały wszystkie pozostałe.

Z tego, co wiedziały, nie spotykała się z nikim na poważnie. O rodzinie opowiadała bardzo rzadko.

Nie była do końca introwertyczna, ale też nie kipiała energią. Choć w tym samym wieku co pozostałe, wydawała się od nich starsza. Wystarczyłaby odrobina makijażu, jasne pasemka we włosach, modne ciuchy i zastrzyk pewności siebie, a byłaby bardzo atrakcyjna. Okulary w grubych oprawkach nie poprawiały sytuacji. Można by pomyśleć, że robiła, co w jej mocy, by nie zwracać na siebie uwagi.

– Zakładałam, że Louise kogoś ma – powiedziała, jakby się broniła. – Myślałam, że jest bardziej milcząca niż zwykle, bo nie jest jeszcze gotowa, by nam opowiedzieć o nowym związku i tyle.

– Niby dlaczego nie byłaby gotowa? – zdziwiła się Victoria.

– Wszystkie wiemy, że Louise była... skomplikowana – wyjaśniła Emily. – Biorąc pod uwagę jej przeszłość, nic dziwnego, że bała się zaangażować w nowy związek.

Madison zmrużyła oczy.

– Wygląda na to, że była taka wycofana, bo nową osobą w jej życiu był nie kochanek, tylko diler. Cholera. Wiedziała, że się wkurzymy, kiedy wyjdzie na jaw, że znowu bierze. Przecież narażała tym nas wszystkie. Każdy wie, że narkomanowi nie można ufać.

Victoria rozparła się wygodnie. Spojrzała na Emily.

– To ty znasz się na ludziach. Co powiesz o Jocelyn? Jak myślisz, dlaczego tak nagle postanowiła zniknąć?

Madison zmarszczyła brwi.

– Co ty opowiadasz? Ona wcale nie zniknęła. Wyjechała na urlop. Nie przesadzaj. W tym nie ma nic podejrzanego.

Emily spojrzała na nią.

– Nie byłabym wcale taka pewna. Victoria ma rację. W sumie to trochę dziwne, że akurat teraz Jocelyn ucieka na anonimową wysepkę na Karaibach, odcięta od świata, i to na cały miesiąc. Przecież wiemy, że nie jest aż tak religijna.

– Tu nie chodzi o religię – prychnęła Madison. – W dzisiejszych czasach mnóstwo ludzi chce odpocząć od technologii. Dlatego też inni wybierają jogę czy medytację. Jocelyn od dawna skarżyła się na ciągły stres. Marudziła, że fundacja

oczekuje coraz hojniejszych darczyńców.

– Rzecz w tym, że Jocelyn to organizatorka – tłumaczyła Emily. – Owszem, ryzykuje, ale nie działa impulsywnie. A ten pomysł z wyjazdem pojawił się znikąd. Powiedziała nam o tym jednym tchem, razem z informacją, że zarezerwowała już bilet.

Madison ściągnęła wąskie brwi.

– Może już od dawna o tym myślała, tylko nam nie mówiła.

– Może – przyznała Emily.

Ale według Victorii nie wydawała się przekonana; jeśli już, bardziej zaniepokojona. A teraz i Madison poczuła się nieswojo.

Przy stole zapadła cisza. Victoria upiła łyk martini i uniosła kieliszek.

– Na początku to było jak gra – zauważyła. – Komputerowa gra w realu.

Emily pokręciła głową.

– Nie, to nigdy nie była gra. Wszystkie miałyśmy świadomość, ile ryzykujemy. Zawsze było wiadomo, że ktoś kiedyś może zorientuje się, co robimy.

– Przecież byłyśmy bardzo ostrożne – zauważyła Madison.

– Może nie tak bardzo, jak nam się zdawało. – Victoria spojrzała na nią.

Rozdział 11

Max zmywał naczynia po kanapce i rozważał, czy sięgać po kolejne piwo, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Zerknął na zegarek. Było jeszcze wczesnie.

Wytarł ręce i podszedł do drzwi. Na progu stał Anson Salinas. Wyglądał na starego gliniarza, którym był przez całe życie. Z czasem jego włosy przybrały barwę stali, mięśnie nieco zwiotczały, ale w ciemnych oczach czaiła się ta sama czujność, a surowo zaciśnięte usta i wysokie kości policzkowe onieśmiały tak samo jak dawniej.

Każdy, kto poznał Ansona lepiej, wiedział, że pozory nie mylą. Był tak twardy, jak na to wyglądał.

I bardzo samotny.

Czyli jest nas dwóch, pomyślał Max.

– Wchodź – powiedział. – Napijesz się piwa?

– Nie odmówię.

Max szedł do kuchni. Anson zamknął za sobą drzwi i ruszył za nim. Usiadł na wiekowym krześle przy stole kuchennym.

– No i co? – zapytał. – Wzięłeś sprawę tej Flint?

– Tak. – Max postawił na stole dwie puszki i usiadł naprzeciwko niego. – Wyglądało prosto, ale szybko się skomplikowało.

– Jak to?

Max pokrótce streścił, co ustalili.

Anson wypił łyk piwa i myślał intensywnie.

– Skomplikowane – przyznał.

– W tej chwili tak. Ale prędzej czy później dowiem się, o co w tym chodzi. I wtedy wszystkie kawałki łamigłówki trafią na miejsce.

– Ty i te twoje teorie. – Anson uśmiechnął się pod nosem. – Takie podejście może i działało, kiedy siedziałeś sobie za biurkiem z ekipą profilerów, ale w prawdziwym świecie szybko się przekonasz, że nie zawsze jest czas na takie analizy. Zazwyczaj musisz działać w oparciu o to, co już wiesz.

– Wiem. I uwierz mi, nie lekceważę tego, co już mamy.

– Jaka ona jest? – W oczach Ansona pojawił się błysk.

– Louise Flint?

– Nie denatka. Ta, która zjawiała się na miejscu zbrodni.

– Charlotte Sawyer.

– No właśnie, Charlotte Sawyer.

– Jest... intrygująca.

– Czyli ładna. – Anson pokiwał głową.

– Intrygująca.

– Nie muszę ci mówić, jak masz wykonywać swoją robotę, ale wiesz, co się

mówi o osobie, która jako pierwsza zjawia się na miejscu zbrodni.

– Nie była pierwsza. Pierwsza była sprzątaczką.

– No ale ta cała Charlotte Sawyer zjawiała się z kompletem kluczy. To budzi podejrzenia.

– Owszem – przyznał Max. – I uwierz mi, szukam odpowiedzi.

– Wiem. Ale znasz mnie, lubię pogadać o robocie.

– Fakt. Musisz zacząć pracować, Anson. Oszalejesz w domu. A ja razem z tobą.

– Masz jakiś pomysł? Nie wiem, czy słyszałeś o dyskryminacji w związku z wiekiem. Jestem za stary do policji. A na pewno nie pójdę na ochroniarza za minimalną stawkę na całe noce.

– Już o tym rozmawialiśmy. Mógłbyś pomyśleć o wolontariacie.

Anson wzruszył ramionami i sięgnął po piwo.

– Myślę.

– Super. – Max rozparł się na krześle. – Właśnie miałem włączyć mecz – skłamał. – Obejrzysz?

– Jasne. I tak nie mam nic innego do roboty.

Mecz skończył się o wpół do jedenastej. Anson wstał z kanapy.

– Niezła rozgrywka – orzekł. – Idę do siebie. Musisz się wyspać, jutro czeka cię sporo roboty. Daj znać, co ustalisz o tej nieobecnej.

– O Jocelyn Pruett – uściślił Max. – Jasne.

Wstał, odprowadził Ansona do drzwi.

Na ganku starszy mężczyzna podniósł wzrok na daszek.

– Przecieka – zauważył.

– Wiem, naprawię to. Ale najpierw muszę się zająć bardziej palącymi potrzebami. Hydraulik konkretnie. A właśnie, przypilnujesz go jutro?

– Jasne.

– Ale obiecaj, że nie będziesz go pouczał, jak ma wykonywać swoją robotę.

– Skądże. Ale będę miał na niego oko.

Anson zbiegł ze schodków i szybkim krokiem przemierzał lekką mgłę. Na progu swojego domku zatrzymał się, pomachał mu na pożegnanie i zniknął w środku.

Max zamknął za sobą drzwi i wrócił do kuchni. Przypomniał mu się dzień, w którym Anson Salinas, dosłownie, wjechał z hukiem jego życie.

Max miał wtedy dziesięć lat, umierał ze strachu i nie był sam. Towarzyszyło mu siedmioro innych dzieci. Jak co noc, Quinton Zane zamknął ich na noc w szopie.

Zane twierdził, że to dla ich dobra. Że dzięki temu mierzą się ze swoimi lękami. Że dzięki temu będą silniejsi.

Ale najbardziej bali się Quintona Zane'a. To on był prawdziwym potworem

w ich świecie; młodym, charyzmatycznym, groźnym przywódcą sekty.

Tamtej nocy, gdy dzieciństwo Maxa skończyło się raz na zawsze, Zane oznajmił wyznawcom, że miał wizję i wkrótce od nich odejdzie. I tak się rzeczywiście stało – tyle, że zanim to zrobił, podłożył ogień w większości budynków na terenie obozowiska, także w szopie z dziećmi.

Max i pozostali obudzili się w płonącym budynku. Tulili się do siebie, przerażeni, przekonani, że zaraz zginą w płomieniach, i wtedy zjawił się bohater i wszystkich uratował.

Anson Salinas, szeryf z pobliskiego miasteczka, wbił się samochodem w ścianę płonącej szopy, wyskoczył zza kierownicy, wsadził ośmiorgo dzieciaków do wozu i wyjechał z płonącej szopy. Chwilę później budynek runął.

Tamtej nocy zginęło wielu dorosłych członków sekty, wśród nich – matka Maxa.

Pracownicy opieki społecznej znaleźli krewnych pięciorga z ośmiorga dzieci, ale trzech chłopcy – Max, Cabot Sutter i Jack Lancaster – nie mieli nikogo.

W noc pożaru Anson Salinas zabrał ich do siebie, bo nie mieli gdzie się podziać. A później zostali na dobre.

Kiedy było jasne, że czeka ich tułaczka po rodzinach zastępczych, Anson pociągnął za sznurki, szepnął tu i ówdzie słówko i błyskawicznie zyskał uprawnienia rodzica zastępczego.

Max wbił wzrok w ekran komputera i po raz kolejny analizował zgromadzone dane na temat dwóch denatek i trzech ofiar gwałtu. Dlaczego Louise Flint uznała, że to temat tak ważny, że ukryła te zapiski w piwnicy?

Do tego dochodził związek z inną ofiarą gwałtu – Jocelyn Pruett.

Zawsze jest jakiś wzorzec. Trzeba go tylko dostrzec.

Po pewnym czasie zamknął plik z nazwiskiem Louise Flint i otworzył inny, do którego zawsze zaglądał przed snem – podpisany Quinton Zane.

I on, i jego przyrodni bracia mieli takie foldery w swoich komputerach. Rzadko rozmawiali o tym z kimś spoza rodziny. Inni, w tym jego była żona, uważali ich za wariatów, zarzucali im obsesję i paranoję. I czasami Max nawet był skłonny przyznać im rację.

I on, i jego przyrodni bracia zapłacili wysoką cenę za poszukiwanie Quintona Zane'a. Max na przykład mało brakowało, a zapłaciłby życiem podczas ostatniego zadania w agencji. Zniszczyło mu to karierę, a małżeństwo poszło z dymem, jako skutek uboczny. Wiedział doskonale, że według byłej żony i byłych kolegów z pracy to już nie tylko obsesja, ale i wypalenie zawodowe. Byli przekonani, że widzi wzorce nawet tam, gdzie ich nie ma.

W agencji nikt nie chciał współpracować z wypalonym paranoikiem. I żadna rozsądna kobieta nie chciałaby z kimś takim żyć.

W ciągu minionych lat on, Jack i Cabot trafiali co pewien czas na plotki,

szepty i poszlaki sugerujące, że Zane nadal żyje, ale nigdy nie trafili na nic konkretnego. Nic, co ujawniłoby wzorzec.

Zamknął plik i sprawdził pocztę elektroniczną, zanim wyłączył komputer. Nic nowego, poza wiadomością sprzed miesiąca. Nie mógł zdecydować, czy ją usunąć, czy przenieść do archiwum, i dlatego ciągle była w skrzynce odbiorczej.

Dwa zdania i podpis:

„Proszę się ze mną więcej nie kontaktować. Jeśli mimo wszystko będzie mnie pan nagabywał, mój prawnik podejmie odpowiednie kroki prawne”.

I podpis: Davis Decatur.

Jego biologiczny ojciec.

Rozdział 12

Charlotte obudził dzwonek telefonu. W pierwszej chwili szare światło poranka zlewało się z senną wizją, w której wędrowała przez puste, zamglone pomieszczenia, szukając Jocelyn.

A potem znowu zadzwonił telefon.

Jocelyn. Może daje znak życia. W końcu.

Odrzuciła kołdrę, opuściła nogi na ziemię, sięgnęła po telefon. Na wyświetlaczu widniało nazwisko Cutler. W pierwszej chwili nie wiedziała kto to, a potem przypomniała sobie, że Max dał jej wizytówkę i że wprowadziła jego numer do pamięci aparatu.

– Trochę wcześniej – burknęła.

– Mamy problem – rzucił.

Uderzyło ją, że sądząc po głosie, nie śpi już od dawna. Zaciśnęła dłoń na telefonie.

– Jaki?

– Jocelyn Pruett nie ma w klasztorze Świętej Adeli.

Zrobiło jej się zimno. Wstała gwałtownie.

– Skąd wiesz? – zapytała. – W klasztorze nie ma telefonu. Jocelyn mówiła, że jej komórka będzie wyłączona podczas jej pobytu w klasztorze, bo nie ma tam zasięgu i Internetu.

– Na pewno?

– Tak. Słuchaj, wczoraj wieczorem napisałam do niej, z nadzieją, że może jednak czasem sprawdza wiadomości. Wspominałam, że mam złe wieści w sprawie Louise. Nie odpowiedziała.

– W jaki sposób Jocelyn zarezerwowała pobyt w tym ośrodku? – zainteresował się Max.

– Za pośrednictwem biura podróży, które specjalizuje się w egzotycznych wyprawach i właśnie pobytach w pustelniach. Organizują wyjazdy do tego typu ośrodków, turnusy relaksu z jogą i medytacją i tak dalej.

– Przed chwilą rozmawiałem z szefem policji na Wyspie Świętej Adeli. Okazał się bardzo pomocny. Powiedziałem mu, że mamy podbramkową sytuację i że natychmiast musimy skontaktować się z Jocelyn Pruett. Wysłał funkcjonariusza do klasztoru.

Charlotte zamknęła oczy.

– Idiotka ze mnie. Nie wpadło mi do głowy, żeby skontaktować się z miejscową policją.

– Nie jesteś idiotką, prędzej czy później pomyślałabyś o tym. Wczoraj musiałaś się najpierw uporać ze śmiercią Louise Flint.

Uniosła powieki.

– Dzięki, że mnie rozgrzeszasz. Czyli Jocelyn na pewno nie ma na wyspie?

– Cóż, nie było mnie tam, ale tak, raczej na pewno.

Charlotte ponownie przysiadła na skraju łóżka.

– O Boże.

– Przeorysza powiedziała, że owszem, Jocelyn Pruett zarezerwowała miesięczny pobyt i owszem, zjawiała się na wyspie i zameldowała.

– Co takiego?

– Ale dzień później się wymeldowała.

– Cholera.

– Najwyraźniej nie odpowiadał jej styl życia siostrzyczek.

– Coś takiego. – Charlotte odrobinę poprawił się humor. – Może przeniosła się do hotelu.

– Przeorysza nie wiedziała, dokąd się udała, tylko tyle, że wyjechała z klasztoru. I zanim zapytasz: nie, nie ma jej w żadnym z hoteli na wyspie. Miejscowa policja to sprawdziła.

Charlotte odetchnęła głęboko. Powoli godziła się z nasuwającymi się wnioskami.

– Jocelyn nigdy nie zamierzała zostać w tym klasztorze – orzekła.

– Na to wygląda – przyznał Max. – Najwyraźniej chciała zniknąć na co najmniej miesiąc, ale zarazem nie chciała by ktokolwiek, a już na pewno nie ty, się o nią martwił.

Charlotte najchętniej wzięłaby jego oschły głos za oznakę braku wyższych uczuć, ale coś jej podpowiadało, że w życiu Maxa to po prostu zwykła kolej rzeczy. Przecież on zawodowo szukał odpowiedzi. Ze swego punktu widzenia po prostu przekazywał jej najnowsze wiadomości, tak, żeby zaraz zająć się nowymi aspektami poszukiwań.

– Kupiła bilet na Wyspę Świętej Adeli, ba, posunęła się do tego, że zameldowała się w klasztorze, tak więc gdyby ktoś szukał jej w sieci, doszedłby do wniosku, że jest właśnie tam – ciągnął. – Większość osób założyłaby, że tam właśnie jest.

Charlotte z całej zacisnęła dłoń na telefonie.

– Większość osób takich jak ja, tak? Ale ty poszedłeś o krok dalej. Zwróciłeś się do miejscowej policji. Dlaczego na to nie wpadłam?

– Nie wpadłaś na to, bo aż do wczoraj nie było powodu, byś chciała to zrobić. W końcu niby dlaczego miałabyś podejrzewać, że przyrodniej siostry nie ma tam, gdzie miała być?

A teraz jeszcze czytał jej w myślach.

– A ty od razu założyłeś, że nie ma jej tam, gdzie powinna być? – dopowiedziała.

– Niczego nie zakładałem. Po prostu ilekroć to możliwe, lubię potwierdzać

fakty.

– Czyli moja siostra naprawdę zniknęła z radaru.

– Na to wygląda. Jeśli zechce się z tobą skontaktować bez telefonu, jest taka możliwość. Telefony na kartę. Komputery w miejscach publicznych. Ale tego nie zrobiła. – Max umilkł znacząco. – Prawda?

– Prawda – warknęła. Zawahała się. – Myślisz, że wie, że Louise Flint nie żyje?

– Jeśli zniknęła, bo czegoś się bała, logiczne, że wie, co się dzieje w Seattle. Możemy chyba spokojnie założyć, że wie o śmierci Louise, nie jestem natomiast w stanie określić, czy podejrzewa, że jej przyjaciółka padła ofiarą morderstwa.

– O tak, tego mogę być pewna. Za żadne skarby świata nie uwierzy, że jej najlepsza przyjaciółka przedawkowała. – Charlotte znowu poderwała się na równe nogi, zaciskając dłoń na słuchawce. – Boże, czy myślisz, że Jocelyn...

Nie była w stanie powiedzieć tego na głos, ale Max nie miał takich oporów.

– Możliwe, że nie żyje – przyznał. – Ale to mało prawdopodobne. Wiesz, zwłoki mają to do siebie, że właściwie zawsze wypływają na powierzchnię.

Skrzywiła się, ale zaraz sobie powiedziała, że w ten dziwny sposób Max chciał dodać jej otuchy.

– Tak, jak wypłynęło ciało Louise?

– Tak. – Zawahał się. – W tej chwili wszystko wskazuje na to, że Jocelyn się ukrywa. Fakt, że nie zdołałem jej odnaleźć, to najlepszy dowód na to, że wiedziała, co robi.

– Doskonale się porusza po nowoczesnych technologiach.

– To oczywiście. A pozostali członkowie jej rodziny? Mogła się z kimś skontaktować?

– Nie ma nikogo innego – odparła Charlotte. – Jej ojciec umarł wiele lat temu. Nie ma rodzeństwa. Jej ojciec ożenił się z moją mamą, gdy obie byłyśmy nastolatkami. Pytanie, przed kim się ukrywa?

– Może przed tym, kto zamordował Louise Flint – mruknął Max.

– Bałam się, że to powiesz.

Tępo wpatrywała się w okno.

– Jesteś tam jeszcze? – odezwał się Max po dłuższej chwili.

Z trudem przełknęła ślinę.

– Tak, tak, jestem. Po prostu trudno mi się z tym wszystkim uporać. Bo jeśli to prawda, co mówisz, Jocelyn coś przede mną ukrywała.

– Tak.

– Chciała mnie chronić.

– Tak myślisz?

– Zawsze taka była. Od samego początku.

– Słuchaj, nie chcę kłaść idealnego wizerunku siostry w twoich oczach –

zaczął Max – ale niewykluczone, że ukrywała coś przed tobą z innego powodu. Być może chroniła przede wszystkim siebie.

– Nie. – Charlotte powiedziała to z niezbitą pewnością w głosie. – Jeśli coś przede mną ukrywała, to dlatego, że nie chciała mnie wciągać w to, w co się wpakowała.

– Dowiem się, o co chodzi – zapewnił Max. – Jestem zawodowcem.

– Pamiętaj, że nie jesteś w tym sam. Nie zapominaj o mnie.

– Masz pomysł, od czego zacząć?

W jego głosie nie było sarkazmu ani arogancji, tylko zainteresowanie i ciekawość, jakby uważnie jej słuchał.

– W środku nocy przypomniała mi się notatka od Louise. Na tej kopercie z kluczami.

– No i?

– Napisała, że jej kopia dokumentów jest w piwnicy, a nie w sieci.

– Co sugeruje, że twoja siostra też miała egzemplarz tych dokumentów – dokończył Max. – O to ci chodzi?

– Tak.

Milczał przez chwilę.

– Masz pojęcie, gdzie mogła je ukryć?

– Większość ważnych dokumentów przechowuje w sieci, ale ma też staroświecki schowek.

Max znowu umilkł.

– Potrzebny nam klucz – stwierdził w końcu.

– Mam go – odparła Charlotte. – Tylko mnie w pełni ufała. – Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że użyła czasu przeszłego. – To znaczy, ufa. Jasne, nie mówi mi wszystkiego, ale mi ufa.

– Rozumiem – mruknął Max. – Znajdziemy ją.

Zaskoczyła ją ciepła nuta w jego mrocznym głosie. W jego ustach zabrzmiało to jak przysięga. Zauważyła także, że nie powiedział niczego więcej. Nie zapewniał, że Jocelyn żyje. Obiecał jedynie, że ją znajdzie.

Max Cutler nie składa obietnic, których nie zamierza dotrzymać, pomyślała. Z drugiej strony coś jej mówiło, że kiedy już coś obiecywał, pójdzie do piekła i z powrotem, żeby dotrzymać słowa.

Z trzeciej strony, powszechnie wiadomo, że nie bardzo zna się na mężczyznach. Dowodem koronnym niech będzie niejaki Brian Conroy.

– Zadzwońię do szefa i powiem, że się spóźnię – zdecydowała.

Rozdział 13

Charlotte wysypała zawartość torby na zakupy na stół, dzielący w jej mieszkanku część dzienną od kuchennej. Razem z Maxem wpatrywali się w przedmioty na dużym blacie – mapa samochodowa stanu Waszyngton, trzy duże koperty z inicjałami i czwarta, pełna dokumentów.

Zawartość schowka Jocelyn.

Nie chcieli przeglądać tych papierów w bankowym pomieszczeniu, więc przełożyli wszystko do siatki na zakupy. Podczas krótkiej jazdy do jej mieszkania Charlotte tuliła pakunek do siebie. Trzymała go jak worek z jadowitymi węzami – nie chciała mieć z nim nic wspólnego, a zarazem wiedziała, że nie może go od siebie odrzucić.

Max położył dłonie na stole i wpatrywał się w kartki papieru.

– Kolejna mapa Waszyngtonu – mruknął. – Zaczniemy od tego.

Rozłożył ją. Charlotte spojrzała na żółte i czerwone kropki.

– Te same miasteczka – zauważyła. Także te dwa, których mieszkanki jakoby przedawkowały.

Max sięgnął po koperty.

– To samo, co w kopercie Louise w walizce – potwierdził. – Kopie nekrologów i zgłoszeń gwałtu. I odręczne dopiski sugerujące, że we wszystkich pięciu sprawach w grę wchodziły narkotyki.

Charlotte wpatrywała się w zapiski.

– Pismo Jocelyn, nie Louise.

– Czyli miały dwie kopie dokumentów, tak jak napisała Louise.

Charlotte podniosła głowę.

– Najwyraźniej sprawdzały wszystko w sieci, ale kiedy przyszło co do czego, zapisały wszystko na papierze. Dlaczego?

– W dzisiejszych czasach najbezpieczniej jest coś ukryć właśnie tak, po staremu, w realu. Do gwałtów doszło w ciągu kilku miesięcy zeszłego roku, zgony narkotykowe to świeższa sprawa, jeden z połowy sierpnia, drugi – końca września.

Wysypał zawartość największej koperty na stół. Wycinki z gazet, dokumenty, zapisane kartki.

Charlotte sięgnęła po jeden z wycinków, przeczytała. W pierwszej chwili nie zrozumiała nagłówka, a kiedy dotarło do niej, co oznacza, ciężko osunęła się na krzesło.

– Wiedziałam, że Jocelyn przechowuje ważne dokumenty, ale nie miałam pojęcia, że było tego tak dużo.

Oddała mu wycinek. Przebiegł go wzrokiem, w skupieniu ściągając brwi.

– Studentka ofiarą gwałtu – przeczytał na głos. – Nieznany sprawca ucieka. – Odłożył go, sięgnął po plik dokumentów. – To kopia policyjnego raportu po

gwałcie na twojej siostrze. Wynika z niego, że nie widziała sprawcy, bo groził jej nożem i zawiązał oczy.

– Tak. – Charlotte wzięła inny wycinek. – Lista nazwisk. Dwieście albo trzysta.

Max wyjął arkusz z jej dłoni.

– Sami mężczyźni. Kilku wykreślono, część dodano w późniejszym okresie.

– Lista podejrzanych – szepnęła Charlotte. – Ciekawe, jak ją stworzyła.

– Do gwałtu doszło na kampusie college’u Loring. Może posłużyła się uniwersyteckimi rocznikami.

– No tak, że też o tym nie pomyślałam. Od samego początku była przekonana, że napastnik był studentem. To mały college, a wtedy był jeszcze mniejszy. – Charlotte wpatrywała się w zawartość koperty. – Przez tyle lat wszyscy myśleliśmy, że Jocelyn się z tym uporała. A ona utwierdzała nas w tym przekonaniu.

Max zmrużył oczy.

– Nas?

– Naszą rodzinę. Mnie. Wmawiała nam, że uporała się z gwałtem, bo wiedziała, że zamartwiamy się tym, jak bardzo tamte wydarzenia odcisnęły się na jej życiu emocjonalnym. A jednocześnie przechowywała listę potencjalnych sprawców i te wszystkie wycinki. Przecież to na pewno jej nie pomagało.

– Skąd to przekonanie?

Spojrzała na niego przez łzy.

– Bo te dupki z policji w Loring pogubiły materiał dowodowy, dlatego. Nie mamy pojęcia, kiedy dowody rzeczowe zniknęły z policyjnego magazynu. Nikt się do niczego nie przyznał, ale kiedy to przepadło, nie było już szans na ukaranie sprawcy.

– Rozumiem.

Max siadł. Wpatrywał się w przedmioty na stole. Sięgnął po plik zadrukowanych kartek.

– Widać, że zbierała dane o gwałtach o podobnym przebiegu – mruknął. – Przynajmniej na początku. Te dwa są z tego samego roku. Ofiary wspominają, że napastnik zawiązał im oczy i groził nożem.

– Jocelyn miała obsesję na punkcie śledzenia doniesień o tych przestępstwach. Dochodziło do nich też na innych uczelniach, nie tylko w Loring, więc niełatwo było o informacje.

– To mógł być naśladowca.

– Według niej – nie. Wytropiła dwie ofiary i z nimi rozmawiała. Wróciła przekonana, że to ten sam napastnik. Szukała wzorca. A potem doniesienia się urwały.

– Tacy przestępcy nie zmieniają zazwyczaj swojej techniki – zauważył Max.

– Ale czasami ich metody ewoluują, stają się bardziej wydajni.

Charlotte przeszył dreszcz niepokoju. Max mówił z zadziwiającym spokojem, jakby sprawa Jocelyn była tylko ciekawą zagadką.

Ale kiedy przyjrzała mu się uważniej, wyczuła aurę skupienia.

– Jocelyn czasami zastanawiała się, czy gwałcieł wyjechał poza granice stanu – zauważyła. – Albo może trafił za kratki za inne przestępstwo.

– I jedno, i drugie bardzo możliwe. – Max przeglądał wycinki i wydruki. – Musimy teraz zadać sobie pytanie, co jej historia ma wspólnego z dwiema denatkami, trzema zgwałconymi i śmiercią Louise Flint.

– Może to wszystko nie jest ze sobą powiązane – zauważyła.

– Wątpię. Zbiegi okoliczności zdarzają się naprawdę, ale rzadko wyglądają tak. – Podniósł policyjny raport ze sprawy Jocelyn. – Może się okazać, że mamy kolejne podejście do tej sprawy.

– Czyli co?

– Nie co, tylko kto. Detektyw Briggs z policji w Loring. Chyba on prowadził dochodzenie.

– Jocelyn zgwałcono ponad dziesięć lat temu. Briggs był wtedy po pięćdziesiątce. Pewnie już przeszedł na emeryturę i nawet jeśli nadal jest w pobliżu, pewnie nie zechce nam pomóc. Nigdy się nie palił do rozwiązania tej sprawy. Nikomu nie postawiono zarzutów.

– Jeśli żyje, znajdę go.

– Wierzę. – Uśmiechnęła się leciutko.

– To moja praca. – Wzruszył ramionami.

– Wiem.

– A tymczasem musimy udawać, że nadal wierzymy, że Jocelyn jest na Wyspie Świętej Adeli.

Dotknęła arkusza z nazwiskami.

– Bo jeśli uznała, że musi zniknąć, miała ku temu dobry powód.

– I dlatego, że jedna kobieta już nie żyje.

Rozdział 14

Louise nie żyje.

Jocelyn wpatrywała się w ekran komputera i w kółko czytała lakoniczne doniesienia prasowe.

Kobieta znaleziona martwa w swoim mieszkaniu... Na nocnym stoliku znajdowały się nielegalne narkotyki i strzykawka... Podejrzewa się samobójstwo.. Zlecono badania toksykologiczne... Ofiara w przeszłości nadużywała narkotyków... Ostatnio pracowała jako wolontariuszka w schronisku dla maltretowanych kobiet...

To morderstwo, nie samobójstwo, pomyślała Jocelyn. Miały z Louise rację. W którymś momencie jedna z nich popełniła straszny błąd. Zwróciły na siebie uwagę sukinsyna, na którego polowały.

Zawsze miał nad nimi jedną wielką przewagę, pomyślała. Od samego początku wiedział, kim jest ona, Jocelyn. A ona nie miała pojęcia, z kim ma do czynienia.

Ale dlaczego zamordował Louise?

Bo mnie nie mógł odnaleźć?

Poczucie winy uniemożliwiało oddychanie. Śmierć Louise to jej wina.

Zmuszała się do oddechu. Kiedy odrobinę odzyskała jasność myślenia, usiłowała skupić się na logicznym rozumowaniu. Obie z Louise doszły do wniosku, że potwór ewoluuje, posuwa się coraz dalej. Jeśli się nie myliły, ostatnie dwie ofiary zamordował. Ale w którym momencie zdał sobie sprawę, że ktoś go obserwuje? Przecież były tak bardzo ostrożne.

Tak bardzo ostrożne, że teraz Louise nie żyje.

Jeśli naprawdę zamordował Louise, nic go teraz nie powstrzyma. Musiała założyć, że wiedział, czemu tak naprawdę istnieje klub inwesterek. A jeśli tak, może zechcieć pozbyć się ich wszystkich.

Musi je ostrzec. Ale z drugiej strony ma im tak mało do powiedzenia. Nie zna jego nazwiska. Nie ma żadnych dowodów; tylko wewnętrzne przekonanie, że poluje na nie seryjny gwałcień, który teraz posuwa się też do morderstwa.

Panujące wokół ożywienie nie pozwalało jej się skoncentrować. Było późne popołudnie, w bibliotece pełno ludzi. Hałas dobiegał głównie z działu dziecięcego. Godzina opowieści. Dyżurna bibliotekarka zachęcała dzieci do czynnego udziału i maluchy słuchały jej radośnie. W sąsiednim pokoju zebrała się grupka głośnych nastolatków, a w drzwiach mijali się dorośli klienci.

Ale najwięcej osób tłoczyło się przy powszechnie dostępnych komputerach. Wszystkie były zajęte. Musiała zarezerwować stanowisko i cierpliwie czekać na swoją kolej.

Ze względu na duże zainteresowanie miała ograniczony czas przy

stanowisku – marne pół godziny. Chciała poświęcić ten czas na poszukiwanie informacji o mężczyźnie, którego tropiły z Louise, ale szybko sprawdziła też pocztę elektroniczną z pracy. I tym sposobem dowiedziała się, że Louise nie żyje.

Morderca zabił ją za pomocą narkotyków. Na pewno nie poszło łatwo. Louise nie znosiła narkotyków. Musiał ją obezwładnić, choć według policji w mieszkaniu nie było śladów walki. To bez sensu. Louise nie poddałaby się bez oporu.

Jocelyn wyłączyła komputer, przez chwilę siedziała w milczeniu, usiłowała zebrać myśli. Dopóki nie dowiedziała się o śmierci Louise, łudziła się, że to one nadal panują nad sytuacją. Powtarzały sobie, że to niemożliwe, że sukinsyn wie, że depczą mu po piętach.

Ale teraz musiała pogodzić się z faktem, że to on na nie poluje.

Oddałaby wszystko, żeby móc pogadać z Charlotte. Charlotte była spokojna i opanowana. Sama o sobie mówiła, że jest nudna, a fakt, że narzeczony rzucił ją tuż przed ślubem, na pewno nie poprawił jej samooceny. Ale prawdziwy problem to co innego. Charlotte była zbyt ufna. Wierzyła ludziom od pierwszej chwili.

Ponieważ sama nigdy nie kłamała, wychodziła z błędnego założenia, że inni postępują tak samo, a przynajmniej nie kłamią w żywe oczy. W jej świecie nikt nie postępuje nie fair, póki nie złapie się go na gorącym uczynku, a wtedy oczywiście jest już za późno.

Nawet gdy okazywało się, że ktoś za żadne skarby nie zasługuje na zaufanie, Charlotte reagowała rozczarowaniem, a nie gniewem czy goryczą. A najgorsze, że zazwyczaj obwiniła siebie, że nie dostrzegła w innych negatywnych cech.

Kiedy Brian Conroy oznajmił, że ślubu nie będzie, doszła do wniosku, że to jej wina, bo pozwoliła sobie uwierzyć, że to on jest jej księciem z bajki. A idiotka terapeutka, do której chodziła przez kilka tygodni, jeszcze ją w tym utwierdzała.

Błąd, ale Charlotte już taka jest.

Jocelyn na chwilę przymknęła oczy i usiłowała uspokoić oddech. Rzecz w tym, że Charlotte to jedyna osoba, której mogła zaufać, zwłaszcza teraz, po śmierci Louise. Nie śmiała się jednak z nią skontaktować, nie chciała narażać jej na niebezpieczeństwo.

– Ej, jeśli pani już skończyła, teraz moja kolej.

Zaskoczona uniosła głowę i zobaczyła niechlujnego nastolatka w butach do biegania, dżinsach i bluzie z kapturem.

– Proszę bardzo – mruknęła.

Wstała, wzięła plecak z krzesła i odeszła od stanowiska.

– Dzięki. Praca domowa czeka.

Jasne, pomyślała. Dzieciaki w jego wieku mają w domu tyle elektroniki, że obdzieliłyby kilku innych. Nie muszą uciekać do biblioteki publicznej, żeby odrobić lekcje.

Chłopak usiadł na jej miejscu i szybkimi, zwinnymi ruchami odpalił komputer. Widać, że robił to wielokrotnie.

Zarzuciła plecak na ramię i ruszyła do drzwi. Zanim odeszła, zerknęła na monitor nastolatka.

Zdążył już wejść na stronę porno i oglądał spoconych ludzi ochoczo uprawiających seks.

– Ciekawa praca domowa – mruknęła.

Oderwał wzrok od ekranu na chwilę i prychnął:

– Spadaj, pańcia. Znam moje prawa konstytucyjne.

A więc dzieciak ogląda pornosy na komputerze w bibliotece, żeby rodzice nie wiedzieli, czym się zajmuje w czasie, który powinien poświęcać na naukę. I co z tego? Sama przed chwilą skorzystała z tego komputera, żeby dowiedzieć się o śmierci przyjaciółki, a nie korzystała z własnego sprzętu, bo nie chciała, żeby morderca wiedział, gdzie się znajduje. Każdemu według zasług. Biblioteka publiczna przygarnie wszystkich.

Ruszyła do drzwi. Nie jest jej zadaniem uczyć młode pokolenie dobrych manier. Miała na głowie ważniejsze sprawy – jak choćby utrzymanie się przy życiu.

Pchnęła szklane drzwi, wyszła na mroźne powietrze. Postanowiła zaszyć się w Portland w stanie Oregon, nie odważyła się zostać w Seattle. Zbyt wiele osób ją znało i choć ostatnimi czasy miasto bardzo się rozwinęło, pod wieloma względami nadal było to małe miasteczko.

Oddałaby wszystko za telefon na kartę i krótką rozmowę z Charlotte, ale bała się ryzykować. Charlotte jest bezpieczna, póki nie ma o niczym pojęcia. Zresztą Charlotte zapewne poradzi jej, żeby od razu poszła na policję. A to nie wchodziło w grę. Nie miała nic konkretnego. Nic a nic.

Jeśli wydarzenia sprzed lat czegoś ją nauczyły, to tego, że nie ma najmniejszego sensu zwracać się do władz, o ile nie jesteś w stanie osobiście zidentyfikować napastnika i dostarczyć im niezbitych dowodów jego winy. Policjanci nie uwierzyli jej, gdy była studentką w Loring, nie uwierzą i teraz.

Pytanie, co dalej. Niepokój pulsował jej w żyłach. Stare lęki, z którymi tak długo walczyła, odzywały się znowu. Czula, jak dawny koszmar zaciska się wokół niej, jak wspomnienie noża na gardle i worka na głowie mąci jasność myślenia. Nie mogła oddychać. Dusila się we własnej skórze.

Drżącymi palcami otworzyła plecak i wyjęła opakowanie leków. Połknęła tabletkę bez popijania, więc oczywiście stanęła jej w gardle. Nie, to pewnie tylko jej rozszalała wyobraźnia. Nerwowo przełykała, raz za razem, ale tabletkę nadal stała jej w przełyku.

W przyprawie paniki wróciła do biblioteki. Zdążyła, dobiegła do kranika z wodą pitną. Piła chciwie, aż nacisk w gardle ustąpił.

Znowu wyszła na dwór, usiadła na ławce i czekała, aż lek zacznie działać. Z biblioteki wylewał się potok ludzi.

Uspokoila się w końcu i zaczęła planować kolejne posunięcie. Problem w tym, że nie sposób sprawdzić, czy pozostałe członkinie klubu też są w niebezpieczeństwie. Musiała założyć, że morderca Louise poluje też na nią. Jednak przy odrobinie zdrowego rozsądku doszedłby do wniosku, że Madison, Victoria i Emily nie stanowią dla niego żadnego zagrożenia. Ani ona, ani Louise nie zdradziły im nigdy, że polują na mordercę.

Tylko że nie sposób założyć, że psychopata słucha zdrowego rozsądku. Jakby nie było, to gwałcieciel i zabójca, może wariat. A już na pewno psychopata.

Pytanie tylko, dlaczego kilka miesięcy temu doszło do eskalacji. O ile jej wiadomo, do tamtego momentu nadal tylko gwałcił i terroryzował swoje ofiary, nikogo nie mordował. Coś musiało się wydarzyć, coś, co zmieniło jego sposób postępowania.

Nieważne; teraz to już nie tylko jej przeszłość. Musi ostrzec pozostałe, doszła do wniosku. Na samym początku ustaliły plan postępowania na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. To był pomysł Madison. Madison była pomysłodawczynią klubu. Po kolei wprowadzała je w swój nowy, tajemniczy, ekscytujący świat.

Jocelyn wstała i wróciła do biblioteki. Ustawiała się w kolejce, by pod fałszywym nazwiskiem zapisać się na stanowisko komputerowe.

Miała tylko nadzieję, że dostanie inne stanowisko niż to po młodocianym miłośniku pornografii.

Rozdział 15

Gdy zjawił się Max, impreza urodzinowa trwała w najlepsze. Stał w progu i patrzył, jak Charlotte kroi tort i podaje staruszkom różową lemoniadę.

Imprezowicze byli w różnym wieku, od ludzi po siedemdziesiątce po okolice dziewięćdziesiątki. Jedna czy dwie osoby chyba zbliżały się do setki. Pod sufitem wisiała wstęga z napisem: „Wszystkiego najlepszego”, wszędzie kołysały się balony.

Starsza pani z kaskiem siwych loków na głowie podeszła do niego z chodzikiem i spojrzała mu prosto w oczy.

– Zapraszam – powiedziała. – Proszę się rozgościć. Jestem Ethel Deeping, tak przy okazji.

– Bardzo mi miło, pani Deeping – odparł.

– Ethel, mój drogi. To impreza dla wszystkich mieszkańców Deszczowych Ogrodów, którzy mają urodziny w tym miesiącu. Ciasto i lemoniada.

– Super – mruknął. – Ale chciałem tylko zamienić kilka słów z panią Sawyer.

– Z Charlotte? – Ethel zerknęła szybko w stronę stołu. – Tam jest. – Podniosła głos. – Charlotte, jakiś dżentelmen do ciebie.

Charlotte uniosła głowę, słysząc swoje imię. Maxowi wydawało się, że dostrzegł w jej oczach błysk zadowolenia, kiedy go zobaczyła. Ale może tak mu się tylko zdawało. Albo widział to, czego pragnął.

– Dziękuję, Ethel – powiedziała. Z uśmiechem wyciągnęła w jego stronę papierowy talerzyk z kawałkiem ciasta. – Może tortu?

Nagle zdał sobie sprawę, że wszyscy zebrani patrzą na niego. W ich oczach była jawna ciekawość, a w spojrzeniach niektórych widział też coś jakby podejrzliwość.

– Chętnie – mruknął.

Podszedł do stołu i wziął od niej talerzyk z ciastem. Charlotte podała mu też plastikowy widelczyk. Uniósł kawałek tortu do ust.

Wokół nich ponownie rozbrzmiały rozmowy.

Podszedł bliżej i ściszył głos.

– Dlaczego wszyscy się na mnie gapią? – zapytał.

– Są ciekawi – odparła.

– Bo jestem tu obcy?

– Nie do końca. Tu raczej chodzi o mnie. Ostatnim mężczyzną, który odwiedził mnie w pracy, był mój narzeczony. Przyszedł powiedzieć, że ślubu nie będzie.

– Tutaj? Publicznie? Na oczach twoich współpracowników i mieszkańców ośrodka?

– Brian stwierdził, że tak będzie mi łatwiej.

Max nie wierzył własnym uszom.

– Łatwiej? Tobie?

– No wiesz, że później nie zostanę sama. Że wiedział, że znajdę się wśród przyjaciół, którzy udzielą mi wsparcia.

– Co za stek bzdur.

Nie zdawał sobie sprawy, że powiedział to w rzadkiej chwili ciszy, która akurat zapadła w pokoju pełnym rozmów. Ale było już za późno.

Goście zastygli w bezruchu. Nagle znalazł się w centrum zainteresowania. Na otaczających go twarzach widział całą gamę uczuć, od dezaprobaty po żywe zainteresowanie. Dałby też sobie rękę uciąć, że słyszał kilka stłumionych śmiechów.

W najdalszej części pomieszczenia siwiuteńka dama waliła łaską w podłogę.

– Co powiedział? – dopytywała bardzo władczym głosem.

Max domyślał się, że to emerytowana lekarka. Albo wykładowczyni.

– Że to stek bzdur – poinformowała Ethel, podnosząc głos, żeby pytająca na pewno usłyszała odpowiedź.

– Na miłość boską – mruknęła Charlotte.

– A dlaczego tak powiedział? – drążyła staruszka z łaską.

– Dobre pytanie – zauważył ktoś inny.

– No i masz – wycedziła Charlotte, niemal nie otwierając ust. – Nawarzyłeś tego piwa, to je wypij.

Znowu zapadła cisza. Max przełknął kawałek ciasta i spojrzął na zebranych.

– Pani Sawyer powiedziała mi przed chwilą, że jej były narzeczony, najwyraźniej straszny dupek, przyszedł tutaj, do Deszczowych Ogrodów, żeby jej powiedzieć, że ślubu nie będzie. Dodała, że jego zdaniem tak było lepiej i że zrobił to akurat tutaj dla jej dobra. Sukinsyn, jak zapewnia, chciał wykazać się troską, wolał, żeby po wszystkim nie była sama, żeby znalazła się wśród przyjaciół, którzy udzielą jej wsparcia. Powiedziałem, że to stek bzdur. Zrobił to, bo wiedział, że przy państwie nie zrobi mu awantury.

– Święta racja – huknął starszy pan.

– Stek bzdur – przyznał inny.

– Tak jest, drań dbał tylko o własną skórę – orzekła Ethel. – Najprawdziwszy fiut, tyle powiem. Dobrze, że za niego nie wyszłaś, Charlotte.

Ze wszystkich stron rozległy się głosy poparcia.

Max spojrzął na Charlotte.

– Tak jest – dodał. – Dobrze, że za niego nie wyszłaś.

Łypnęła na niego groźnie.

– Co pana tu właściwie sprowadza, panie Cutler?

– Chciałem zapytać, czy się spotkamy, kiedy skończysz pracę. Może na

drinka? Musimy sporo omówić.

W pomieszczeniu rozległ się pomruk aprobaty.

Ethel się rozpromieniła.

– Zgódź się, Charlotte. Ten jest o wiele lepszy od tamtego fiuta.

– Dziękuję – odparł Max. – Ale fiut wyznaczył raczej niskie standardy.

Kolejna fala śmiechu.

Charlotte zacisnęła usta.

Max przysunął usta do jej ucha.

– Namierzyłem policjanta z Loring, który prowadził sprawę twojej siostry.

Zgodził się z nami porozmawiać.

Charlotte wstrzymała oddech. Otworzyła szeroko oczy.

– Kończę o piątej. Możesz do mnie przyjechać koło szóstej? Tam nikt nie będzie nam przeszkadzał.

– Jasne.

Rozdział 16

Madison upewniła się, że asystentka wyszła z biura, i dopiero wtedy sięgnęła po telefon.

Victoria odebrała natychmiast. Była bardzo spięta.

– Też dostałaś ostrzeżenie? – zapytała.

– Tak. – Madison podeszła do przeszklonej ściany w gabinecie na trzydziestym siódmym piętrze. Widziała stąd Elliott Bay i góry Olympics. – Właśnie kontaktowała się ze mną Emily. Ona też to dostała.

– To przynajmniej oznacza, że Jocelyn żyje. Ukrywa się.

– Niekoniecznie. Wiadomość wysłano z anonimowej skrzynki. Nie mamy pewności, że napisała ją Jocelyn.

– Co ty opowiadasz? – Victoria była wyraźnie zaskoczona. – A kto miałby to zrobić? Tylko nasza piątka zna kod alarmowy.

– No właśnie. Louise nie żyje, a Jocelyn rzekomo wyłączyła się z rzeczywistości.

– Do czego zmierzasz? – Victoria nadal nic nie rozumiała.

– Może to Emily. Zna się na komputerach. Umiałyby sprawić, że wiadomość wygląda, jakby nadano ją z anonimowego adresu.

Chwila ciszy, gdy Victoria analizowała jej słowa.

– Ale niby dlaczego miałyby to robić?

– Nie wiem tego na pewno, ale szczerze mówiąc, przychodzi mi do głowy pewne rozwiązanie i, jeśli mam być szczerą, przeraża mnie śmiertelnie.

– Czyli?

– Keyworth.

– Ale jak to? – W głosie Victorii pojawiła się czujność.

– To wygląda na strzał w dziesiątkę. W grę wchodzi ogromne sumy.

– Jezu, Madison, chyba żartujesz.

– Początkowo miałyśmy podzielić zysk na pięć. Ale kiedy jedna nie żyje, do podziału zostaje nas cztery. A jeśli zniknie kolejna, zostaną trzy.

– A jeśli to nie koniec? Jeśli kolejną spotka nieszczęśliwy wypadek albo też przedawkuje prochy? Ty albo ja, na przykład?

– Sugerujesz, że Emily celowo się nas pozbywa? Przecież to ty wprowadziłaś ją do naszej grupy.

– Wtedy wydawało mi się, że to świetny pomysł. No i dysponowała niezbędnymi nam umiejętnościami. Myślę, że początkowo uważała to za fantastyczną zabawę, ale być może teraz dostrzegła życiową szansę – żeby na Keyworth zarobić fortunę.

– Jesteś tego pewna?

– Nie – przyznała Madison. – Ale w moim świecie najważniejsza zasada

brzmi: idź za pieniędzmi.

– Emily jest równie zestresowana jak my. Przecież widziałas.

– Może tylko udaje.

– Jeśli to Emily zamordowała Louise, to oznacza, że ma dostęp do narkotyków i potrafi nimi zabić.

– To akurat nie wymaga wielkiej wiedzy – zauważyła Madison. – Emily też jest wolontariuszką w schronisku. Mnóstwo kręcących się tam osób ma do czynienia z narkotykami. Nietrudno nawiązać kontakt z dilerem. Emily wystarczyłaby pigułka gwałtu, żeby Louise straciła przytomność, a później mogła ją załatwić.

– Wszystko już wymyśliłaś, co?

– Miałam trochę czasu do namysłu.

– I jak? Ty też uciekasz?

– To nie takie proste – odparła Madison. – Muszę trzymać rękę na pulsie tej sprawy z Keyworth. Nie mogę sobie pozwolić na takie nagłe zniknięcie. Zbyt wiele może w ostatniej chwili pójść nie tak.

– A nie możesz trzymać ręki na pulsie przez Internet? Nie musisz przecież siedzieć w Seattle.

Madison zacisnęła dłoń na telefonie. Żołądek fiknął jej salto. Tyle pieniędzy.

– Nie zniknę jak Jocelyn – zapewniła.

– Jak chcesz. Oczywiście ucieszyłabym się z takiej okrągłej sumki, ale nie zaryzykuję życiem dla kasy.

– Nie możesz ukrywać się bez końca – zauważyła Madison.

– Nie, ale mogę zniknąć, póki to wszystko się nie wyjaśni. Jeśli masz rację, wszystko się skończy po transakcji. Wyjeżdżam już dzisiaj.

– Poczekaj, Vicky. Dokąd?

– Do ciotki, na wybrzeże, przynajmniej na razie. – Urwała na chwilę. – A przy okazji, skoro snujesz różne teorie, mam coś dla ciebie.

– Tak?

– Może to nie Emily powinna spędzać nam sen z powiek.

Madison wstrzymała oddech.

– Sugerujesz, że to Jocelyn?

– Ona pierwsza wyjechała – zauważyła Victoria. – A na komputerach zna się prawie tak dobrze jak Emily. Do zobaczenia, Madison.

Rozłączyła się.

Rozdział 17

Charlotte kroїła kawałek bardzo drogiego sera, który w drodze do domu kupiła na targu Pike Place, i powtarzała sobie, że spotkanie z Maxem to nie randka.

Mieli porozmawiać o tym, czego się dowiedział od emerytowanego policjanta z Loring.

Zdecydowanie nie randka.

Ale świadomość, że zaraz zapuka do jej drzwi, przyprawiała ją o przyjemny dreszcz oczekiwania. Dziwne uczucie. Od klęski pod tytułem Brian Conroy nie zapraszała do domu żadnego mężczyzny.

Jocelyn powoli traciła do niej cierpliwość i zarzucała jej, że ucieka przed całym światem. Ale wcale się tak nie czuła, po prostu straciła zainteresowanie tą sferą życia.

Intrygowało ją, czego Max oczekuje po tym spotkaniu. Pewnie postrzeża je jako wizytę roboczą. Jakby nie było, to profesjonalista.

Wpatrywała się w kawałki sera, starannie ułożone na talerzu. Max wydawał się sprawny i zdrowy. Pewnie ma niemały apetyt.

Dołożyła jeszcze resztkę sera i więcej krakersów. Nie postawi sera i wina na stół, póki nie uzna, że to odpowiedni gest. Jeśli nie, wysłucha, co Max ma do powiedzenia, i pożegna go, a wino i ser zje sama.

Cichy dzwonek telefonu wyrwał ją z zadumy.

Max. Pewnie dzwoni, żeby odwołać spotkanie.

Niemal słyszała kpiący głos Jocelyn. Jasne, nie ma to jak pozytywne myślenie.

Przypomniała sobie, że dzwonek jest tak cichy, bo nie wyjęła telefonu z torebki. Pobiegła do saloniku i wyjęła aparat.

Zerknęła na wyświetlacz. I krew zastygła jej w żyłach. Choć wykasowała Briana Conroya z książki telefonicznej, nadal poznawała jego numer.

Naprawdę, ale to naprawdę nie chciała z nim rozmawiać. Z drugiej strony, nie tak dawno święcie wierzyła, że jest w nim po uszy zakochana i wmawiała sobie, że on też ją kocha, przynajmniej przez jakiś czas. To w sumie nie był zły człowiek, tłumaczyła sobie. Z perspektywy czasu doszła do wniosku, że właściwie powinna być mu wdzięczna. Jakby nie było, lepiej, że zmienił zdanie przed ślubem, a nie po nim.

Ale wiedziała też, co powiedziałyby Jocelyn, gdyby tu była. Nie odbieraj.

Odebrała, wmawiając sobie, że robi to tylko i wyłącznie z ciekawości.

– Halo – zaczęła swobodnie.

– Charlotte, skarbie, tak się cieszę, że cię słyszę. Martwiłem się o ciebie. Chciałem się upewnić, że wszystko w porządku.

Mówił bardzo przekonująco, ale zdrobienie kochanie zabolowało. Usiłowała

zrozumieć swoją reakcję i zaskoczył ją wniosek, do którego doszła – więcej w niej irytacji i zniecierpliwienia. Zerknęła na zegarek. Lada chwila przyjdzie jej gość.

– U mnie wszystko w porządku, Brian, ale w tej chwili jestem bardzo zajęta – odparła. – Dzięki, że dzwonisz. Muszę kończyć i...

– Poczekaj, nie rozłączaj się jeszcze. Muszę z tobą pogadać.

– Nie wiem o czym. Słuchaj, czekam na gościa i...

– Taylor już się nie liczy.

Powiedział to takim głosem, jakby informował ją o końcu świata.

Wróciła do kuchni, zajrzała do lodówki, żeby się upewnić, że na pewno wstawiła do schłodzenia butelkę białego wina.

– Kim, na miłość boską, jest Taylor? – zapytała. – Och, już wiem. Ta kobieta, która, jak twierdziłeś, tkwi w złym związku. O ile pamiętam, chciałeś ją ratować.

– Wykorzystała mnie.

– Coś takiego. Przykro mi, muszę kończyć.

Była zwyczajnie wredna. Trudno, mam do tego prawo.

– Skarbie, domyślam się, że chowasz urazę w związku z tym, co się wydarzyło, ale w głębi duszy wiesz, że zawsze będziemy przyjaciółmi.

– Słuchaj, Brian, coś ci powiem. Przyjaciele nie zostawiają się wzajemnie ze stertą rachunków za odwołany ślub. Właśnie skończyłam spłacać tę cholerną suknię i kwiaty.

– To nie fair. Powinnaś była wszystko zwrócić.

W innych okolicznościach rozbawiłoby ją oburzenie w jego głosie.

– We wszystkich umowach są takie małe klauzule o terminach rezygnacji – wyjaśniła. – Gdybyś wycofał się kilka miesięcy, a nie kilka dni przed ślubem, wszystko byłoby w porządku, ale tak nie było. Żegnaj, Brian.

– Posłuchaj, skarbie, naprawdę muszę z tobą porozmawiać.

– Chcesz mojej rady?

– Oczywiście. Zawsze widzisz wszystko we właściwych proporcjach.

– No to słuchaj: nigdy więcej nie mów do mnie skarbie.

– Jesteś rozgoryczona i zła. To nie w twoim stylu, Charlotte.

– Jak się okazuje, jednak w moim. Kto by pomyślał?

Rozłączyła się, rzuciła telefon na kuchenny blat. Przez chwilę stała nieruchomo, świadoma, że w jej żyłach pulsuje czysta adrenalina. Fakt, odmawiając Brianowi prawa do wypłakania się na jej ramieniu, zachowała się małostkowo i wrednie, ale do jasnej cholery, ileż jej to dało satysfakcji.

Jocelyn byłaby ze mnie dumna, pomyślała.

Uniesienie opadło, ale emocje nie. Podeszła do lustra, żeby sprawdzić fryzurę i makijaż. Coś jej mówiło, że Max zjawi się punktualnie.

To nie randka, upomniała się kolejny raz. Będą rozmawiać o bardzo

poważnych sprawach. Ale, jak powiedziałyby Jocelyn, odrobina szminki nigdy nie zaszkodzi. Dodaje kobiecie pewności siebie.

Rozdział 18

Victoria upchnęła w walizie jeszcze dwie rzeczy – szlafrok i koszulę nocną – i z trudem zamknęła wieko.

Na samym początku to była tylko zabawa, i to w słusznej sprawie, dzięki której czuła się jak bogini zemsty. Jasne, wiązała się z pewnym ryzykiem, ale żadna z nich nie spodziewała się nadciągającej katastrofy. Wmówiły sobie, że za pozornie nieprzeniknionym murem internetowej anonimowości nic im nie grozi.

Walizka domknęła się z trudem. W innych okolicznościach wzięłaby po prostu drugą walizkę, ale bez sensu zabierać za dużo rzeczy. Przecież nie wybiera się na wakacje, tylko chce się ukryć. Niepotrzebne jej eleganckie kreacje. Nie założy klasycznych kostiumów, nie będzie się męczyć w szpilkach na wysokim obcasie.

Ściągnęła walizkę z łóżka i wytaszczyła z sypialni. W korytarzu zgasła światło. Miała łzy w oczach. Kochała to mieszkanko. Cierpiała, uciekając z niego.

Przy drzwiach po raz ostatni rozejrzała się po wnętrzu, na które tak ciężko pracowała. Do dziś symbolizowało wszystko, o czym marzyła jako młoda dziewczyna uwięziona w koszmarze na jawie – bezpieczny, spokojny azyl.

To dom, o jakim marzyła, kuląc się w szafie, usiłując rozpaczliwie uciec przed pijackimi wrzaskami ojczyma, który katował jej matkę. Dom, o którym śniła, gdy pewnej nocy matka obudziła ją i powiedziała, że odchodzą. Wtedy spakowała swoje skarby w szkolny plecak.

W drodze do drzwi spojrzała wtedy przelotnie na ojczyma, chrapiącego w saloniku przed telewizorem. Na podłodze koło jego fotela poniewierała się pusta butelka po alkoholu.

Matka pojechała wtedy prosto do domku ciotki na wybrzeżu.

Przez wiele miesięcy żyły w strachu, przerażone, że drań je odnajdzie, póki nie zrobił im wszystkim przysługi i nie zabił się samochodem, kiedy jechał po pijaku.

Victorię wielką dumą napawała świadomość, że odniosła w życiu sukces, wbrew przeciwnościom losu. Skończyła studia na małym uniwersytecie, kochała swoją pracę w marketingu i była bardzo dobra w tym, co robiła.

Przyszłość, którą sobie budowała, wyglądała zachęcająco – aż do tej brzemiennej w skutki chwili, gdy Madison Benson przedstawiła ją pozostałym członkiniom klubu inwestorskiego. Madison była ucieleśnieniem wojowniczej mścicielki, którą zawsze chciała się stać mała dziewczynka w duszy Victorii.

Członkinie klubu wmawiały sobie, że są silne, niewyciężone, że mają misję.

A jednak w którymś momencie posunęły się o jeden krok za daleko i teraz to one stają się ofiarami.

Zamknęła mieszkanie, podeszła do windy. Zrozumiała nagle, że najbardziej

niepokoi ją fakt, że znowu ucieka, jak wtedy, przed laty, z matką.

Denerwowała się w podziemnym garażu, w którym jej kroki niosły się głośnym echem, a cienie ścieliły się na ścianach. Przyspieszyła. Aż w końcu dobiegła do swego samochodu.

Zanim otworzyła drzwiczki, zerknęła na tylne siedzenie. Nikt się tam nie czaił. Nikt nie zaatakował jej z półmroku.

Usiadła za kierownicą, zatrzasnęła drzwiczki. Wrzuciła wsteczny bieg, ruszyła w stronę wyjazdu z parkingu. Metalowe wrota otwierały się w nieskończoność. Oczami wyobraźni już widziała się uwięziona w parkingu razem z mordercą.

Kim jesteś, zastanawiała się. Czy to naprawdę jedna z nas?

Madison ma rację. Pieniądze to kuszący motyw, a po sprzedaży Keyworth zarobią fortunę.

A może to jeden z upatrzonych celów?

Zemsta to również kuszący motyw. Aż za dobrze o tym wiedziała.

Wrota w końcu stanęły otworem. Zrobiło jej się słabo z ulgi.

Chwilę później zmierzała w stronę autostrady. Jechała w jedyne miejsce, w którym zabójca na pewno nie będzie jej szukał.

Rozdział 19

Aż dziwne, że Briggs w ogóle pamiętał sprawę mojej siostry – zauważyła Charlotte. – W tamtym okresie Jocelyn miała wrażenie, że jej nie wierzy, a jeśli nawet, uważał, że to jej wina, że ją zaatakowano. Twierdziła, że podczas przesłuchania funkcjonariusze zachowywali się, jakby ofiara była wszystkiemu winna. Straż z kampusu zachowywała się jeszcze gorzej.

– Briggs mówi, że uwierzył Jocelyn, ale nigdy nie udało mu się ustalić ani jednego podejrzanego – odparł Max. – Sugerował też, że straż uniwersytecka nie była zbyt pomocna.

– W to akurat mogę uwierzyć – mruknęła Charlotte. – Pewnie kazano im wyciszyć sprawę.

– Briggs sugerował, że władze uczelni rzeczywiście naciskały na szeryfa, żeby ukręcił sprawie łeb. College był wtedy jeszcze nowy i zależało im na nieskazitelnej reputacji. Jego władze obawiały się, że takie plotki odstraszą potencjalnych studentów.

Siedział na jej największym krześle w ciasnym saloniku. Największe nie oznaczało jednak: duże. Tak naprawdę było małe i kruche. Max miał nadzieję, że wytrzyma jego ciężar. Chciał sprawić dobre wrażenie.

Charlotte przycupnęła na skraju filigranowej kanapy, która wyglądała, jakby pochodziła z tego samego sklepu co te nieszczęsne krzesła, który chyba specjalizuje się w miniaturowych mebelkach do ciasnych mieszkańek. Między kanapą a fotelem stał mały stolik ze szklanym blatem.

Całe mieszkanko zmieściłoby się chyba w salonie jego nowego domu, ale było za to bardzo przytulne. I zaskakująco barwne. Wszędzie stały rośliny – wielkie na parapetach, małe na blacie oddzielającym aneks kuchenny od saloniku, jeszcze inne na różnych stołach i stoliczkach.

I te kolory. Żywe kolory. Jakby w ciasnym mieszkanku wybuchła półka z przyprawami. Żółte jak szafran ściany i cynamonowobrazowe wykończenia. Dywanik w kolorze czerwonej papryki i ciemniejsze akcenty. Anson byłby zachwycony, stwierdził. Anson nauczył się gotować, kiedy nagle pod jego dachem zamieszkało trzech małych chłopców. I okazał się w tym bardzo dobry.

Max sam właściwie nie wiedział, czego się spodziewał, wchodząc do tego mieszkania kilka minut wcześniej. Teraz jednak doszedł do wniosku, że podoba mu się żywe, słoneczne wnętrza. I to bardzo. Ciekawe, czy Charlotte zechce służyć mu radą, kiedy w końcu zabierze się za malowanie swojego domu.

– Problem polegał na tym, że mieli bardzo mało konkretów – ciągnęła. – Jocelyn ani przez chwilę nie widziała napastnika.

– Briggs mówił, że być może dzięki temu uszła z życiem.

Charlotte ostrożnie odstawiła kieliszek na stolik.

– Później też o tym myśleliśmy, zapewniam.

Max sięgnął po kolejnego krakersa i kawałek sera.

– Briggs mówił, że ma kilka teorii. I chce się nimi z nami podzielić.

– Kiedy?

– Powiedziałem, że jutro przyjedziemy do Loring. Możesz? Przepraszam, że najpierw tego z tobą nie ustaliłem. Wolałem kuć żelazo, póki gorące, bałem się, że Briggs zmieni zdanie.

– Jutro jest sobota, nie ma sprawy. – Charlotte urwała na chwilę, zmarszczyła brwi. – Mówiłeś, że Louise Flint pojechała do Loring na krótko przed śmiercią.

– Tak twierdzi jej GPS.

– Pytałeś Briggsa, czy się z nim kontaktowała?

– Nie. Uznałem, że będzie lepiej, kiedy zrobimy to w bezpośredniej rozmowie.

Na twarzy Charlotte początkowe zdumienie ustąpiło ciekawości.

– Ale dlaczego?

– Sam nie wiem. Po prostu tak pracuję. Z mojego doświadczenia wynika, że łatwiej oszacować czyjąś reakcję w bezpośredniej rozmowie.

– To logiczne. – Charlotte wyprostowała się. Biła od niej determinacja. – O której wyruszamy?

– Briggs mówił, że rano idzie na ryby, potem ma jeszcze coś do załatwienia. Spodziewa się nas wczesnym popołudniem. Może przyjadę po ciebie koło dwunastej?

– Dobrze.

Spojrzał na talerz na stoliku z przeszklonym blatem. Zjadł wszystkie krakersy i cały ser.

Spokojnie, powtarzał sobie. Powiedz to swobodnie. Nonszalancko.

– Jesteś głodna? – zapytał od niechcienia, na wszelki wypadek, żeby za bardzo nie bolało, kiedy odmówi.

Wydawała się zaskoczona, jakby w ogóle się nad tym nie zastanawiała.

– Tak – stwierdziła. – Tu niedaleko jest bardzo sympatyczna knajpka. Znajdzie się coś dla bezglutenowców, wegan, wegetarian i paleo.

Czuł się jak po bardzo mocnej kawie. Dobrze. Świetnie.

To tylko praca, powtarzał sobie.

– Oby mieli coś do jedzenia – mruknął.

Uśmiechnęła się.

– Spokojnie, mają placki krabowe. Pyszne. I frytki. Klasyczne przysmaki północnego zachodu.

Nagle kolorowy pokój jeszcze pojaśniał. Miał rację, stwierdził. Uśmiech Charlotte to jest coś.

Rozdział 20

Jak to się stało, że jesteś prywatnym detektywem? – zapytała Charlotte.

Max dumął nad odpowiedzią i zjadał pyszne placki krabowe.

Była to jedna z tych bezpretensjonalnych, przytulnych knajpek, których pełno w Seattle i okolicach. Serwowano tu imponującą liczbę rodzajów piwa z miejscowych browarów i lokalne wina. I, na życzenie, małe porcje. On wziął normalną, ale Charlotte wybrała dwa maleństwa – pieczoną brukselkę i jajka faszerowane. Czyli nie dość, że kupuje miniaturowe mebelki, gustuje też w miniaturowym jedzeniu. Nic dziwnego, że jest taka chuda.

– Była żona pytała mnie o to samo – mruknął.

Za późno przypomniał sobie, że wyczytał gdzieś, że warunkiem udanej randki jest unikanie w rozmowie tematu byłych partnerów. Z drugiej strony, to nie jest randka, tylko spotkanie służbowe. No tak, ale w pracy też nie powinno się rozmawiać o sprawach osobistych.

Charlotte skrzywiła się.

– Przepraszam, nie chciałam rozdrapywać starych ran.

– Spokojnie. – Upił łyk piwa. – Sam wspomniałem o byłej żonie.

– Cóż, ja zrobiłam to wcześniej. W pewnym sensie.

– Ile czasu minęło, odkąd ten dupek oznajmił ci, że nie zjawi się przed ołtarzem?

– Dwa miesiące, tydzień i trzy dni – odparła z promiennym uśmiechem. – Nie żebym liczyła.

Uśmiechnął się.

– Nie, skądże.

– Nie jest tak źle. W zeszłym miesiącu udało mi się spłacić do końca sukienkę i kwiaty. To był bardzo miły dzień w moim świecie. Niestety za suknię musiałam zapłacić pełną sumę, bo trzeba ją było trochę przerobić.

– I co z nią zrobiłaś?

– Sprzedałam za grosze do wypożyczalni. I tak nigdy więcej nie mogłabym jej na siebie włożyć.

– A jeśli znowu zechcesz wyjść za mąż?

Spojrzała na niego z taką miną, jakby powiedział coś niewiarygodnie głupiego.

– W takiej sytuacji kupię nową suknię – wyjaśniła cierpliwie.

– No tak – mruknął. Choć poczuł się jak idiota, usiłował sprowadzić rozmowę na bezpieczniejsze tory. – Pod względem finansowym też jestem wolny. Była żona dostała dom pod Waszyngtonem DC, a ja pozbyłem się wszystkich oszczędności, żeby ją spłacić, ale było warto. Chciałem zacząć od nowa.

Charlotte skinęła głową i wbiła zęby w brukselkę.

– Czyli oboje szukamy własnej drogi.

Mało brakowało, a udławiłby się piwem.

– To się nazywa pozytywne podejście.

– Nie wierzysz w coś takiego?

Zamyślił się.

– Ludzie są, jacy są. Nie zmieniają się. W każdym razie nie bardzo.

– Ponura wizja natury człowieczej.

– Ale ma też swoją dobrą stronę. – Uśmiechnął się lekko. – Zarabiam na życie, doszukując się wzorców w zachowaniu, przewidując kolejny krok. Udaje mi się dzięki temu, że ludzie właściwie prawie się nie zmieniają.

– Rozumiem. W Deszczowych Ogrodach widzę mnóstwo dowodów na poparcie twojej teorii. Ludzie się nie zmieniają, z wiekiem stają się coraz bardziej skoncentrowaną wersją siebie.

– No właśnie. – Podniósł frytkę do ust. – Jak mówiłem, na tym opiera się moja branża.

– Dawniej byłeś profilerem – zauważyła.

– Oficjalna nazwa jest o wiele bardziej imponująca – analityk behawioralny – ale tak, byłem profilerem. Pracowałem w firmie, która świadczyła usługi różnym wydziałom policji i czasami agencjom rządowym.

Charlotte odłożyła widelec i przyglądała mu się z powagą.

– Jak to znosiłeś? – zapytała.

Miał wbić na widelec kolejny placek z krabem, ale powoli odłożył sztućce.

– Chyba jeszcze nikt nigdy mnie o to nie pytał – zauważył. – Kiedy ludzie się dowiadują, co robiłem, zadają mi mnóstwo pytań. Czy praca profilerów w rzeczywistości wygląda tak samo jak w filmach czy telewizji. Interesuje ich najgorsza, najstraszniejsza sprawa, przy której pracowałem. Pytają, czy schwytałem kogoś słynnego. O różne rzeczy. Ale o to – nigdy.

– Przepraszam, nie chciałam, to nie moja sprawa.

– Nie szkodzi – zapewnił. – Tak naprawdę nieraz wydawało mi się, że nie zniosę widoku kolejnego miejsca zbrodni. Kiedy robiło mi się niedobrze na samą myśl o tym, co zobaczę. Kiedy budziłem się złany zimnym potem, bo dręczyły mnie koszmary. Kiedy uciekałem w prochy i alkohol.

– I mimo wszystko pracowałeś nadal.

Wzruszył ramionami.

– Tak. Cóż mogę powiedzieć? To dobre pieniądze.

– Ale nie dlatego to robiłeś.

– Nie? – Lekko uniósł brwi.

– Nie. Moim zdaniem robiłeś to, bo byłeś w tym dobry i ktoś musi to robić. To było twoje powołanie. Tak mi się wydaje.

Zamyślił się.

– Sam nie wiem z tym powołaniem... Koniec końców musiałem odejść.

– Wypaliłeś się zawodowo?

Proste pytanie – i koszmarne trudna odpowiedź. Niepotrzebnie pozwolił, by rozmowa zabrnęła tak daleko w jego osobiste problemy.

Spojrzał jej w oczy.

– Mieliśmy sprawę, która się fatalnie skończyła, a po niej moje problemy – bezsenność i koszmary – jeszcze przybrały na sile. Nasz psychiatra uznał, że już się nie nadaję. Moi kumple uważali, że zupełnie mi odbiło. Żona zażądała rozwodu. Zaproponowano mi odejście z firmy – albo zrobię to sam, albo mnie wywalą. Więc odszedłem.

Nastawił się psychicznie. Nie chciał wcale mówić jej aż tak dużo; nie powinien był tego robić. A jednak z jakiegoś niepojętego powodu chciał, żeby знаła prawdę. Sam nie wiedział, czego się spodziewać. Szoku, zaskoczenia, lęku. Jakby nie było, nagle okazało się, że współpracuje z prywatnym detektywem, którego wywalono z roboty, bo ma coś nie tak z głową.

A Charlotte tylko skinęła, jakby jego słowa potwierdzały coś, co wyczuła już wcześniej – wyczuła i wcale się tym nie przejęła.

– Czyli przyjechałeś tu, na zachód, żeby jakoś pożytkować swoją wiedzę – podsumowała.

Nie bardzo wiedział, jak na to zareagować.

– No, tak – mruknął.

– Dlaczego akurat Seattle?

I znowu zaskoczyła go pytaniem.

– Tu się urodziłem – odparł.

– I tu dorastałeś?

– Nie.

– Ale czujesz więź z tym miastem, bo tu przyszedłeś na świat. Rozumiem.

– Teraz moja kolej. Jakim cudem zostałąście z Jocelyn siostrami?

– Mój ojciec zmarł, kiedy byłam mała, Jocelyn jako nastolatka straciła matkę. Nasi rodzice spotkali się, kiedy wybrali się na szkolny zjazd. Okazało się, że spotykali się w klasie maturalnej, ale później wyjechali na studia w różnych miastach i ich związek nie przetrwał.

– Ale na zjeździe dawna miłość odżyła?

– Tak. Byli ze sobą bardzo szczęśliwi, ale straciliśmy oboje dwa lata temu.

– Jak to?

– Ojciec Jocelyn był pilotem. Miał własny samolot. Lecieli z mamą do Kolorado. Nad górami wpadli w burzę. Runęli na ziemię. Oboje zginęli na miejscu.

– Tak mi przykro – szepnął.

– Dziękuję.

– Czyli zostałąście we dwie z Jocelyn?

Charlotte upiła łyk wina i skinęła głową.

– Domyślam się, że dogadywałyście się od początku, od ślubu rodziców?

– Chyba żartujesz. Nienawidziłyśmy się.

– A kiedy to się zmieniło?

– Powtarzałam sobie, że wcale nie chcę się z nią zaprzyjaźnić, ale tak naprawdę Jocelyn była wszystkim tym, o czym marzyłam – o czym marzy każda nastolatka. Była ładna, mądra, pewna siebie. Umiała się ubrać i zawsze kręciło się wokół niej kilku chłopaków. I do tego świetna uczennica.

– Szkolna gwiazda.

– Zdecydowanie. – Charlotte skrzywiła się. – W przeciwieństwie do mnie, uwierz mi.

– Nic dziwnego że jej nie lubiłaś.

– Jasne. Ale miała jeszcze jedną cechę, która wszystko zmieniła. Była dla mnie dobra.

– Dobra?

– W którymś momencie zrobiło jej się mnie żal. Pilnowała mnie. Na przykład chłopak ze starszej klasy zaprosił mnie na randkę. Jeden z tych popularniejszych dzieciaków, wiesz, sportowiec i w ogóle, zawsze spotykał się z najładniejszymi dziewczynami, dostał się na dobry uniwersytet. Oczywiście nie posiadałam się z radości, kiedy mnie zaprosił. Nigdy nie byłam na prawdziwej randce i nigdy nie rozmawiałam z jednym z najbardziej popularnych chłopców w szkole.

– Coś mi mówi, że ta historia nie skończyła się najlepiej.

Charlotte uniosła kieliszek i spojrzała na Maxa znad jego krawędzi.

– Czujesz, że coś tu nie gra, co? I masz rację. Rzeczywiście nie skończyło się dobrze. Tak przynajmniej wtedy uważałam. A tak naprawdę Jocelyn mnie uratowała. Wściekła się, kiedy jej powiedziałam, z kim się umówiłam. W pierwszej chwili myślałam, że jest zazdrosna, a ona po prostu wiedziała, że ten chłopak brał udział w zakładzie z kumplami, którym chodziło o zaliczenie jak największej liczby dziewczyn na pierwszej randce. Uważał mnie za łatwy cel.

– Posłuchałaś rady Jocelyn?

– Tak, po wielkiej awanturze. Oczywiście byłam załamana. Ale już wtedy wiedziałam, że o wiele lepiej ode mnie orientuje się w skomplikowanych szkolnych machinacjach. I przekonała mnie jeszcze jednym asem w rękawie.

– Czyli?

– Jeśli wierzyć terapeutce, boję się ryzyka – odparła Charlotte. – Oczywiście nie wiedziałam, że to się tak nazywa, wiedziałam jedynie, że nie grzeszę odwagą.

– Zawsze ostrożna, co?

– Owszem. A Jocelyn jest uzależniona od adrenaliny. Proszę bardzo, niech sobie skacze na bungee. W każdym razie tak dokładnie opisała mi, co mnie czeka

na randce ze sportowcem, że stchórzyłam. Wycofałam się.

– A co poszło nie tak z narzeczonym? Dlaczego Jocelyn wtedy cię nie uratowała?

– Dobre pytanie. Brian Conroy wydawał się idealny. Jocelyn też była tego zdania. Już po wszystkim, podczas sekcji tego związku, doszliśmy do wniosku, że obie przeoczyłyśmy oczywiste sygnały.

– Na przykład?

– Brian był zbyt idealny, żeby był prawdziwy.

Max sięgnął po piwo.

– Czyli Jocelyn czasami myli się co do ludzi.

– Tak. Jak my wszyscy.

– Fakt. Socjopaci oszukają każdego, przynajmniej na jakiś czas.

Charlotte zmarszczyła brwi.

– Brian nie jest socjopatą.

– Wierzę ci na słowo.

– On po prostu... Boi się związku. Chyba sam nie zdawał sobie z tego sprawy, dopiero kiedy stał nad przepaścią i spojrział w dół.

– Skoro mowa o byłych; czy przed swoim zniknięciem twoja siostra się z kimś potykała?

Charlotte drgnęła.

– Cóż za zręczna zmiana tematu.

Poczuł, że się rumieni. Na szczęście w restauracji panował półmrok.

– Przepraszam – mruknął. – Czasami tak się dzieje przy pracy.

– Skaczesz z tematu na temat?

– Tak.

– W każdym razie nie, nie spotykała się z nikim. W grę nie wchodzi żaden stalker, jeśli o tym myślałeś.

– To byłoby za łatwe.

Zawahała się.

– Ale wiem co innego.

– Czyli?

– Gdyby naprawdę nękał ją stalker, nie powiedziała by mi. Nie chciałaby, żebym się o nią martwiła.

– Musimy wiedzieć więcej. Oby Briggs powiedział nam coś ważnego.

Rozdział 21

Egan Briggs bardzo dokładnie opisał położenie swojej górskiej chaty, a Max wszystko starannie zapisał. Ale tak wysoko w górach nie było znaków drogowych, a i nawigacja nie funkcjonowała najlepiej, odkąd trzy kwadranse wcześniej wyjechali z miasteczka Loring.

Po obu stronach wąskiej, krętej szosy rosły wysokie drzewa. Gęste listowie skutecznie ograniczało widoczność, tak że niemal nie sposób było dostrzec domków, z rzadka rozsianych na górskich zboczach. Sytuacji bynajmniej nie poprawiał monotony deszcz, stwierdził Max. Zalewał szyby samochodu stałym potokiem.

Jechali wozem terenowym – nie dlatego, iż uznał, że jest bardziej imponujący niż nijaki samochodzik miejski, ale dlatego, że jechali w góry, a pogoda się psuła. Anson Salinas wychował swoich chłopców, nie narzucając im zbyt wielu zasad, ale przy kilku zawsze obstawał, między innymi, że nie wolno zapuszczać się w nieznany teren bez podstawowych środków ostrożności. I dlatego wóz z napędem na cztery koła, a także apteczka, butelki z wodą, latarka i batony energetyczne.

W schowku między dwoma siedzeniami leżał jego pistolet.

Charlotte podniosła głowę znad wskazówek dojazdu, które Max pośpiesznie nabazgrał na kartce.

– Chyba właśnie przejechaliśmy zjazd do mostka – stwierdziła, wpatrując się w okno.

– Tak myślisz? – Nie odrywał wzroku od krętej szosy. – To ty czytasz wskazówki.

– Które ty zapisałeś. Co oznacza: OP po 1 kn mostek i OL żw?

– Ostro w prawo po mostku jednokierunkowym, a potem ostro w lewo w żwirową drogę. Dla mnie to oczywiste.

– No jasne. Nie wiem, jak mogłam na to nie wpaść. Dobra, zdecydowanie pojechaliśmy za daleko. Musimy zawrócić.

– Skąd ta pewność?

– Bo minęliśmy kolejny punkt widokowy, a zapisałeś, jak mi się wydaje, że jeśli dojedziemy do punktu widokowego Ribbon Falls, jesteśmy za daleko.

– Skąd wiesz, że to akurat ten punkt widokowy?

– Wydaje mi się, że widziałam wodospad.

– Dobra, wierzę ci na słowo.

Było zbyt wąsko, by swobodnie zawrócić, deszcz zmienił pobocze w smugi błota. Powoli, ostrożnie wykręcił na szosie.

– Nieźle – pochwaliła. – Kiedyś też tak próbowałam. Źle się to skończyło.

– Każdy ma jakiś ukryty talent – mruknął.

Zdziwił się, gdy parsknęła śmiechem.

Choć jazda z Seattle trwała długo ze względu na deszcz i ograniczoną widoczność, ze zdziwieniem stwierdził, że odpowiada mu wymuszona intymność w samochodzie. Nie uważał się za dobrego mówcę, ale z Charlotte przychodziło mu to nadspodziewanie łatwo. Tak, że nawet kiedy zapadła cisza, było to przyjacielskie milczenie. Przynajmniej jego zdaniem. Nie bardzo wiedział, jak Charlotte je odbiera.

Powoli zawrócił na krętej drodze.

Charlotte pochyliła się i ze skupieniem na twarzy wpatrywała się w szybę.

– Jest! – zawołała. – Jest zjazd. I widzę mostek.

Max skręcił i ostrożnie przeprowadził wielki samochód przez stary most, dawniej używany przez drwali. Był wąski, bez żadnych barierek. Tuż pod nim płynął strumień.

– Nie podoba mi się ta rzeka – stwierdził – Woda jest bardzo wysoka. Jeśli nie przestanie padać, za kilka godzin zaleje mostek. Nie możemy zostać za długo u Briggsa. Lepiej, żebyśmy nie musieli tu nocować.

– Jeśli detektyw Briggs ma nam coś do powiedzenia, sądzę, że zrobi to szybko, nie po kilku godzinach.

Za mostkiem Max skręcił w stromy zwirowany podjazd usiany wybojami.

– Nie masz wrażenia, że praca w policji wywołała u Briggsa małą paranoję?
– zauważyła Charlotte. – No wiesz, już bardziej na uboczu chyba nie da się zamieszkać.

– Jedno jest pewne, nikt go nie zaskoczy, nie na tej drodze. Usłyszy każdy samochód na długo, zanim podjedzie pod dom.

Jeszcze kilka zakrętów i znaleźli się na małej polanie, pośrodku której stała spora drewniana chata. Przed nią parkowały dwa samochody – stosunkowo nowa półciężarówka i równie nowy, pochlapany błotem wóz terenowy.

Kiedy Max gasił silnik, drzwi chaty otworzyły się i na ganek wyszedł potężny brodac. Przerzedzone siwe włosy zebrał w cienki kucyk. Miał na sobie spraną flanelową koszulę, luźne dżinsy i sfatygowane buty z cholewami.

Max otworzył schowek, wyjął broń w kaburze, założył i zamaskował marynarką.

Charlotte przyglądała mu się ze zdumieniem.

– Zabrałeś broń? – upewniła się.

– Na wszelki wypadek. Jakby nie było, Briggs od dawna żyje poza nawiasem. Nie wiadomo, co może mu strzelić do głowy.

– Och. Nie przyszło mi do głowy, że może być szalony.

– Tego nie wiemy.

Sięgnął po kurtkę na tylne siedzenie i nasunął czapeczkę baseballową nisko na oczy.

– Gotowa? – zapytał.

– Tak.

– Jeszcze jedno. Bądź uprzejma, ale nie jedz ani nie pij niczego, czym nas poczęstują.

– Co?

– W grę wchodzi narkotyki. Nie możemy ryzykować.

Spojrzała na niego z ukosa. Pewnie myśli, że mi odwaliło. Cóż, może ma rację.

Ale ona tylko skinęła głową.

– Okej.

Założyła kaptur na głowę i otworzyła drzwiczki.

Wysiadł i podbiegł do niej. Razem zbliżali się do ganku.

– Detektyw Briggs? – upewnił się Max.

– Emerytowany detektyw. Mów mi Egan. Cutler, prawda? Przepraszam za pogodę. Fatalny dzień jak na wyprawę w góry. Nie przypuszczałem, że będzie aż tak źle. Niejednego zaskoczy.

Głos do niego pasował: głęboki, potężny, z tą władcą nutą, która, jak Max się przekonał, zjawiała się w głosie ludzi przez lata związanych z policją.

– Max Cutler – przedstawił się. – I Charlotte Sawyer.

– Przyrodnia siostra Jocelyn Pruett – uściśliła Charlotte. Zsunęła kaptur z włosów. – Bardzo nas cieszy, że zechciał pan z nami porozmawiać.

– Cóż, nie miałem na dzisiaj innych planów – mruknął Egan. – Nie w taką pogodę. Chyba to dla was cholernie ważne, skoro w taką pogodę pchaliście się aż tu na górę. Chodźcie do domu, żona już parzy kawę.

Rozdział 22

Wyjaśnijmy coś sobie – zaczął Egan. – Chcecie powiedzieć, że waszym zdaniem śmierć tej Louise Flint ma coś wspólnego z tamtym gwałtem na uczelni?

– W tej chwili to tylko jedna z teorii, które chciałbym sprawdzić – odparł Max. – Pani Sawyer mi pomaga, bo jej siostra jest chwilowo nieosiągalna.

Egan zmarszczył brwi.

– Coś jej się stało?

Dobrze, że była przygotowana na to pytanie, pomyślała Charlotte. Max od początku nalegał, że muszą uważać, żeby nie zdradzić więcej niż to niezbędne. Obawiał się jednak, że Charlotte nie zdoła oszukać starego gliniarza, więc ćwiczyli całą drogę z Seattle.

– Nie, nie, wszystko u niej w porządku – odparła, bardzo zadowolona ze spokoju, z jakim wypowiedziała te słowa. – Ale wyjechała na miesiąc i nie można się z nią skontaktować, więc jestem tu niejako zamiast niej. Na pewno będzie chciała wiedzieć, co ustalimy.

– Cóż, chciałbym, żeby jedno było jasne: nigdy nie wątpiłem, że naprawdę padła ofiarą gwałtu – zaznaczył Egan. Rozsiadł się w fotelu i położył nogi w buciorach na niskim stoliku, na szydełkowej serwetce. – Widziałem, że była przerażona i miała zadrapanie na szyi w tym miejscu, w którym, według jej zeznań, napastnik przykładał nóż.

Charlotte bardzo się pilnowała, żeby nie spojrzeć na Maxa, bo obawiała się, że jeśli to zrobi, zdradzi się z gniewem. Aż za dobrze pamiętała rozgoryczenie Jocelyn, która nie mogła się pogodzić, że detektyw prowadzący w kółko insynuował, że to nie był gwałt, że sama tego chciała, że to tylko szczeniacka zabawa, która wymknęła się spod kontroli.

– Czy w dochodzeniu pojawiły się jakieś tropy? – zapytał Max.

Taki swobodny i profesjonalny, pomyślała Charlotte. Jakby wierzył w każde słowo Briggsa.

Jej mokra kurtka wisiała na haczyku przy drzwiach wejściowych, obok wiatrówki Maxa. Nadal miał na sobie sportową marynarę, zapiętą, żeby ukryć pistolet.

Wnętrze chaty było realizacją stylu, który projektanci nazywają rustykalnym. Masywny drewniany stół wyglądał na dzieło własnej roboty, podobnie jak żaluzje i pleciony chodniczek. Na kominku płonęły najprawdziwsze polana. Wszędzie stały lampy naftowe – znak, że mieszkańcy przywykli do częstych przerw w dostawie prądu.

W pokoju był telewizor podłączony do anteny satelitarnej i telefon stacjonarny, ale Charlotte nigdzie nie widziała komórki ani komputera. Briggsowie najwyraźniej żyli z dala od współczesności, ale jednocześnie woleli trzymać rękę

na pulsie.

Tylko zdjęcia na kominku zdradzały, że dawniej ich życie wyglądało bardziej konwencjonalnie. Na jednym widniał Egan Briggs, o wiele młodszy, w mundurze policyjnym. Uśmiechał się i władczy gestem obejmował żonę, Roxanne. Wydawała się o wiele młodsza od męża.

Na pozostałych był młody chłopak – syn, jak się domyślała Charlotte. Na pierwszym miał na sobie togę, jak podczas rozdania świadectw ukończenia szkoły średniej. Uśmiechał się szeroko, beztrąsko.

Na drugim był ten sam chłopak, kilka lat później. Opierał się o poręcz na ganku i już się nie uśmiechał. Z ponurą miną zwieszał ramiona. Wydawał się zły, że kazano mu pozować do zdjęcia. A może po prostu zły na cały świat, pomyślała Charlotte.

– Nic konkretnego – Egan odpowiedział na pytanie Maxa. – O ile pamiętam, mieliśmy wtedy dwie hipotezy. Proszę nie brać mi tego za złe, Charlotte, ale braliśmy też pod uwagę, że Jocelyn Pruett eksperymentowała i nagle zabawa przestała się jej podobać.

Charlotte zacisnęła dłoń na oparciu krzesła.

– Moja siostra nigdy nie lubiła takich klimatów.

Czuła na sobie ostrzegawcze spojrzenie Maxa, ale nie była w stanie nad sobą zapanować. Ktoś musiał trzymać stronę Jocelyn, nieobecnej, więc niezdolnej się bronić.

Egan odetchnął głośno.

– Jak powiedziałem, wierzyłem pannie Pruett. Ale tylko ja. Według zeznań świadków, uchodziła za osobę bardzo spontaniczną, impulsywną. Ciekawą życia. Spragnioną przygód.

– Ale nie takich przygód. – Charlotte obstawała przy swoim.

Z małej kuchni wyłoniła się Roxanne Briggs. Nadal była wysoka, ale smukła figura ze zdjęcia sprzed lat już dawno znikła. Teraz była jak matka ziemia. Miała na sobie długą luźną suknię w kolorowe plamy. W jasnych włosach pojawiły się siwe pasma. Splotła je w warkocz opadający na plecy.

Przyglądała się Charlotte nieprzeniknionym wzrokiem i postawiła na stole drewnianą tacę z dwoma kubkami.

– Kawy? – zapytała cichutkim głosem, który w ogóle nie pasował do jej rozmiarów i postury.

Pierwsze słowo z jej ust, uświadomiła sobie Charlotte. Poprzednio przywitała się z nimi lekkim skinieniem głowy.

– Tak, dziękuję – odparła.

– Mleko? Cukier? – zaproponowała Roxanne.

– Nie, dziękuję.

Roxanne podała drugi kubek Maxowi.

– Dzięki – mruknął. – Czarną.

Roxanne odłożyła tacę na rzeźbiony ręcznie pieńek, który zastępował stół. Przesiadła na miękkiej kanapie.

Max wrócił wzrokiem do Egana.

– Wspominał pan dwie hipotezy podczas dochodzenia. Jaka była druga?

– Wykluczyłem klimaty sado-maso, bo doszedłem do wniosku, że gdyby panna Pruett lubiła takie rzeczy, znalazłaby napastnika.

– Zasłonił jej oczy – przypomniała Charlotte. – Założył jej worek na głowę i groził, że ją udusi.

– Tak, wiem, ale nadal uważam, że gdyby już wcześniej z nim sypiała, coś wydałoby się jej znajome. No i gdyby na terenie uczelni był taki seks klub, znalazłby się ktoś, kto powiedziałby coś więcej. Ale wówczas to była mała uczelnia, a Loring to małe miasteczko. W sumie nadal jest.

– Racja – przyznał Max. – Nie sposób utrzymać taki seks klub w tajemnicy.

Egan przytaknął.

– I dlatego koniec końców wybrałem drugą hipotezę – że Jocelyn padła ofiarą seryjnego gwałticiela, który działa na terenach kampusów uniwersyteckich.

Charlotte już otwierała usta, żeby mu przypomnieć, że Charlotte zawsze uważała, że napastnik bardzo dobrze znał topografię kampusu, ale Max posłał jej ostrzegawcze spojrzenie. Tym razem mu uległa.

Przez chwilę wpatrywał się w kawę, jakby analizował to, co usłyszeli do Egana. Kiedy znowu podniósł głowę, z jego wzroku nie dało się niczego wyczytać.

– I to na pewno nie był nikt stąd? – zapytał.

– Naprawdę dokładnie przeanalizowaliśmy tę możliwość – zapewnił Egan. – Przesłuchaliśmy studentów płci obojga. Rozmawialiśmy z wykładowcami. Jestem święcie przekonany, że ten, kto zaatakował Jocelyn Pruett, już dawno stąd wyjechał. Jeśli nie zamknięto go za coś innego, pewnie nadal to robi.

– Tacy jak on nie przestają – zauważył Max.

– Nie. – Egan pokręcił głową.

Charlotte zacisnęła dłoń na uchwycie kubka.

– Moja siostra twierdzi, że jeszcze przed napadem ktoś ją śledził. Gwałticiel znał przebieg jej dnia. Zaatakował w miejscu, w którym była najbardziej narażona na niebezpieczeństwo. Czy to nie sugeruje, że to musiał być ktoś, kto dobrze zna kampus?

Egan spojrział na nią smutno.

– To sugeruje, że napastnik zaznajomił się z topografią kampusu, ale nie to, że ją śledził. Bardziej prawdopodobne, że dobiera ofiary przypadkowo. Tamtej nocy każda dziewczyna na tamtej ścieżce była potencjalną ofiarą. Jocelyn Pruett znalazła się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie.

Charlotte chciała zaprotestować, ale Max odstawił swój kubek na tyle

głośno, że zwrócił jej uwagę. Zamknęła usta. Twoja działka, stwierdziła. Niech robi, co do niego należy.

– W tej sprawie jest kilka charakterystycznych elementów – zaczął. – Znajomość terenu, atak od tyłu, worek na głowie i nóż na gardle – to sugeruje przemyślane działanie, dokładny plan. Facet jest strategiem.

– Zakładając, że tak właśnie się to odbyło – burknął Egan.

– Co to ma znaczyć? – zdziwiła się Charlotte.

Spojrzał na nią z politowaniem.

– Osoby, które doświadczyły traumatycznych przeżyć, często nie są w stanie przypomnieć sobie szczegółów samego zajścia.

Charlotte z najwyższym wysiłkiem powstrzymała się od komentarza.

Egan wrócił wzrokiem do Maxa.

– Zgadzam się z panem. Zakładając, że Jocelyn wszystko dobrze zapamiętała, napastnik miał plan działania. I w późniejszych napadach posłużyłby się tym samym schematem, bo przecież wszystko mu się udało. Tylko że ani na kampusie, ani w Loring nie było więcej takich napaści. Może mi pan wierzyć, trzymałem rękę na pulsie i wiedziałbym o zdarzeniach z podobnym sposobem działania. I nic. Dlatego uważam, że napastnik nie był stąd i wyjechał.

– A podobne gwałty w innych miastach? – zapytał Max.

– Przez pewien czas sprawdzałem wszystkie zgłoszenia gwałtów na całym północno-zachodnim wybrzeżu – odparł Egan. Oparł łokcie na oparciu fotela i złożył palce w wieżyczkę. – Tamtego roku doszło do dwóch podobnych incydentów. Na innych kampusach. W obu gwałciiciel użył noża i zasłonił ofierze oczy.

– Aresztowano kogoś? – zainteresowała się Charlotte.

– Niestety nie. – Egan zacisnął usta. – Miałem te sprawy na oku, ale nigdy nikogo nie aresztowano. Nigdy nie było żadnych konkretnych podejrzanych. Jak powiedziałem, jeśli to był ten sam mężczyzna, który zaatakował Jocelyn Pruet, miał dość oleju w głowie, żeby przemieszczać się z kampusu na kampus. Przez pewien czas wydawało mi się, że może uda mi się go namierzyć, ale po drugim gwałcie trop się urwał. I skończyły się napaści z tym samym wzorcem postępowania.

– Ale nie wierzy pan, że dał sobie spokój, prawda? – zakończył Max.

Egan przecząco pokręcił głową.

– Nie. Ale, jak powiedziałem, możliwe, że aresztowano go za coś innego i teraz siedzi. Ba, możliwe też, że wyjechał z naszego stanu, a teraz może być już daleko poza granicami kraju. Nie sposób śledzić takich przestępstw na odległość.

– Nie sposób – przyznał Max.

W chacie zapadła dziwna cisza. Charlotte wyraźnie słyszała stłumiony szum deszczu na zewnątrz. Wiatr się wzmaczał. Zerknęła na Roxanne Briggs. Kobieta

siedziała nieruchomo. Wpatrywała się w Maxa.

Ciszę przerwał Egan. Spojrzał w okno.

– Pogoda znowu się zmienia – zauważył. – Powinniście starać się zjechać do miasteczka, zanim jeszcze się pogorszy.

Roxanne podniosła głowę.

– Nawet nie wypili kawy, Egan.

Egan zmarszczył brwi, spojrział na nią z taką miną, jakby chciał coś powiedzieć, i właśnie wtedy światło zamigotało i zgasło. Wnętrze spowił wczesny półmrok.

Roxanne wzdrygnęła się i wstała.

– No i po prądzie.

Egan wstał z głośnym stęknięciem.

– Normalka podczas burzy. Zawsze to samo. Ale od czego są generatory.

– Zapalę lampy – oznajmiła Roxanne.

Pokonała małą odległość do stołu i zapaliła zapałkę. Półmrok rozjaśnił ciepły blask ognia.

– Włączę generator. – Egon spojrział na Maxa. – Uważajcie w drodze na dół. Od tygodnia leje jak z cebra, rzeki wezbrały. W taką pogodę często osuwa się ziemia i padają drzewa. A co jakiś czas zrywa mostek.

– No tak. – Max wstał. – Dzięki za informacje. Czas już na nas.

Charlotte odstawiła nietkniętą kawę i też wstała. Roxanne bez słowa podała jej kurtkę. Max założył wiatrówkę i naciągał czapeczkę na oczy.

– Jeszcze jedno – rzucił do Egana. – Czy ostatnio ktoś oprócz nas kontaktował się z panem w tej sprawie?

– Nie – odparł. – Jesteście pierwsi. A co?

– Tak pytam, z ciekawości – zapewnił Max. Wręczył Eganowi wizytówkę. – Gdyby pan sobie coś jeszcze przypomniał, proszę śmiało dzwonić.

– Jasne – obiecał Egan. Uchylił drzwi frontowe. – Proszę mnie informować, co pan ustali. Naprawdę jestem ciekaw, czy do czegoś dojdziecie. Po tylu latach fajnie byłoby poznać prawdę.

– Jasne – mruknął Max. Spojrzał na Charlotte. – Gotowa?

– Tak.

Wyszła na ganek. Max szedł za nią.

Zbiegła ze schodków. Wiatr hulał wśród drzew, tworzył niepokojącą, mroczną muzykę. Deszcz tracił na sile, za to wiatr – przybierał. Powietrze przesycane skumulowana energia. Cieszyła się, że już stąd wyszli.

Podbiegła do wozu. Max ją wyprzedził. Wiedziała, że otworzy jej drzwiczki.

– Poradzę sobie – zapewniła, machnęła na niego ręką, otworzyła drzwi i wsiadła do środka.

Max obszedł samochód, usiadł za kierownicą, odpalił silnik. Zdjął wiatrówkę

i sportową marynarkę. Zauważyła, że zostawił kaburę z bronią na miejscu.

Charlotte też ściągnęła kurtkę i położyła na tylnym siedzeniu, żeby wyschła.

Max nacisnął pedał gazu i wóz terenowy powoli zjeżdżał stromym podjazdem.

Charlotte zerknęła na ciemną chatę.

Roxanne Briggs, spowita światłem lampy naftowej, odprowadzała ich wzrokiem.

– Bardzo nieszczęśliwa kobieta – skomentowała Charlotte.

Rozdział 23

Charlotte odwróciła się na siedzeniu i wpatrywała w scenerię za plecami. Ciągle mocno lało. Nieprędko wróca do Seattle.

Nagle dotarło do niej, że wewnętrzny niepokój, który odczuwała w ciągu kilku minionych dni, bardzo przybrał na sile podczas rozmowy z Eganem Briggssem.

– Briggs chyba nie wiedział o śmierci Louise – odezwała się.

– Nie wiedział – przyznał Max.

– Nie rozpoznał jej nazwiska, czyli nie przyjechała tu, żeby się z nim spotkać.

– Najwyraźniej.

– W sumie to chyba nic dziwnego. Jakby nie było, Briggs jest na emeryturze. Louise nie miała powodu, żeby się z nim spotykać.

– Chyba że wydawało jej się, że jest na tropie gwałciciela Jocelyn, a wtedy zapewne chciałaby porozmawiać z policjantem, który zajmował się tą sprawą.

– Tak samo jak ty.

– No właśnie. – Max zwolnił i ostrożnie przejechał po złamanym konarze. – Ale może Louise przyjechała do Loring z innego powodu.

– Na przykład jakiego?

– Na razie nie wiem.

– Może trafiła na coś, co kazało jej sądzić, że gwałciciel nadal mieszka w Loring. – Charlotte zawahała się. – Ale dlaczego sprawdzała to na własną rękę?

Max zerknął na nią z ukosa.

– Twoim zdaniem Louise nie chciałaby pobawić się w panią detektyw?

Charlotte zamyśliła się.

– Szczerze mówiąc, nie znałam jej na tyle, by snuć takie przypuszczenia. Ale wiem na pewno, że Jocelyn nie chciałaby, żeby Louise ryzykowała w jej imieniu.

Max zmienił bieg, zwolnił na tyle, żeby poradzić sobie na wyboistej drodze.

– Może Louise nie zdawała sobie sprawy z tego, że ryzykuje – zauważył.

– A może naprawdę przyjechała taki kawał drogi do Loring w sprawie zupełnie niezwiązanej z Jocelyn.

– I tym sposobem wracamy do zbiegu okoliczności, a w to nie uwierzę – podsumował Max.

– Słuchaj, nie chcę zmieniać tematu, ale czy państwo Briggs nie wydali ci się nieco... ekscentryczni?

– Mnóstwo emerytowanych gliniarzy dziwaczeje z wiekiem. Niektórym zupełnie odbija. Taka praca.

– I nawet to rozumiem.

– Nie mam problemu z dziwactwami, sam ich trochę mam – ciągnął Max. –

Niepokoi mnie co innego – fakt, że Briggs właściwie w ogóle nie zainteresował się Louise.

Zaskoczona Charlotte odwróciła się gwałtownie w jego stronę.

– Jak to? Mówił przecież, że się z nim nie kontaktowała. Czemu miałyby go interesować kobieta, której nie widział na oczy?

– Bo przejechaliśmy taki kawał drogi, żeby o niej rozmawiać. Bo przypomnieliśmy sprawę Jocelyn. I przede wszystkim dlatego, że Louise nie żyje. Żaden gliniarz nie pomija milczeniem tylu elementów.

– Myślisz, że powinien okazać większe zainteresowanie?

– Tak. I coś jeszcze mi się nie podobało.

– Co?

– Briggs twierdził, że trzymał rękę na pulsie i sprawdzał, czy pojawiają się zgłoszenia gwałtów o podobnym przebiegu do tego, co zgłosiła Jocelyn.

– Tak. Powiedział, że doszło tylko do dwóch ataków, w tym samym roku, a potem gwałty ustały. A ty powiedziałaś, że przestępcy nie zmieniają sposobu działania.

Max niespokojnie zerknął w boczne lusterko i zaraz wrócił wzrokiem do wąskiej szosy.

– Nie zmieniają – przyznał. – Ale czasami je doskonałą.

– O co ci chodzi?

– Możliwe, że zasłonięcie oczu ofierze to część fantazji sprawcy, ale możliwe też, że to tylko niezbędny środek ostrożności, część strategii. A co, jeśli chodziło mu po prostu o to, żeby ofiara była bezradna, o pewność, że nie opisze napastnika?

– No i?

– No i to samo można osiągnąć w inny sposób. Na przykład za pomocą narkotyków.

Charlotte wstrzymała oddech.

– Ta teoria otwiera przerażające możliwości.

– Owszem. Wspomniałaś, że sprawa twojej siostry trafiła na półkę, bo zniknęły dowody rzeczowe.

– Tak.

– A jeśli ktoś o to zadbał? Żeby zniknęły?

Charlotte w końcu zrozumiała.

– Sugerujesz, że Briggs to zrobił?

– W tej chwili żongluję ostrymi nożami, ale z tego, co wyczytałem w sieci, Egan Briggs przeszedł na emeryturę niecały rok po tym, jak zamknięto sprawę Jocelyn.

Charlotte powoli wypuściła powietrze z płuc.

– Powtarzał nam w kółko, że wierzył Jocelyn, ale ona sama uważała, że

wcale tak nie było. Ale żeby posunął się do niszczenia dowodów?

– Wspominałaś, że władze uczelni naciskały na policjantów.

– No tak, ale żeby niszczyć dowody? To... straszne.

– Nie po raz pierwszy ktoś z góry naciska na policję, żeby zatuszować przestępstwo. Być może Briggsowi się to nie podobało, ale bez wsparcia zwierzchników niewiele mógł zrobić. Być może nie miał nic wspólnego ze zniknięciem dowodów, ale faktem jest, że zniknęły.

– I choć nie wiem, jak na to patrzeć, powinien się bardziej zainteresować sprawą Louise Flint.

– No właśnie.

– Więc po co zapraszał nas do siebie i udawał, że chce nam pomóc? – zdziwiła się.

– Przychodzi mi do głowy kilka powodów. Może liczył, że nam wmówi, że w Loring nie mamy czego szukać.

– Albo?

– Chciał sprawdzić, ile już wiemy i co planujemy dalej.

– Czyli robił to samo, co my, chciał nas wybać.

– To tylko hipoteza. – Max znowu zerknął w boczne lustro. – Wygląda na to, że nie tylko my chcemy zjechać z tej góry, zanim burza rozpęta się na dobre.

Było dopiero popołudnie, ale w górach zmierzch zapada szybko. Charlotte spojrzała w lustro i zobaczyła ostry snop reflektorów innego samochodu.

Zniknęły, gdy Max pokonał zakręt. Odwróciła się i patrzyła za siebie.

Reflektory pojawiły się znowu, tym razem bliżej.

– Wygląda jak wóz terenowy przed chatą Briggsów – zauważyła. – I jedzie bardzo szybko jak na taką pogodę.

– Owszem. – Max kolejny raz zerknął w lustro i zaraz wrócił wzrokiem do szosy.

– Może Briggs nas goni, bo przypomniał sobie coś ważnego.

– Naprawdę tak myślisz?

– Nie. – Spojrzała na jego zaciśnięte usta. – A ty uważasz, że mamy problem.

– Owszem.

Kolejne spojrzenie w lustro.

– Nie wiem, kto to jest, ale nie będę ryzykował i starał się mu uciec. Nie znam tej drogi tak dobrze jak on, poza tym widoczność jest fatalna. Więc uciekniemy inaczej.

Głęboko nabrała tchu.

– Okej.

– Na pewno?

– Cóż, nie mam lepszego planu, więc tak, w porządku.

– Dojeżdżamy do mostka. Po tej stronie nie ma żadnego schronienia, ale na drugim brzegu jest mnóstwo drzew. Zaraz za mostem zjadę na pobocze. Bądź gotowa, kiedy dam znać, wyskoczysz z auta i pobiegiesz między drzewa. Jasne?

– Tak.

– Będę tuż za tobą. Jeśli wysiądzie z wozu i ruszy za nami, będziemy mieli przewagę i osłonę.

Nie wiedziała, co powiedzieć, więc milczała.

Max skręcił i jednocześnie przyspieszył. Zrozumiała, że chce im kupić trochę czasu, żeby w miarę bezpiecznie dotarli do drzew.

Nagle przed nimi pojawił się mostek. Rzeka znacznie wezbrała. Sześćdziesiąt sekund, błagała w myślach Charlotte. Wystarczy im sześćdziesiąt sekund.

– Cholera – zaklął cicho Max.

Zahamował.

Już otwierała usta, żeby zapytać, czemu nagle zmienił zdanie, ale wtedy zobaczyła ogromny pień po przeciwnej stronie mostka. Blokował wąską szosę równie skutecznie, jak kamienny mur.

Przednie koła wozu już były na mostku.

– Trzymaj się! – krzyknął Max.

Wrzucił wsteczny bieg i cofnął samochód o kilka metrów, zjeżdżając na lewe pobocze.

Zza zakrętu wyprysnął samochód Briggsa. Kierowca błyskawicznie zorientował się w sytuacji. Zwolnił odrobinę. Charlotte zrozumiała, co robi. Jechał prosto na Maxa.

Max tymczasem opuszczał okno.

– Wepchnie nas do rzeki – powiedział. – Złap klamkę i przygotuj się. Zaraz uruchomią się poduszki powietrzne. Nie odpinaj pasa bezpieczeństwa, dopiero w wodzie.

Nie było czasu do namysłu. Charlotte z całej siły zacisnęła dłoń na klamce. Nie zdążyła o nic zapytać, bo Briggs z taką siłą uderzył w bok ich samochodu, że osunęli się w błotniste odmęty rzeki.

Huk napełnianych poduszek powietrznych i po chwili uderzenie o wodę. Przez kilka sekund nie wiedziała do końca, co się dzieje. Słyszała polecenia Maxa i wykonywała je bez namysłu.

– Pas – warknął.

Odpięła go niezdarnie.

– Okno – przypomniał. – Drzwi nie otworzysz. Bez względu na wszystko nie trać kontaktu z samochodem.

Wygramoliła się do połowy przez otwarte okno.

– Klamka – przypomniał. – Chwyć klamkę.

Opuściła rękę, po omacku szukała klamki. Jakimś cudem znalazła ją.

– Mam! – krzyknęła.

Max wypchnął ją na zewnątrz. Lodowata woda na chwilę zaparła jej dech w piersiach.

– Trzymaj klamkę – przypomniał.

– Dobrze.

Zorientowała się, że nie ma go za nią. Szukał czegoś na tylnym siedzeniu.

Woda bardzo szybko wypełniała wnętrze samochodu.

– Max! – krzyknęła. – Co ty robisz?

– Jestem tutaj – odparł.

Wydostał się przez tylne okienko.

Nurt rzeki wartko znosił samochód coraz dalej od mostka.

Odwróciła się po raz ostatni i zobaczyła Egana Briggsa. Wsiadł z wozu, stał na mostku z pistoletem w dłoni. Widziała, jak celuje.

Wydawało jej się, że słyszała strzał, ale w tej chwili pokonali zakręt i Briggs zniknął im z oczu.

Rozdział 24

Wejdziemy na dach – zdecydował Max. – Rób, co mówię, jasne?

– Tak.

Wydawało mu się, że jest spokojna. Przyjrzał się jej uważnie. Szukał oznak paniki. Musiał wiedzieć, w jakim jest stanie. Histeria znacznie wszystko skomplikuje.

Zdawała się wiedzieć, co robi.

– Nic mi nie jest – zapewniła. – Panikować będę potem.

– Świetny plan – mruknął.

Adrenalina już działa, stwierdził. Tak jak on, w tej chwili Charlotte myślała o jednym – przeżyć.

– Pójdę pierwszy – oznajmił.

Woda sięgała już górnej krawędzi przedniej szyby, bo silnik umieszczony z przodu samochodu przeważał i ciągnął go w dół. W środku było jeszcze dość powietrza, by wóz utrzymał się na powierzchni przez kilka minut, ale nie dłużej.

Jedną ręką chwycił się ramy, drugą złapał bagażnik na dachu, oparł stopę na oknie i podciągał się na dach. Nie było łatwo, bo mokre ciuchy i buty stanowiły dodatkowe obciążenie.

Kiedy był pewien, że nie zsunie się z powrotem do wody, pochylił się i wyciągnął do niej rękę.

– Podaj mi lewą – polecił. – Ale póki nie powiem, trzymaj się klamki.

Wyciągnęła rękę. Chwycił ją za nadgarstek.

– Dobrze – mruknął. – Puść klamkę. Staraj się znaleźć stopą framugę.

Reagowała natychmiast. Udało jej się zahaczyć stopą o ramkę okna, tak samo jak jemu.

Wyciągnął ją z wody, na dach samochodu. Dyszała ciężko z wysiłku, była mokra, ale skuliła się na bagażniku i spojrzała na niego.

– A teraz modlimy się o cofkę, tak?

– Robiłaś to już kiedyś?

– Nie, ale niedawno byłam na kursie kajakowym. Wiem, jak to działa.

– Super.

Odetchnął z ulgą. A więc nie będzie musiał tłumaczyć jej podstaw dynamiki płynów. Każdy, kto kiedykolwiek pływał, wie, o co chodzi. Kiedy woda uderza w przeszkodę, jak na przykład teraz, powstaje odwrotny wir, cofka. Gdyby udało im się dostać do takiego nurtu blisko brzegu, mogli liczyć na to, że zniesie ich na brzeg.

Wyciągnął pasek ze spodni i owinał nim Charlotte.

– Na mój znak skaczemy razem – powiedział. – Trzymaj się pasa, żeby nas nie rozdzieliło.

Skinęła głową.

Samochód, znoszony bystrym nurtem, powoli kręcił się wokół własnej osi. Max wpatrywał się w rzekę. Cofka często powstaje zaraz za zakrętem albo naturalną przeszkodą.

– Przed nami głazy – powiedział. – Jest szansa, że za nimi się uda. Gotowa?

Wóz płynął, momentami zahaczał o dno i leniwie kołysał się na boki. Już tylko dach wystawał nad wodę.

Wydawało się, że minęli skupisko głazów w zwolnionym tempie. Max wypatrywał zmianę na powierzchni, sugerującą cofkę, i zacisnął dłoń na pasku.

Minęli głazy.

– Teraz – zdecydował.

Charlotte nie wahała się. Zeskoczyli do wody po drugiej stronie głazów. W pierwszej chwili obawiał się, że się pomylił i źle oszacował sytuację, ale zaraz poczuł grunt pod nogami. Charlotte też.

Byli blisko brzegu, a skały i przeciwny prąd stanowiły naturalną ochronę przed żywym nurtem rzeki.

Wspięli się na błotnisty brzeg, doszli do drogi. Lodowaty wiatr był jak powiew z zamrażarki. Oboje drżeli na całym ciele. Już nie muszą się obawiać, że się utopiają; teraz problemem było wyziębienie.

– Musimy poszukać schronienia – powiedział. – Przystaje padać, ale wieje coraz bardziej.

Charlotte rozejrzała się dokoła.

– W drodze do Briggsa mijaliśmy kilkanaście górskich chat.

– Tak jest. Idziemy. – Wyjął zza koszuli dwie małe paczuszki. – Weź to.

Wzięła jedną z nich.

– Koce termiczne?

– Zawsze mam je w apteczce. Nie dałem rady zabrać całej apteczki, ale dzięki kocom dotrzemy do jakiegoś chronienia.

Rozłożyli cieniutkie płachy i owinęli się starannie. I ruszyli w dół.

– Tak z ciekawości – zagadnął. – Co cię podkusiło, żeby zapisać się na kurs kajakowy?

– Terapeutka twierdziła, że powinnam być bardziej spontaniczna. Jedna z pań w Deszczowych Ogrodach zaproponowała kajakarstwo. Mildred twierdziła, że uprawiała je przez wiele lat, i zapewniała, że to fantastyczny sposób, żeby poznać wysportowanych facetów na świeżym powietrzu.

– No i co?

– No i miała rację. Proszę bardzo, jestem na świeżym powietrzu – z facetem.

Rozdział 25

Droga biegła mniej więcej równolegle do rzeki. W ciepły, letni dzień byłaby to przyjemna wędrowka, ale w deszczu i pod naporem wiatru było gorzej i bardzo niebezpiecznie. Cieniutkie koce termiczne stanowiły tylko marną osłonę.

Wiatr hulał w gałęziach nad ich głowami. Lada chwila jedna z nich mogła runąć. Już to stanowiło poważne zagrożenie, ale dosłownie każdy spadający konar mógł zerwać linię wysokiego napięcia, a to było jeszcze bardziej niebezpieczne.

W pewnym momencie musieli obejść szerokim łukiem osuwisko ziemi na drodze.

– Myślisz, że Briggs będzie chciał się upewnić, czy nie udało nam się wydostać z rzeki? – zapytała.

– Nie mam zielonego pojęcia. Żeby ścigać nas samochodem, musiałby usunąć ten pień po drugiej stronie mostka, a to niełatwe. Na piechotę raczej nas nie dogoni, nurt rzeki jest za szybki. Samochód już dawno utonął. Nawet jeśli obawia się, że przeżyliśmy, nie ma pojęcia, gdzie nas szukać. Obstawiam, że wrócił do siebie i wmawia sobie, że już po nas. Jego zdaniem jesteśmy tylko parą mieszcuchów, którzy nie mają pojęcia, jak przetrwać w jego świecie.

– Pewnie tak.

– Ale nie mamy pewności.

– Wiesz, Cutler, to mi się w tobie bardzo podoba. Broń Boże nie przesadzić z optymizmem.

– Przesadny optymizm to prosta droga do grobu.

– Litości. – Spojrzała na niego. – Myślisz, że Briggsowi odbiło?

– Nie, myślę, że to skorumpowany gliniarz, który dawno temu wziął sporą sumkę za to, że zniknie materiał dowodowy.

– Drań.

– Drań, który ma na sumieniu usiłowanie zabójstwa.

– Nas.

– Być może ma też coś wspólnego ze śmiercią Louise Flint.

– Myślisz, że ją zabił?

– Myślę, że to prawdopodobne.

– Czyli mógł nas do siebie zaprosić z jeszcze jednego powodu.

– Jakiego? – zainteresował się.

– Mówiłeś, że przychodzą ci do głowy dwie przyczyny. Po pierwsze, chciał się przekonać, ile wiemy i jak wygląda sprawa z naszym dochodzeniem. Ale może od samego początku chciał nas sprzątnąć, gdyby się okazało, że wiemy za dużo albo możemy pokrzyżować mu szyki.

– Nie. – Max pomógł jej przeskoczyć zwalony pień. – Nie sądzę, żeby chciał nas zabić. Wydaje mi się, że to była spontaniczna decyzja. Spanikował, kiedy stało

się jasne, że będziemy węszyć w sprawie Jocelyn.

- Dlaczego nas nie zastrzelił?
- Z dwóch powodów. Po pierwsze, trudno wyjaśnić dwa trupy.
- A po drugie?
- Wiedział, że mam broń.
- Skąd?
- To gliniarz. Wiedział, czemu byłem w marynarce.

Niemal przypadkiem doszli do górskiej chaty, prawie niewidocznej wśród gęstych drzew. Deszcz wyplukał piaszczyste koleiny. Max zobaczył ją, gdy wiatr na chwilę rozchylił gałęzie.

Była to niewielka chatka z kamiennym kominkiem i malutką kuchenką. Bez trudu sforsował zamek i zabrał się za rozpalanie ognia, a Charlotte poszła do sypialni w poszukiwaniu koców. Po kolei. Najpierw musieli się rozgrzać.

Jedno było jasne jak słońce, dumał. Dzisiejszy dzień pokazał, że Charlotte nie należy do osób, które jęczą bez powodu i narzekają na sytuację, której nie mogą zmienić. I wiedziała, co się liczy. Bardzo mu się to w niej podobało. Bardzo.

Oboje uważali się za osoby przezorne, ale w życiu są chwile, gdy to bardzo przydatna cecha, dzięki której być może wyjdą cało z tej przygody i zejną z tej cholernej góry.

Rozpalił ogień, zanim weszła do pokoju.

- To nie Ritz, ale musi nam wystarczyć – powiedział.
- Nie ma to jak w domu – odparła.

Rozdział 26

Jeszcze nikt nigdy nie usiłował mnie zabić – stwierdziła Charlotte. – Coś takiego mocno zmienia podejście do życia.

– Oczywiście pod warunkiem, że się to życie ocali.

– Nam się udało, dzięki tobie.

– To jeszcze nie koniec.

Tulił w dłoniach kubek letniej kawy i kombinował, jak bezpiecznie przetrwać noc i wrócić rano do cywilizacji.

Siedzieli na fotelach przysuniętych do kominka, otuleni w kołdry z sypialni. Ich ubrania suszyły się na meblach blisko ognia. Max najlepiej, jak umiał, oczyścił i wysuszył pistolet, który teraz leżał u jego stóp.

Komórka, którą miał u pasa w wodoodpornym pokrowcu, o dziwo ocalała, ale na górze nie było zasięgu. Telefon Charlotte poszedł na dno razem z jej torebką.

Rozpalenie ognia było ryzykowne, ale nie mieli innego wyjścia, oboje byli niebezpiecznie wychłodzeni i przemoknięci. Zaciągnął w oknach ciężkie zasłony, żeby blasku płomieni nie było widać z zewnątrz, i nic więcej nie mógł zrobić. Tylko liczyć, że, jak wcześniej mówił, Briggs uznał, że zginęli i wrócił do domu.

Wyposażenie chaty było iście spartańskie. Z punktu widzenia Charlotte najważniejsze było to, że jeszcze trwała jesień i właściciele nie odłączyli wody na zimę, żeby chronić rury przed popękaniem. Kiedy okazało się, że w toalecie daje się spuścić wodę, cieszyła się, jakby wygrała milion na loterii. On sam w duszy cieszył się na myśl o kubku gorącej kawy. Czasami najważniejsze są drobiazgi, pomyślał.

Oprócz kawy rozpuszczalnej znaleźli w kuchni puszki zupy i duszonych warzyw. Ciągłe nie było prądu, więc podgrzali je na ogniu w kominku.

Charlotte patrzyła w płomienie. Jej oczy nikły w cieniu.

– Właśnie przyszło mi do głowy, że może to sam Briggs zgwałcił Jocelyn.

Max przemyślał to.

– Możliwe, ale mało prawdopodobne – stwierdził. – Sądzę raczej, że przyczynił się do zniknięcia dowodów.

– Jocelyn zapamiętała kilka szczegółów. Głos napastnika, jego buty, takie drobiazgi, ale dość, by nabrała przekonania, że to był ktoś w mniej więcej jej wieku. Czyli nie Briggs.

– Prowadził dochodzenie w tej sprawie. Mógł spokojnie zachachmęcić dowody.

– Innymi słowy, jest współwinny.

– Nie po raz pierwszy gliniarz gubi dowody, bo są naciski z góry i być może sowita łapówka.

Charlotte upiła łyk kawy.

- Czyli zapłacono mu, żeby ukręcił sprawie łeb.
- W tej chwili wszystko na to wskazuje.
- Wiemy już, że Briggs jest zdolny do morderstwa. Czyli nie możemy wierzyć w żadne jego słowo.
- Cóż, doświadczony kłamca zawsze stara się uwiarygodnić swoje słowa okruciami prawdy, ale tak, wszystko, co powiedział, stoi pod wielkim znakiem zapytania.
- Więc może Louise Flint naprawdę przyjechała do Loring, żeby z nim porozmawiać – mruknęła Charlotte. – I coś, co powiedziała, sprawiło, że postanowił się jej pozbyć.
- Może. Jedno jest pewne – coś, co powiedzieliśmy, sprawiło, że spanikował. A niełatwo wprawić w panikę starego gliniarza.
- Właściwie powiedzieliśmy mu tylko, że badasz sprawę zabójstwa kobiety związanej z moją przyrodnią siostrą.
- Nie, sugerowaliśmy, że interesuje nas sprawa Jocelyn. I to go śmiertelnie wystraszyło.
- Czyli to Briggs zamordował Louise. To jedyne logiczne wyjaśnienie.
- Nie byłbym tego taki pewien. Rzecz w tym, że Louise zamordował ktoś, kto zbliżył się do niej na tyle, że podał jej narkotyki. Czyli znała zabójcę.
- Niekoniecznie. Gdyby nie twoje ostrzeżenie, wypiłabym kawę, którą poczęstowała nas Roxanne Briggs, bez chwili wahania.
- Jeśli w grę wchodzi narkotyki, wolę dmuchać na zimne. Ale jednocześnie wydaje mi się, że Briggs wolałby sięgnąć po broń, ewentualnie posłużyłby się własnymi rękami.
- Jak wtedy, kiedy chciał nas zabić.
- Tak.
- Charlotte przymknęła oczy. Gdy ponownie uniosła powieki, miała poważną, zdeterminowaną minę.
- Wsadziliśmy kij w mrowisko – stwierdziła.
- Tak.
- Upił łyk kawy.
- Zaskoczyła go lekkim uśmiechem.
- Co jak co, ale wiesz, jak pocieszyć klientkę. Tak jest, od razu mi lepiej, szanowny panie.
- Stłumił westchnienie.
- Nie jesteś moją klientką, przypominam.
- Lekko przechyliła głowę.
- Z klientami rozmawiasz inaczej?
- Doświadczenie mnie nauczyło, że lepiej nie żywić fałszywych nadziei.
- Skinęła głową, wpatrzona w płomienie.

– Mogę zadać ci osobiste pytanie? – odezwała się po dłuższej chwili.

– Zależy.

– Jak zwykle przezorny – mruknęła.

Nie wiedział, jak na to odpowiedzieć, więc upił łyk kawy.

– Jakim cudem trafiłeś akurat do Seattle? – zapytała.

– Już ci mówiłem. Wypalenie zawodowe. Rozwód. Musiałem zmienić otoczenie.

– Tak, to już słyszałam. Ale interesuje mnie, co się za tym kryje. Powiesz, co się tak naprawdę stało?

– Na pewno chcesz wiedzieć?

– Jeśli zechcesz mi powiedzieć. Nie mam prawa naciskać, nie musisz mi niczego wyjaśniać.

Przez chwilę patrzył, jak w ogniu tańczą duchy dawnych koszmarów. A potem, ku swemu zdumieniu, zaczął mówić.

– Sprawy, którymi się zajmowaliśmy, wszystkie były straszne, niejako z założenia. Ale ostatnia dotknęła mnie znacznie bardziej niż inne, bo chodziło w niej między innymi o ogień.

Spojrzała na niego.

– Ogień?

– To osobny temat. Kiedy byłem mały, zamknięto mnie i inne dzieciaki w szopie, którą podpalił psychopata nazwiskiem Quinton Zane.

Otworzyła szeroko oczy.

– I jak się wydostałeś?

– Uratował nas miejscowy szeryf. To długa historia. Moja mama była samotną matką, artystką, wolnym duchem, jak to się mówi. Żyła metafizyką.

– Metafizyką?

– Wiecznie szukała oświecenia. Dużo podróżowaliśmy – od jednego guru do drugiego. Nie masz pojęcia, ilu oszustów podaje się za mędrców, i ilu ludzi się na to nabiera.

– Wiem. To bardzo smutne.

– Kiedy miałem dziesięć lat, trafiliśmy do komuny Zane’a. Jeden z jego wyznawców udostępnił mu ziemię, stare ranczo za małym kalifornijskim miasteczkiem. Kobiety mieszkały w jednym budynku, mężczyźni w innym, dzieci na noc zamykano w starej szopie.

– A Zane?

– Zajął stary dom. I co noc posyłał po jedną z kobiet. To miał być dla niej wielki zaszczyt.

– Obrzydlistwo.

– Jak większość takich drani, Zane myślał tylko o dwóch rzeczach – władzy i pieniądzu. Ale był młody, miał dwadzieścia parę lat, i bardzo nowoczesny. Jego

sekta prężnie działała w Internecie. Dorośli członkowie sekty przekazywali mu swoje majątki, w tym papiery wartościowe, gdy przystępowali do komuny. A później zarabiali na utrzymanie, biorąc udział w internetowych oszustwach, za którymi najczęściej stał Zane.

– A dzieci?

– Pracowaliśmy fizycznie na ranczu, ale nas też szykowano do internetowych oszustw. I powiem ci, bardzo się to nam podobało, to było jak gra komputerowa. Wygrywasz i zarabiasz.

– Ale nie dla siebie.

– Skądże, wszystko trafiało do kieszeni Zane’a.

– I co się stało?

– Seks. Podobno właśnie od tego zaczyna się wewnętrzna dezintegracja sekty. W końcu jeden z mężczyzn się wkurzył, że kobiety sypiają z Zanem. Kobiety miały dosyć, bo bały się mu odmówić z obawy, że je wyrzuci, a te, które miały dzieci, tym samym straciłyby z nimi kontakt.

– To dlatego was zamykano na noc, żeby rodzice nie mogli wymknąć się z dziećmi ukradkiem – domyśliła się. – Czyli dzieci były zakładnikami.

– Tak. No więc sytuacja się pogarszała. Z perspektywy czasu widzę, że sekta była o krok od rozłamu. Zane zapewne zdawał sobie z tego sprawę. Nie chciał zawracać sobie głowy klęską i ryzykować, że straci pieniądze, ukryte na zagranicznych kontaktach. Pewnej nocy podłożył ładunki wybuchowe, które miały zniszczyć ranczo, komputery i dowody oszustw. Nie wiadomo, czy chciał też zabić ludzi, czy po prostu pożar wymknął się spod kontroli.

– A ty i inne dzieci byliście zamknięci w szopie? – Była przerażona.

– Tak. I zginęlibyśmy, gdyby szeryf Anson Salinas nie wjechał w ścianę swoim wozem. Wpakował całą ósemkę wystraszonych dzieciaków do samochodu i zabrał nas z piekła.

– Robi mi się zimno, gdy cię słucham. Ocalił wam życie. Cudowna sprawa. Max uśmiechnął się.

– Zwłaszcza że wszyscy wokół ostrzegali go, że szopa lada chwila runie.

– A twoja mama? – Charlotte zawahała się przed tym pytaniem.

Max wrócił wzrokiem do ognia.

– Podobnie jak kilkanaście innych kobiet nie zdołała się wydostać. Zane je także zamykał na klucz.

Charlotte bez słowa położyła mu dłoń na barku.

Przez chwilę napawał się dotykiem jej dłoni na skórze.

– A Zane? – zapytała w końcu.

– Uciekł w tym całym zamieszaniu.

– Złapano go?

Max spojrzał jej w oczy.

– Nie. Ale kilka miesięcy później mężczyzna odpowiadający jego rysopisowi wynajął jacht niedaleko Los Angeles i sam wypłynął w morze. Na pokładzie wybuchł pożar. Jacht zatonął. Ciała Zane’a nigdy nie znaleziono. Oficjalnie uznano go za zmarłego. Ale ja i moi bracia w to nie uwierzyliśmy. Cały czas go szukamy.

– Twoi bracia? Też tam byli?

– Z ósemki dzieciaków w szopie my trzej straciliśmy matki i nie mieliśmy innych krewnych, w każdym razie krewnych, którzy chcieliby zaopiekować się małymi chłopcami. Mieliśmy trafić do domu dziecka. I wtedy znowu uratował nas Anson Salinas. Wziął nas do siebie, zrobił uprawnienia ojca zastępczego i nas wychował. Więc tak, mam braci, Cabota Suttera i Jacka Lancastera.

Charlotte przyglądała mu się uważnie.

– I ojca, z tego, co słyszę.

Uśmiechnął się.

– O tak, zdecydowanie mam ojca.

– No więc co poszło nie tak?

– W pracy? Wszystko. Współpracownicy, przyjaciele i żona uznali, że oszalałem. Że mam obsesję. Że mi kompletnie odbiło.

– Dlaczego?

– Bo przynajmniej przez pewien czas byłem święcie przekonany, że Quinton Zane zmartwychwstał.

Rozdział 27

Rozpacz w jego oczach poruszyła Charlotte do głębi.

– Wiedzieliśmy, że mamy do czynienia z seryjnym podpalaczem – opowiadał Max. – Wyszukiwał ofiary na internetowych portalach randkowych. Wmawiał im, że jest ich drugą połówką i w końcu proponował spotkanie w realu.

– I wtedy zabijał?

– Tak. Wzorzec wydawał się oczywisty. Uprawiał z nimi seks, mordował w miejscu, w którym czuł się bezpiecznie, a potem porzucał ciała i usiłował pozbyć się śladów, wywołując pożar. Czasami podpalał samochód ofiary, czasami jej dom, czasami wrzucał ciało do śmietnika, polewał acetonem i podpalał. Czasami był to opuszczony budynek.

Charlotte wpatrywała się w jego ponurą minę.

– Złapaliście go?

– Tak. Powstał specjalny zespół dochodzeniowy, stworzyliśmy fałszywy profil na portalu randkowym, żeby go zwabić, i kiedy morderca się nim zainteresował, jedna z nas, Beth, miała udawać zainteresowaną kobietę. I coś poszło nie tak. Okazało się, że morderca niemal od początku coś podejrzewał. Beth miała podsłuch, obserwowaliśmy ją, ale drań znalazł mikrofon. I zniszczył.

– Co było dalej?

– Modliłem się, żeby jej nie zabił. Zakładałem, że od razu jej nie zamorduje, bo chciał się z nami drażnić. Ponownie przeanalizowałem wzorzec.

– Jaki wzorzec?

– Ciała znajdowano w różnych miejscach, ale kiedy dokładnie je przeanalizowałem, zobaczyłem, że układają się w pewien wzór, pośrodku którego jest stary opuszczony szpital. Pomyślałem, że może tam je zabija. Przekonywałem, że warto to sprawdzić, ale był w naszym zespole nowy, młody geniusz, który wiecznie przechwalał się swoimi algorytmami i modelami komputerowymi. I twierdził, że morderca zabija gdzie indziej. Uwierzyli jemu. Do opuszczonego szpitala pojechałem sam.

– Bez wsparcia?

– Bałem się, że przestępca zabije Beth, o ile tego jeszcze nie zrobił, kiedy zobaczy funkcjonariuszy. Wydrukowałem plan szpitala i zobaczyłem, że prowadzi do niego podziemny tunel, łączący główny budynek z kostnicą. Zaryzykowałem i wszedłem tamtędy.

– Był otwarty?

– Tak. Oczywiście bez prądu. Każdy zakręt, każda szafa stanowiła potencjalne zagrożenie. Znalazłem Beth w sali operacyjnej, była skrepowana i zakneblowana. Uwolniłem ją, zaczęliśmy uciekać, ale morderca nas obserwował. I czekał. Strzeliłem, raniłem go w udo. Krwawił, ale wszędzie porozlewał płyn

łatwopalny i podłożył ogień, gdy wychodziliśmy z sali operacyjnej.

– Znowu znalazłeś się w najstraszniejszym koszmarze – w środku płonącego budynku.

– No właśnie. – Na jego czole widniały krople potu. Otarł je skrajem kołdry. Cały czas wpatrywał się w płomienie na kominku. – Udało się nam wyjść, bo zapamiętałem plan szpitala. Dopadliśmy schodów i zeszliśmy do tunelu.

– Dzięki Bogu. A morderca zginął w pożarze?

Max w końcu oderwał wzrok od ognia.

– Tak.

– Czy to był Quinton Zane?

– Nie. – Odetchnął głęboko. – Jeszcze kilka innych rzeczy poszło z dymem – moja kariera i moje małżeństwo.

– Ale dlaczego? Uratowałaś Beth. Dopadłeś drania. Byłeś bohaterem.

– Nie, byłem szczęściarzem. Ale straciłem pracę nie przez to, co działo się w szpitalu, tylko później.

– Czyli co?

– Miałem obsesję na punkcie tej sprawy. Inaczej nie sposób tego nazwać. Nie mogłem przestać o tym myśleć.

– Bo nie miałeś pewności, że morderca nie żyje?

– Wiedziałem, że nie żyje, ale nie mogłem się opędzić od myśli, że jest jakoś związany z Zanem. Moja żona, szef i koledzy uważali, że przesadzam. Radzili mi, żebym poszedł na urlop. Na terapię. Zrobiłem jedno i drugie, ale nic nie pomogło. Znowu nękały mnie koszmary. Budziłem się zlany zimnym potem. Męczyła mnie bezsenność. Widziałem wzorce tam, gdzie ich nie było. Wszystko razem. W końcu uznano, że nie nadaję się do tej pracy, żona uznała, że jestem na równi pochyłej, nie chciała brać w tym udziału, chciała żyć dalej. Nie dziwię się jej.

Charlotte cały czas trzymała dłoń na jego ramieniu. Nie wiedziała, czy Max jest tego świadom, ale czuła, że teraz nie może jej cofnąć. Jeszcze nie.

– Minęło już kilka miesięcy – zaczęła. – Nadal uważasz, że ta sprawa miała coś wspólnego z Zanem?

Myślała w pierwszej chwili, że nie odpowie, ale w końcu to zrobił.

– Tak.

– I nadal dręczą cię koszmary, bezsenność i zimne poty?

– Nie zawsze, ale... tak. Miałem sporo... ciężkich nocy. Terapeutka twierdzi, że powinienem zwalczać tę obsesję. Nauczyć zajmować się czymś innym, ćwiczyć koncentrację i tak dalej. Że tak naprawdę źródłem problemu jest świadomość porzucenia, jeszcze z dzieciństwa. Lęk separacyjny połączony z zespołem stresu pourazowego. Przepisała mi leki. Przez pewien czas brałem, ale wątpliwości nie zniknęły. Więc owszem, w te najgorsze noce odpalam komputer i szukam Quintona Zane'a.

Przyglądała mu się.

– Obawiasz się, że twój szef i była żona mieli rację, tak? Że naprawdę ci odbiło, że ulegasz obsesji, że szukasz wzorca tam, gdzie go nie ma.

– Przeszło mi to przez myśl.

– Słuchaj, moim zdaniem powinieneś zawsze słuchać intuicji. W końcu dzięki niej znalazłeś tamten szpital. Uratowałeś Beth. Najwyraźniej dostrzegasz coś, co innym umyka. Masz dar.

– Dar albo obsesję. Uprzedzam, fachowcy uważają to za oznakę choroby psychicznej.

Spojrzała na niego.

– Facet, którego coraz lepiej poznaję, który szuka zabójcy Louise Flint i który uratował mnie z tonącego samochodu, to nie wariat.

Odetchnął głęboko.

– Przepraszam, niepotrzebnie na ciebie naskoczyłem.

– Słuchaj, próbowałeś terapii i leków. A teraz szukasz innych tematów, żeby o tym ciągle nie myśleć.

Zmarszczył brwi.

– Myślisz, że dlatego zostałem detektywem?

– Być może. Ale chodzi mi o co innego. Masz własne wątpliwości, a one nie znikną tylko dlatego, że przymkniesz na nie oczy. Musisz się z nimi zmierzyć. Być może nigdy nie uzyskasz odpowiedzi, ale musisz pogodzić się z tym, że pytania są prawdziwe i że masz powody, by je zadawać.

Kącik jego ust uniósł się w uśmiechu.

– A skąd to wiesz?

– Bo wiem, co z człowiekiem robią tłumione pytania. Weźmy Jocelyn. Nie tylko ją zresztą. W Deszczowych Ogrodach poznałam mnóstwo osób, które nigdy nie uzyskały odpowiedzi na swoje pytania. I te pytania nie znikają. Musisz znaleźć dla nich miejsce w swoim umyśle. Wyznacz im granice, ale nie udawaj, że ich nie ma. Takie pytania żywią się mrokiem. Jeśli nie chcesz, żeby zatruły ci życie, wywlec je na światło dzienne.

Uśmiechnął się, tym razem szeroko.

– Gdzie się nauczyłaś tak przemawiać?

– Po kursie kajakarskim i kilku innych, które miały wzbudzić we mnie spontaniczność, dałam sobie spokój i zapisałam się na zajęcia z medytacji. Cóż mogę powiedzieć? Zmieniły moje życie.

Rozdział 28

Nie spodziewała się, że zaśnie, więc zdziwiła się, gdy obudziła się ze snu, w którym szukała Jocelyn. Przez chwilę leżała nieruchomo, usiłowała się zorientować, gdzie jest i co się dzieje.

Uniosła powieki i zobaczyła Maxa. Kuczał przy kominku. Wrzucał gałązki do ognia. On także otulał się kołdrą. Pistolet w kaburze leżał na podłodze.

Usiadła powoli.

– Coś się stało?

– Nie. – Spojrzał na nią przez ramię. – Wszystko w porządku, chciałem tylko dorzucić do ognia. Przepraszam, że cię obudziłem.

– Która godzina?

– Po drugiej.

– Ja już pospałam – stwierdziła. – Teraz twoja kolej.

– Nic mi nie będzie. Nie pierwszy raz zarywam noc.

– Tak, ale nie w tym rzecz. Zdaję sobie sprawę, że jedno z nas musi czuwać, i przez kilka godzin chyba sobie poradzę. A ty się zdrzemnij.

W pierwszej chwili myślała, że jej odmówi.

– Obudź mnie, jeśli cokolwiek usłyszysz. Nie wmawiaj sobie, że ci się tylko zdawało. Budź mnie.

– Dobrze.

Wstała, pilnując, żeby nie rozchyliła się kołdra, i podeszła do krzesła. Wiatr ucichł. Deszcz też. Burza minęła. Leśna cisza niepokoiła, ale przynajmniej dzięki temu usłyszy każdego, kto będzie się skradał do chaty.

Max otulił się kołdrą i ułożył na podłodze. Wsunął poduszkę pod głowę i zamknął oczy.

Czuła dziwną satysfakcję na myśl, że ufa jej na tyle, że pozwolił czuwać. Między nimi narodziła się więź, stwierdziła.

Nie zaczynaj. Nic dziwnego, że ludzie, których połączyło niebezpieczeństwo, zbliżają się do siebie. To powierzchowne i zapewne chwilowe. Zniknie, kiedy znowu będą bezpieczni.

A jednak z Brianem nigdy nie czuła takiej więzi. I bez względu na to, co przyniesie przyszłość, nie zapomni tego uczucia.

Wstała, naląła sobie letniej kawy. Sączyła ją powoli, myśląc o Jocelyn, ciekawa, gdzie się zaszła.

Kiedy myśli zdawały się ją dławić, skoncentrowała się na Louise Flint i pozostałych członkiniach klubu inwestorek.

Co wyście wyprawiały, Jocelyn? Jakiego diabła obudziłyście?

Rozdział 29

Max zapadał w płytki sen i zaraz się z niego budził. Co pewien czas na chwilę wracał do rzeczywistości, odruchowo sprawdzał wszystkimi zmysłami, czy wszystko jest w porządku; czekał podświadomie na nowe odgłosy, najmniejszy ruch, przeciąg.

I za każdym razem oddychał z ulgą, że wszystko jest w porządku. Za każdym razem widział Charlotte, czujną i przytomną. Za każdym razem uśmiechała się do niego, a on zamykał oczy, znowu odpływał w sen, czy raczej w ten dziwny stan między snem a jawą.

Było jeszcze ciemno, gdy po raz kolejny wrócił do rzeczywistości. Tym razem obudził go zapach ciepłego jedzenia.

Uniósł powieki i zobaczył Charlotte przy kominku. Mieszała coś w poobijanym garnku. Pierwsze, co zauważył, to fakt, że nie była już otulona kołdrą. Miała na sobie te same ciuchy, w których wpadła do rzeki.

Spojrzała na niego.

– Dzień dobry – mruknęła.

– Dzień dobry.

Chciał też odrzucić kołdrę, ale przypomniał sobie, że jest goły. Usiadł ostrożnie.

– Pomyślałam, że zechcesz wyruszyć jak najwcześniej – wyjaśniła. – Jeśli nie złapiemy podwózki, czeka nas długa droga do Loring.

Udało mu się wstać i jednocześnie owinąć się kołdrą w pasie. Schylił się po broń.

– Złapiemy okazję – zapewnił. – Po takiej burzy na drogach będzie pełno ekip ratowniczych. Będą sprawdzali, czy wichura nie zerwała trakcji wysokiego napięcia, nie zniszczyła mostów, czy nie doszło do obsunięcia ziemi.

Nałożyła potrawkę na talerz i podała mu.

– Zakładam, że zajrzemy na posterunek policji w Loring – powiedziała.

– Tak. – Podniósł łyżkę do ust. Danie było zaskakująco smaczne. – Kiedy tylko złapię zasięg, zadzwonię do Ansona. Martwi się pewnie, co się stało.

– A jeśli policjanci z Loring to kumple Briggsa?

– To możliwe, ale mało prawdopodobne. Sprawdziłem co nieco, kiedy weryfikowałem Briggsa. Po jego odejściu na posterunku sporo się zmieniło. Obecny szeryf pracuje tu od kilku lat.

– Ciekawe, czy będą udawali, że nam wierzą, kiedy powiemy, że Briggs chciał nas zabić.

– Mam wrażenie, że nie za bardzo wierzysz w prawo i porządek.

– W sumie wierzę – z wyjątkiem obrońców prawa w Loring w stanie Waszyngton.

– Sprawy się zmieniają.

– Proszę, proszę, i kto tu teraz lansuje pozytywne myślenie? – Charlotte prychnęła.

– To chyba wpływ towarzystwa.

Uśmiechnęła się łobuzersko.

– Ach, więc teraz wywieram na ciebie zły wpływ? Super. Zawsze chciałam sprowadzić kogoś na złą drogę.

Pochylił się w jej stronę. Nie odsunęła się. Przez chwilę wydawało się, że czas się zatrzymał.

Pocałował ją. Szybko. Wmawiał sobie, że to była próba. Nie odsunęła się, za to położyła dłoń na jego nagim barku. Miała cudownie ciepłe, miękkie palce. Rozchyliła usta pod jego wargami.

Podniósł głowę. Milczała. Obserwowała go zafascynowana.

– Żeby było jasne: masz na mnie bardzo, ale to bardzo zły wpływ – powiedział.

– Dzięki. – Odetchnęła głęboko.

Odwrócił się, podniósł spodnie i ruszył do łazienki. Żeby się ubrać, zanim zrobi coś naprawdę głupiego – na przykład powie jej, że od pierwszej chwili, gdy ją zobaczył, chciał ją pocałować. Albo że gdy już to zrobił, nie chciał przerywać.

Priorytety, pomyślał. Krok po krocisku.

Rozdział 30

Roxanne Briggs mieszała owsiankę w garnku drewnianą łyżką i myślała o przeszłości. Ostatnio tylko o tym właściwie myślała.

Było jeszcze wcześniej, dochodziło wpół do szóstej. Do świtu jeszcze daleko, ale burza ucichła. W nocy nie zmrużyła oka. Egan niewiele mówił, kiedy wrócił po tym, jak pojechał za Maxem Cutlerem i Charlotte Sawyer. Był wściekły i nabuzowany adrenaliną. Od razu sięgnął po whisky.

Na jej pytanie, co zrobił, odparł zwięźle, że Cutler i Sawyer już nie stanowią problemu. Chciała szczegółów. Powiedział, że doszło do wypadku i wóz Cutlera wpadł do rzeki. Niemożliwe, żeby on i ta Sawyer ocaleli.

Wtedy zrozumiała, że usiłował ich zabić, ale nie była pewna, czy mu się to udało. Cutler wydawał się bardzo kompetentny. Instynkt podpowiadał jej, że w sytuacji kryzysowej nie panikuje. A Charlotte Sawyer też wydawała się nie w ciemną bita.

No, ale to jednak tylko mieszcuchy w rwącej rzece. Mało prawdopodobne, żeby udało im się wyjść z tego cało. Ale nawet jeśli tam zginęli, było jasne, że ich świat wali się w gruzy. Tajemnice, które od tak dawna skrywali z Eganem, wracają, żeby ich zniszczyć.

Los to wredny drań.

W końcu Egan zasnął pijackim snem na rozkładanym fotelu, a ona rozebrała się i poszła do łóżka, ale i tak nie mogła zasnąć. Jak mogłaby spać, wiedząc, że zbliża się do kresu krętej, mrocznej drogi?

Do tej pory zносиła koszmar tego małżeństwa ze względu na Nolana. Dla niego poświęciła wszystko. Jakby nie było, to jej syn. Ale tego ponurego ranka nagle straciła przekonanie, że może tak dalej, nawet dla niego.

Egan stanął w progu.

– Pakuj się. Wyjeżdżamy.

– Co? – Odwróciła się do niego.

– Przemyślałem sobie to i owo. Cutler i Sawyer pewnie nie żyją, ale jeśli jakimś cudem uszli z życiem... Zresztą to nieważne, żywi czy martwi ściągną nam kłopoty na głowę. Rozgrzebali przeszłość i prędzej czy później wszystko wyjdzie na jaw. Musimy stąd uciekać. Poszukać nowego miejsca. Może w Idaho. Albo w Wyoming.

Roxanne spojrzała na owsiankę i podjęła decyzję.

– Nie.

– Nie wygłupiaj się. Nie możemy tu zostać. Jeśli Cutler i Sawyer przeżyli, od razu pójda na policję. Jeśli zginęli, gliniarze przyjdą tu z mnóstwem pytań. Zostaw tę cholerną owsiankę i pakuj się.

– Nie – powtórzyła już spokojniej.

– Jak sobie chcesz. Ja spadam. Sama zdecydujesz, czy ze mną jedziesz czy nie.

Zacisnęła dłoń na łyżce. Jedno było jasne – jeszcze nigdy tak bardzo nie nienawidziła Egana jak w tej chwili.

– Mówiłam ci przed laty, że to wszystko odbije się nam czkawką – powiedziała.

– Bzdura. Wyciągałaś łapę po pieniądze, równie chętnie jak ja.

Nie odpowiedziała. Nie miała nic do powiedzenia. Fakt, zgodziła się milczeć i przyjmować pieniądze. Ze względu na Nolana.

– Kiedy wyjeżdżasz? – zapytała, siląc się na rzeczowy ton.

– Dzisiaj. Biorę wóz terenowy. Najpierw muszę zadzwonić. Niech drań zapłaci po raz ostatni.

– W tych okolicznościach to niezbyt rozsądne – zauważyła. – Sam przyznałeś, że w ciągu ostatnich miesięcy Trey Greenslade stał się bardziej niebezpieczny.

– Odbiło mu po śmierci starego, to fakt. Zginęły co najmniej dwie kobiety. Cutler nie mylił się co do jednego – morderstwa się nie skończy. Trey jest na równi pochyłej. Ale jest zarazem sprytny, wie, jak ma się ochronić – kontrola nad firmą jest w zasięgu jego ręki. Uwierz mi, zapłaci jeszcze jeden, ostatni raz, zwłaszcza że wie, że postawi na swoim.

Owsianka się przypaliła. Roxanne odruchowo zdjęła ją z palnika.

Egan miał rację. Trey odziedziczył wszystko – nazwisko Greenslade, majątek, pozycję. Na drodze do szczęścia stał mu tylko Egan.

– No i? – zapytał. – Na pewno chcesz zostać?

Podjęła decyzję. Z Eganem łączyły ją tajemnice – i nic więcej.

– Tak – odparła. – Nie jadę z tobą.

Przez chwilę sądziła, że będzie się starał ją przekonać, namówić – nie dlatego, że ją kochał, ale dlatego, że znała jego sekrety i do tej pory trzymała język za zębami. Na całym świecie mógł polegać tylko na niej i oboje o tym wiedzieli.

A potem przeszło jej przez myśl, że może ją zabić, żeby mieć pewność, że nie piśnie słowa.

Dyskretnie przysunęła dłoń do ścierki na blacie.

Ale Egan tylko wzruszył ramionami i wyszedł z kuchni.

– Jak sobie chcesz – powtórzył.

Stała w kuchni z dłonią na blacie.

Słyszała, jak krząta się w sypialni, wkłada ubrania do walizki. Potem poszedł do piwnicy. Wrócił z kartonowym pudełkiem w ręku. Wstrzymała oddech.

– Zabieram to ze sobą – powiedział, jakby rzucał jej wyzwanie.

– Proszę bardzo – mruknęła cicho. Spojrzała na zdjęcie syna na kominku. – Co mam powiedzieć Nolanowi? – zapytała.

– Co tylko chcesz. – Egan szedł już do drzwi. – I tak go to nie obchodzi. Dla niego liczy się jedno – kolejna działka. To narkoman, Roxanne, a ćpun zawsze będzie ćpunem. Pewnego dnia przedawkuje i tak się to wszystko skończy. I tylko ty nad nim zapłaczesz.

Stała w kuchni, a Egan pakował rzeczy do wozu. Dopiero kiedy w końcu odjechał, pozwoliła sobie odetchnąć pełną piersią.

Z bijącym sercem podniosła ścierkę, spojrzała na pistolet na kuchennym blacie. Poprzedniej nocy zastanawiała się, czy nie strzelić sobie w głowę, ale rano ponownie odezwał się instynkt macierzyński. Chciała zabić Egana, gdyby jej zagroził.

Musi żyć, żeby zająć się Nolanem.

Rozdział 31

Co was, do cholery, podkusiło, żeby jechać na tę cholerną górę do Egana Briggsa i jego żony? Wszyscy wiedzą, że to świry. To preppersi – czekają na koniec świata. Macie szczęście, że straciliście tylko samochód. Równie dobrze mogli wam odstrzelić głowy.

– Też na to wpadliśmy – zapewnił Max. – A pojechaliśmy do Briggsa, bo badam sprawę śmierci Louise Flint.

Policjant nazywał się Tucker Walsh i miał trzydzieści parę lat. Wspominał, że dwa lata temu przeniósł się do Loring, bo jego żonie marzyło się życie w małym, spokojnym miasteczku, żeby w spokoju wychowywać dzieci.

Walsh wydawał się inteligentny i profesjonalny, ale Max, jak Charlotte, wolał zachować dystans wobec wszystkich w jakikolwiek sposób związanych z posterunkiem policji w Loring. Może nam też odbija, pomyślał, ale tak czasami wpływa na człowieka bliski kontakt ze śmiercią. No i trudno.

Droga w dół poszła w miarę gładko. Zgodnie z jego przypuszczeniami na szosie było sporo ekip ratunkowych. Do Loring podrzucił ich bardzo sympatyczny właściciel firmy uprzętającej zwalone drzewa.

Zgodnie ze wcześniejszą umową, podczas jazdy nie wspominali Briggsa ani Roxanne, tłumaczyli tylko, że wskutek wypadku stracili samochód. Ot, zwykli turyści, którzy mieli pecha i zapuścili się w góry w niewłaściwym momencie.

W Loring pierwsze kroki skierowali nie na posterunek, ale do agencji wynajmu samochodów. Charlotte straciła torebkę, a w niej – wszystkie karty kredytowe, komórkę i prawo jazdy, ale on miał dokumenty i karty przy sobie, więc bez trudu wynajęli samochód.

Szczęśliwi, że mają jak wrócić do Seattle, udali się na posterunek policji.

Posterunek mieścił się w nowiutkim budynku w centrum miasteczka. Po przeciwnej stronie ulicy znajdowała się również nowa biblioteka. Okoliczne sklepy kusily bogactwem towarów, w kafejkach i knajpkach tłoczyli się studenci.

Kampus zajmował całą północną część miasteczka. Było to skupisko ładnych budynków z czerwonej cegły rozsianych w rzadkim lesie.

Z tego, co ustalił Max, uczelnia była jednym z dwóch głównych pracodawców w Loring. Drugi to miejscowa firma farmaceutyczna, Loring-Greenslade Biotech.

Walsh przyglądał mu się uważnie.

– Ta Louise Flint nie jest stąd, prawda? Bo nie przypominam sobie takiego zgłoszenia...

– Nie – odparł szybko. – Mieszkała w Seattle. Ale w dniu śmierci była w Loring.

– U Briggsa? – Walsh zmrużył oczy.

– On twierdzi, że nie – przyznał Max. – Ale możliwe, że sprawa Flint łączy się z napadem, do którego doszło tutaj, na kampusie, ponad dziesięć lat temu. Briggs prowadził tę sprawę.

– I co się stało? – zainteresował się Walsh.

Nagle nabrał czujności, zauważył Max. Może czuł, w jakim kierunku zmierza ta rozmowa.

– To był gwałt – poinformowała spokojnie Charlotte. – Którego ofiarą padła moja przyrodnia siostra. A ze sprawą nic się nie stało, bo dowody rzeczowe zapadły się pod ziemię.

Walsh zacisnął usta w wąską linię.

– Przykro mi to słyszeć. Nie było mnie tu w tamtym czasie.

– Wiemy. – Charlotte zmarszczyła brwi. – Twierdzi pan, że Briggsowie to preppersi?

– No wiecie, ludzie przekonani, że lada chwila nadejdzie wielka katastrofa albo kraj legnie w gruzach – wyjaśnił Walsh. – Gromadzą żarcie, amunicję i pewnie papier toaletowy.

– Wiem, kim są preppersi – odparła Charlotte. – Byłam tylko ciekawa, czy lokalna społeczność tak postrzega Briggsów.

Walsh westchnął.

– Proszę posłuchać, to dziwacy i ekscentrycy, tak, ale nie sprawiają kłopotów – w przeciwieństwie do ich syna, narkomana. Od kilku lat ciągle wraca na odwyk i potem znowu bierze.

– Widziałam w ich domu zdjęcie młodego chłopaka – przypomniała sobie Charlotte. – Domyślałam się, że to on. Wydawał się w porządku.

– Proszę mi uwierzyć, Nolan Briggs nie jest w porządku – zapewnił Walsh. – I mówię to w imieniu całego posterunku. Ilekroć zjawia się w Loring, ściąga na siebie kłopoty. Na szczęście rzadko tu bywa, przyjeżdża do rodziców, gdy brakuje mu pieniędzy. Ale wróćmy do Briggsa. Więc chcieliście z nim porozmawiać o tej starej sprawie?

– Tak – potwierdził Max. – I wydawało się, że chce o tym rozmawiać, zachowywał się, jakby klęska tamtego dochodzenia do dzisiaj ciążyła mu na sercu. Ale teraz sądzę, że po prostu chciał wiedzieć, ile wiemy. Kiedy do dotarło, że cały czas będziemy węszyć w sprawie śmierci Louise Flint i tamtej starej sprawie o gwałt, wpadł w panikę. I dlatego nas zaatakował.

Walsh głośno wypuścił powietrze z ust i opadł na oparcie fotela.

– I uważacie, że właśnie dlatego na początku był taki serdeczny i skory do pomocy, a potem wepchnął was do rzeki. Przed laty ktoś mu zapłacił za milczenie i zachachmęcenie pudła z materiałem dowodowym. O to chodzi?

– To, według nas, najbardziej prawdopodobny scenariusz – Max silił się na uprzejmość. – Możliwe także, że o śmierci Louise wie więcej, niż dał po sobie

poznać.

– Proszę nie zapominać, że Briggsowi nieźle odbiło – mruknął Walsh. – A wariaci czasem kierują się własną logiką. Na tym właściwie polega szaleństwo.

– Właściwie wariaci postępują według własnej logiki – poprawił Max.

Charlotte z całej siły zaciskała pięści. Pochyliła się.

– Proszę pana, pan chyba nie rozumie powagi sytuacji. Moja przyrodnia siostra zaginęła. Policjant, któremu, być może, zapłacono przed laty, żeby usunął dowody obciążające kogoś, kto ją zgwałcił, nie dalej jak wczoraj usiłował nas zamordować. A niejaka Louise Flint, tak się składa, najlepsza przyjaciółka mojej siostry, nie żyje, jakoby po przedawkowaniu narkotyków. Jedynym, co łączy te sprawy, jest to miasteczko. Loring.

Walsh powoli tracił cierpliwość.

– Porozmawiam z Briggsiem i jego żoną – obiecał. – Dopóki nie znajdziemy pańskiego samochodu i nie wyciągniemy go z rzeki, nic więcej nie mogę zrobić. A i tak niczego nie obiecuję. Woda zapewne zmyje większość dowodów.

Charlotte była wściekła, więc Max zainterweniował, zanim skoczyła Walshowi do gardła.

– Czy pracuje tu jeszcze ktoś z czasów, gdy Jocelyn Pruett złożyła doniesienie o gwałcie? – zapytał.

Walsh cały czas bacznie obserwował Charlotte. Teraz z trudem przeniósł wzrok na Maxa.

– Mieliliśmy sporą rotację, ale chyba Atkins już był. W tym roku ma przejść na emeryturę.

– Chcielibyśmy z nim porozmawiać – powiedział Max.

– Chwileczkę, przed chwilą szedł korytarzem. – Walsh wstał, pokonał ciasny gabinet, podszedł do drzwi. – Atkins? Chodź na chwilę. Odpowiesz nam na kilka pytań.

Potężny, czerwony na twarzy mężczyzna w średnim wieku, z resztkami jasnych włosów na głowie i piwnym brzuchem stanął w progu. Zmierzył Charlotte i Maxa baczным spojrzeniem.

– Charlotte Sawyer i Max Cutler – przedstawił Walsh. – Cutler to prywatny detektyw z Seattle. Prowadzi dochodzenie w sprawie podejrzanego zgonu.

Atkins mruknął coś pod nosem.

– O co chodzi? – dodał wyraźniej.

– Pracował tu pan nieco ponad dziesięć lat temu, gdy niejaka Jocelyn Pruett zgłosiła gwałt? – zapytał Max. – Być może zapamiętał pan tę sprawę, bo w którymś momencie zaginęły wszelkie dowody.

Atkins zmarszczył czoło.

– Tak, pamiętam. Zawsze mnie intrygowało, co się stało z tymi dowodami. Dochodzenie nigdy tak naprawdę nie ruszyło z miejsca, właśnie przez brak

dowodów.

– Dziwne, że tak dobrze pan to pamięta – zauważyła Charlotte.

– Byłem pierwszym funkcjonariuszem na miejscu zbrodni. To ja spisałem pierwsze zeznania. Widziałem, że ofiara była w szoku, ale uparła się, żeby natychmiast zabrać ją do szpitala i pobrać materiał dowodowy. Była bardzo konkretna. Bardzo zdeterminowana.

– Ofiara nazywa się Jocelyn Pruett – poprawiła Charlotte. – To moja przyrodnia siostra. Zniknęła bez śladu. A Egan Briggs wczoraj usiłował nas zamordować. Coś panu świta?

Atkins skrzywił się, zaskoczony ostrością jej głosu. Pytająco spojrzął na Walsha.

– O co tu chodzi, do cholery? – zapytał.

– Państwo sądzą, że Egan Briggs celowo zepchnął ich wóz do rzeki. Mieli szczęście, że przeżyli.

– A niech to. – Atkins pokręcił głową. – Czyli w plotkach jest trochę prawdy. Briggsowi już całkiem odbiło. Nie mieści mi się w głowie, że żona nadal z nim jest, po tylu latach. Pewnie też oszalała. A szkoda.

– Jak to? – Charlotte spojrziała na niego.

– W młodości Roxanne Briggs była bardzo ładna – wyjaśnił Atkins. – Ale zaraz po maturze zaszła w ciążę. Nigdy nie mogłem pojąć, czemu sypiała z Briggsem. Był dla niej za stary, a ona, ze swoim wyglądem, znalazłaby lepszego faceta. Ale, jak powiedziałem, zaszła w ciążę, a w tamtych czasach to było naprawdę małe miasteczko. Chyba uważała, że musi wyjść za ojca swojego dziecka. Dziwi mnie jednak, że z nim została. Zawsze sądziłem, że go rzuci i ucieknie do wielkiego miasta. Ale co to ma wspólnego z tą starą sprawą o gwałt?

– I to właśnie chcemy ustalić – odparł Max, uprzedzając Walsha.

– Czy niejaka Louise Flint rozmawiała z panem w ciągu minionych kilku dni? – wtrąciła się Charlotte.

– Nie. Nie znam żadnej Louise Flint – zapewnił Atkins. – I niewiele mogę pani powiedzieć o dochodzeniu w sprawie gwałtu na pani siostrze poza tym, że nikomu nie postawiono zarzutów.

– Moim zdaniem było tak – zaczęła Charlotte. – Ktoś postanowił ukręcić tej sprawie łeb i zapłacił co najmniej jednemu policjantowi, Briggsowi, za to, żeby tego dopilnował. A pan, Atkins? Czy pan też przyjmuje łapówki?

I pomyśleć, że to mnie zarzuca się brak umiejętności społecznych, podsumował Max. Przyszło mu na myśl, że widzi inną stronę Charlotte. Miała nie lada charakterek.

Atkins poczerwieniał.

– Pracuję na tym posterunku od dwudziestu lat i nie mam sobie nic do zarzucenia. Jakim prawem zadaje mi pani takie pytania?

– Pozwoliliście, by zaginęły dowody rzeczowe – odparła. – Ale pewnie jeszcze macie akta. Chciałabym je zobaczyć.

– Na nic nie pozwoliłem! – warknął Atkins. Z wysiłkiem nad sobą panował.
– A jeśli chodzi o akta, bardzo mi przykro, niestety, nic z tego.

– Mamy złożyć oficjalny wniosek, powołując się na Ustawę o swobodnym dostępie do informacji? – zapytał Max.

– I tak nic to nie da – prychnął Atkins. – W tamtych czasach wszystko spisywaliśmy na papierze. Kiedy kilka lat temu przyszła digitalizacja, okazało się, że część akt zaginęła.

– Niech zgadnę – mruknęła Charlotte. – Między innymi akta w sprawie mojej siostry, tak?

Atkins wyglądał, jakby lada chwila miał dostać apopleksji. Walsh łypnął na niego znacząco. Policjant wziął się w garść.

– Tak, to właśnie chcę powiedzieć. – Atkins pokręcił głową. – Przykro mi, ale nie mogę wam pomóc. Ale interesuje mnie, jakim cudem ta stara sprawa ma coś wspólnego z zaginięciem pani siostry. Przecież od tamtego gwałtu minęło już ile? Jedenaście, dwanaście lat.

– Gdybyśmy to wiedzieli, nie byłoby nas tutaj – mruknął Max. Wstał. – Nic więcej nie przychodzi panu do głowy?

– Może tylko taki drobiazg... – Atkins wykrzywił usta.

– Tak? – Charlotte uniosła głowę.

– Jak powiedziałem, byłem wtedy szeregowym funkcjonariuszem, sprawę prowadził Briggs. Ale od początku wydawało mi się, że sprawca jest miejscowy, może student albo ktoś z pracowników uczelni.

– Skąd ta pewność? – zainteresował się Max.

– Z zeznań Pruett wynikało, że napastnik dobrze znał topografię kampusu. Wiedział doskonale, gdzie się zacząć. Briggs kazał mi przesłuchać kilku studentów, którzy tamtej nocy mogli za nią iść z biblioteki. Spisywałem ich zeznania i nagle kazał mi dać sobie spokój. Powiedział, że źle zabezpieczono pobrany od ofiary materiał dowodowy i nie mamy nic, na czym można by oprzeć oskarżenie. A zaraz potem wszystkie dowody przepadły bez śladu.

– Ktoś mu zapłacił, żeby ukrył sprawę łeb? – zapytał Max.

Atkins pokręcił głową.

– Tego nie powiedziałem. Wiem jedynie, że rok później Briggs przeszedł na emeryturę. Twierdził, że odziedziczył przyjemną sumkę. Właśnie wtedy wyprowadzili się z żoną na odludzie i im odbiło. Oczywiście władze uczelni też na niego ostro naciskały, nie chcieli antyreklamy. Tylko tyle mogę wam powiedzieć. Wnioski wyciągajcie sami.

– To akurat dobrze nam wychodzi – zapewnił Max.

Rozdział 32

Max otworzył drzwiczki wynajętego samochodu. Charlotte wsiadła i zapięła pas bezpieczeństwa.

Max zajął miejsce za kierownicą.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, wpatrzeni w bryłę budynku, w którym mieścił się posterunek policji w Loring.

– Ciekawe, czy Louise Flint była u Briggsa – odezwał się w końcu Max.

– Cóż, wiemy, że tam nie zginęła. Umarła w swoim mieszkaniu w Seattle.

– Co nie znaczy, że nie ma związku. – Max odpalił silnik i wyprowadził wóz z parkingu. – Teraz wiem na pewno, że zginęła w związku z tym, co sprowadziło ją do Loring.

– Cholera.

– No właśnie. Zanim wrócimy do Seattle, musimy jeszcze o czymś pogadać.

– Tak?

– Biorąc pod uwagę wszystko, co się do tej pory wydarzyło, nie chcę, żebyś zostawała sama – oznajmił. – Dopóki nie ustalimy, co tu się właściwie dzieje.

– Uważasz, że potrzebuję ochrony.

– Tak.

– Ale mam pracę. Nie mogę się ukrywać.

– W Deszczowych Ogrodach będziesz bezpieczna. O ile widziałem, mają tam dobrą ochronę. Nieznajomym nie wolno ot, tak, wchodzić na teren ośrodka, recepcja zwraca na to uwagę. I macie niezły monitoring.

– Bezpieczeństwo to jeden z atutów Deszczowych Ogrodów – przyznała. – No i wszyscy tam wszystkich znają, a to dodatkowa zaleta. Może nie wiesz, że w domu też jestem bezpieczna. Jocelyn kazała mi zainstalować system alarmowy, gdy tylko sprowadziłam się do Seattle. W ciągu dnia na dole siedzi konsjerż, bez klucza nie wejdiesz do środka, w garażu i windach są kamery. Czego jeszcze mi trzeba?

– Nie wiem. Dlatego zostaniemy razem, dopóki to wszystko się nie wyjaśni. Wybieraj, u mnie albo u ciebie. Mnie jest wszystko jedno.

Spojrzała na niego badawczo.

– Mówisz poważnie?

– Im lepiej mnie poznasz, tym szybciej zrozumiesz, że właściwie zawsze mówię poważnie. Miedzy innymi dlatego taki ze mnie nudziarz.

– Rozumiem. – Uśmiechnęła się. – W takiej sytuacji dobrze mieć do czynienia z poważnym facetem. Dobra, niech będzie u mnie. Kanapa się rozkłada, mam też półlazienkę.

– Półlazienkę?

– Bez kabiny prysznicowej. Będziesz musiał kąpać się u mnie.

Pomyślał o zabezpieczeniach w jej apartamentowcu. A potem przypomniał sobie ciepłe kolory w jej mieszkanku i o tym, że będzie musiał kąpać się w jej łazience.

– Może być u ciebie – mruknął.

Rozdział 33

Trey Greenslade zaparkował starego, poobijanego pikapa za ciągiem pozamykanych domków. Wysiadł, pilnując, żeby samochód go zasłaniał, tak by nie widział go nikt z motelu. Drzwiczki od strony kierowcy zostawił otarte i stanął za nimi.

Tuż po tym, jak poznał wreszcie całą prawdę o przeszłości, kupił pikapa w komisie samochodowym. Wiedział już wtedy, że pewnie w którymś momencie będzie mu potrzebny samochód, który nie zwraca na siebie uwagi na górskich drogach.

Był świetnym planistą, strategiem i dlatego to on stanął za sterami firmy Loring-Greenslade.

Kiedy w dokumentach finansowych ojca wykrył tajemnicze wypłaty gotówkowe, które, regularnie jak w szwajcarskim zegarku, miały miejsce co kilka miesięcy od wielu lat – początkowo zakładał, że stary przez cały ten czas miał kochankę na boku. Rozbawiła go myśl, że dominujący, napuszony świętoszek w głębi duszy był pieprzonym hipokrytą.

Co prawda wieloletni romans to nie taka znowu straszna skaza na charakterze, ale w oczach mieszkańców Loring, którzy już dawno wystawili Gordonowi Greenslade'owi pomnik za życia, byłby to skandal nie lada.

Trey zastanawiał się wtedy, czy powiedzieć babci, co odkrył. Zabawnie byłoby obserwować wyraz jej twarzy, kiedy stara suka dowie się, że jej pierworodny przez lata miał utrzymankę. Ale w końcu doszedł do wniosku, że najpierw ustali tożsamość tajemniczej kochanki.

Dopiero kiedy przyjrzał się uważniej, dotarło do niego w pełni, co właściwie odkrył. To był szok, potężny jak górskie lawiny.

Wypłaty zaczęły się niecały miesiąc po tym, jak detektyw prowadzący ukręcił łeb sprawie Pruett. To nie mógł być zbieg okoliczności. Ojciec od lat opłacał się szantażystą, żeby trzymać podejrzenia z dala od niego.

A prawdziwa panika nadeszła, gdy zdał sobie sprawę, że nie wie, kim jest szantażysta. To mógł być niemal każdy mieszkaniec Loring albo dawny kolega ze studiów, ktoś, kto tamtej nocy coś widział. Dozorca albo wykładowca, który mógł potwierdzić, że tam wtedy był. A jeśli istnieją zdjęcia?

Tamtej nocy był bardzo ostrożny, ale Pruett była pierwsza. Wtedy jeszcze nie opanował szczegółów do perfekcji. Były pewne problemy. Idiotka się opierała. Podrapała go. Po wszystkim przez kilka dni musiał nosić ubrania z długim rękawem. Założył prezerwatywę, ale chcąc jak najszybciej uciec z miejsca przestępstwa, zgubił ją. A jeśli w okolicy była kamera przemysłowa, o której nie wiedział? Albo na parkingu, na którym zostawił samochód? Słyszał, że Pruett nalegała na obdukcję. Podobno w szpitalu zabezpieczono materiał biologiczny.

Wtedy, za pierwszym razem, dużo rzeczy poszło nie tak. Do dzisiaj robiło mu się zimno na myśl, jak mało wtedy brakowało. Ale kiedy go nawet nie przesłuchano, doszedł do wniosku, że mu się udało. Dopiero po pogrzebie ojca, kiedy zajął się jego dokumentami, kiedy zrozumiał, co oznaczały gotówkowe wypłaty, pojął, że wcale nie miał tak wiele szczęścia.

Kiedy panika ustąpiła, wziął się w garść i zaczął myśleć logicznie.

Właśnie wtedy doszedł do wniosku, że musi tylko cierpliwie czekać. Szantażysta przyzwyczał się do regularnych zastrzyków gotówki. Nie zrezygnuje z nich po śmierci starego.

I rzeczywiście, pierwsze żądanie pojawiło się niecały miesiąc po pogrzebie ojca. O zaawansowanych technologiach nie było tu mowy. To nie był tajemniczy esemes, ani e-mail, ani telefon. Po prostu na siedzeniu kierowcy w jego samochodzie czekała karteczka.

Instrukcje były proste i zrozumiałe. Wypełnił je co do joty i zostawił aktówkę pełną pieniędzy na górskim szlaku. A potem z oddali obserwował przez lornetkę, kto po nią przyjdzie.

Za pierwszym razem nic to nie dało. Był koniec lata, w górach kręciło się sporo turystów i wędrowców. Nie wiedział, kto zabrał aktówkę.

Ale miesiąc później przyszło kolejne żądanie. W górach zaczynała się jesień. Wędrowcy zniknęli. Kazano mu zostawić pieniądze pod mostkiem.

Znowu obserwował to miejsce z oddali i tym razem los się do niego uśmiechnął. Do mostka podjechał wóz terenowy z tablicą rejestracyjną zachlapaną błotem, a ze środka wysiadł Egan Briggs i podniósł aktówkę z pieniędzmi.

Przez pewien czas pozwalał mu sądzić, że nic mu nie grozi. W końcu szantażysta nie miał powodów podejrzewać, że zechce zakręcić kranik z pieniędzmi. Zresztą niełatwo byłoby pokonać Briggsa, nie dość, że byłego gliniarza, to jeszcze zapalonego myśliwego. Mówiono także, że mu odbija, że chyba już całkiem oszalał.

Trey pracował nad niezawodnym planem, ale akurat wtedy Louise Flint postanowiła skomplikować jego i tak niełatwe życie.

A teraz, w środku zamieszania w związku z członkiniami klubu inwesterek i poszukiwań Jocelyn Pruett, Briggs znowu zażądał pieniędzy. O wiele za wcześnie, ale obiecywał, że przekaże najważniejszy dowód.

Patrzył na wielki samochód terenowy przy domku numer sześć. Przez zaciemnione szyby trudno było zajrzeć do środka, ale o ile dobrze widział, miejsce kierowcy było puste. Niewyraźny zarys z tyłu wozu sugerował, że samochód jest pełen.

Musiło się stać coś poważnego, skoro Egan Briggs ucieka, pomyślał.

W oknie domku numer sześć drgnęła firanka.

– Jestem tu, Briggs. Mam kasę. Gdzie pudełko?

Tylne drzwi domku otworzyły się. Egan Briggs wyszedł na dwór. Z pistoletem w dłoni.

– Wiedziałem, że wiesz, komu płacił stary – mruknął.

– Tylko ty mogłeś ukręcić łeb sprawie Pruett – odparł Trey. – Ale dopiero niedawno się zorientowałem, że stary drań ciągle ci płacił.

– Nie lada szok, co? Ale to nie ciebie chronił.

– Wiem o tym doskonale. Zależało mu na reputacji rodziny i firmy. Zawsze tylko to go obchodziło.

– No właśnie. Gdyby wyszło na jaw, co wtedy zrobiłeś, staremu przeszłaby koło nosa jakaś tam superumowa, niewykluczone nawet, że cała firma ległaby w gruzach, a to dopiero rozwścieczyłoby twoją babkę. Wszyscy wiedzą, kto tak naprawdę rządzi Loring-Greenslade.

– W kółko mi to powtarza.

– Nie skończyło się na jednym razie, co? Pruett była pierwsza, ale nie ostatnia. Co pewien czas przypominałem o tym szanownemu papie.

– O tym też wiesz.

– Byłem kiedyś bardzo dobrym gliniarzem.

– Bardzo skorumpowanym gliniarzem. Gdzie materiał dowodowy?

Briggs wskazał domek za plecami.

– Tam.

– Domyślasz się, że muszę zobaczyć towar, zanim za niego zapłacę.

– Zobaczysz, kiedy odjadę. Wstaw walizkę do mojego wozu.

– Widzisz, Briggs, wolałbym, żeby mój pikap został między nami.

– Myślisz, że chcę cię zabić? – Briggs się zachnął.

– A nie taki był plan? Zgarniasz kasę i mnie rozwalasz?

– Po co? To ja zniknę. Już od dawna chodziło mi to po głowie. A kiedy się okazało, że ta cholerna Sawyer i ten detektyw z Seattle węższą w sprawie Pruett, uznałem, że czas się zwijać.

– Ja jednak wolę nie ryzykować. – Trey obstawał przy swoim. Podniósł prawą rękę, żeby Briggs zobaczył w niej pistolet. – Jak widzisz, nie ty jeden jesteś uzbrojony. Nie przepadałem za starym, ale muszę przyznać, że sporo się od niego nauczyłem. Na przykład jak kierować firmą. I jak strzelać.

Briggs splunął.

– No dobra, to jesteśmy w kropce. Możemy się trochę potargować. Wiesz co? Wystawię pudełko na ganek, a ty mi rzucisz aktówkę. Wsiadam do wozu i odjeżdżam. Tak może być?

– Dobra. Ty pierwszy. Chcę zobaczyć to pudełko.

Briggs zniknął w domku. Cały czas celował w Treya z pistoletu. Po chwili wyszedł, niosąc kartonowe pudełko z wyblakłym logo posterunku policji w Loring. Na wieczku napisano odręcznie: „materiał dowodowy” i ciąg cyfr.

Serce Treya zabiło mocniej. Wkrótce znowu odetchnął pełną pierśią.

– Tu masz swoje pudełko – mruknął Briggs. – Ale się zdziwisz, kiedy zobaczysz, co jest w środku. Mieliliśmy cię w garści, ty idioto. Tamtej nocy popełniłeś sporo błędów. Od razu wiedziałem, co mam w ręku. Zaraz następnego dnia zadzwoniłem do szanownego papy. Nie wahał się ani chwili. Z marszu zaproponował mi tyle, ile zarabiałem przez pół roku. A to był dopiero początek.

– Zamknij się i daj mi to pudełko.

Briggs kucnął, postawił pudełko na ziemi.

– Połóż aktówkę na masce – polecił.

– Działasz mi na nerwy, Briggs.

– Połóż aktówkę na masce, do jasnej cholery.

Trey położył aktówkę na masce i pchnął lekko. Przesunęła się odrobinę.

Briggs odsunął się od drzwi do domku. Szedł w stronę pikapa, cały czas celując w Treya.

Doszedł do wozu, chwycił rączkę aktówki i zaraz wycofał się do swojego samochodu. Szedł do drzwiczek od strony kierowcy.

Wóz terenowy stanowił osłonę. Briggs otworzył drzwiczki, wstawił walizkę do środka. Trey odczekał, aż ją otworzył i sprawdził zawartość.

– Zadowolony? – zapytał.

– Tak, wygląda w porządku. Robienie interesów z rodziną Greenslade to sama przyjemność.

Briggs wsiadł do wozu, odpalił silnik, nacisnął pedał gazu i odjechał zwirową drogą, wzbijając w powietrze drobne kamyczki.

Trey policzył do trzech i uznał, że wóz jest wystarczająco daleko. Wyjął pilota z kieszeni i nacisnął przycisk.

Bomba ukryta w aktówce pod gotówką wybuchła. Wielki samochód zatoczył się niebezpiecznie, wpadł na drzewo, wrócił na drogę i stanął w ogniu.

Zważywszy na niedawne deszcze i fakt, że stoi pośrodku błotnistej drogi, pożar lasu nam raczej nie grozi, zdecydował Trey.

Nabuzowany adrenaliną po tym, co zrobił, szedł powoli w stronę płonącego auta.

Wybuch wyrwał z zawiasów drzwi od strony kierowcy. Egan Briggs leżał na ziemi, zakrwawiony, ale jeszcze żywy – choć ledwo.

Uniósł powieki, żeby spojrzeć na Treya.

– Mówiłem twojemu ojcu, że nie zasługujesz na drugą szansę – wychrypiał z trudem. – Jesteś zły. Ale twierdził, że nie ma wyboru.

Briggs zamknął oczy. Umierał.

Trey strzelił mu w głowę, tak na wszelki wypadek, a potem rozrzucił wokół samochodu kilka małych plastikowych paczuszek. Kiedy policjanci w końcu wezmą się do roboty, dojdą do wniosku, że stuknięty Egan Briggs handlował

prochami i załatwiła go konkurencja.

Jedną z zalet dorastania w rodzinie, która stworzyła imperium farmaceutyczne, jest dostęp do różnych chemikaliów, stwierdził. Miał dwanaście lat, kiedy wyprodukował swój pierwszy narkotyk i sprzedał dzieciakom turystów.

Bardzo z siebie zadowolony, wrócił do samochodu. Pozbył się szantażysty i teraz mógł spokojnie zająć się poszukiwaniami Pruett. Latami powtarzał sobie, że nie będzie sprawiała mu problemów. Lubił myśleć, że jest gdzieś tam, przekonany, że myśli o nim codziennie. Ale nie sądził, że go szuka, dopiero niedawno zdał sobie z tego sprawę. To był szok. Była bardzo blisko. Czas się jej pozbyć.

Ale teraz najważniejsze jest pudełko z dowodami. Kiedy zniszczy jego zawartość, odetchnie z ulgą i pobawi się z Pruett.

Podszedł do ganku, pochylił się. Zawartość tego pudełka łączyła go z przeszłością. Kiedy to zniszczy, będzie wolny.

Zerwał taśmę i uniósł wieko.

W pierwszej chwili nie pojmował, na co patrzy. A potem zrozumiał. W środku były pożółkłe książki i stare gazety. Egan Briggs go oszukał.

Rozdział 34

Wrócili do Seattle po południu. Max pojechał prosto do siebie, żeby się spakować.

Jego telefon rozdzwonił się, ledwie wyłączył silnik. Spojrzał na wyświetlacz. Posterunek policji w Loring.

– Cutler – rzucił do telefonu.

– Tu Walsh. Pomyślałem, że zainteresuje pana fakt, iż służby drogowe przed chwilą natknęły się na ciało Egana Briggsa.

– Nie żyje?

– Dochodzenie trwa, ale wygląda na to, że uciekał. Niestety miał pecha i chyba wpakował się w nieudaną transakcję narkotykową. Ktoś go załatwił małą bombą. Na miejscu zbrodni zabezpieczono pieniądze i narkotyki. Briggs dostał też kulkę w głowę. Jak podczas egzekucji. Morderca chciał mieć pewność, że nie żyje.

– Myśli pan, że handlował narkotykami?

– Być może dzięki temu mógł sobie pozwolić na wcześniejszą emeryturę.

Charlotte słuchała uważnie.

– A Roxanne? – zapytała.

– Charlotte pyta o jego żonę – przekazał Max.

– Osobiście przekazałem jej smutne wieści – odparł Walsh. – Nie była jakoś szczególnie zaskoczona. Ani załamana. Właściwie miałem wrażenie, że spodziewała się takiej informacji.

– Innymi słowy, wiedziała, że Briggs ma się z kimś spotkać i że może się to źle skończyć.

– Owszem, ale wszystkiemu zaprzeczyła. Egan powiedział jej, że wybiera się do Wyoming albo Idaho.

– Coś z miejsca zbrodni?

– Niewiele – przyznał Walsh. – Godzinę po waszym wyjeździe zaczęło padać. Sam pan wie, co woda robi z dowodami.

– Tak.

– I jeszcze coś. Znaleźliśmy pański samochód na brzegu rzeki. Wyciągnęli go. Powodzenia w potyczkach z ubezpieczycielem. W środku była torebka pani Sawyer. Telefon pewnie tego nie przeżył, ale karty kredytowe owszem – nie musi ich blokować ani wyrabiać nowego prawa jazdy. Mam jej adres. Proszę przekazać, że jeszcze dzisiaj wszystko wysłemy, więc jutro powinna to odzyskać.

– Dzięki.

– Dam znać, jeśli trafię na coś, co powinien pan wiedzieć.

– Super.

Max rozłączył się i spojrział na Charlotte.

– Słyszałaś wszystko?

- Tak. Odnaleźli moją torebkę, a Briggs nie żyje.
- W tej chwili przyjęli teorię, że Briggs chciał dobić ostatniego narkotykowego targu, ale coś poszło nie tak.
- Cóż, logiczne, że chciał się zmyć, kiedy nie udało mu się nas pozbyć. Pewnie wiedział, że zaraz pójdziemy na policję i że się nim zainteresują. Potrzebował gotówki, więc wersja z narkotykami wydaje się sensowna.
- Może. Ale jeśli nie mylimy się co do jego przeszłości, miał jeszcze innego asa w rękawie.
- Charlotte zrozumiała, co miał na myśli.
- Dowody w sprawie Jocelyn?
- Jeśli Briggs wziął kasę, żeby dowody zniknęły, nie oznacza to, że je zniszczył. Być może je zachował, bo wiedział, że kiedyś będą dużo warte.
- Jocelyn oddałaby wszystko za to pudełko.
- Tak, ale ktoś inny zapłaciłby za to o wiele więcej.
- Charlotte zacisnęła usta.
- Gwałciciel.
- Właśnie.
- Jeśli Briggs chciał sprzedać dowody gwałcicielowi, oznacza to, że drań nadal jest w okolicy. Nie zaszły się gdzieś na drugim końcu kraju. Jest tutaj, w stanie Waszyngton.
- Póki nie dowiemy się czegoś więcej, nie możemy wyciągać pochopnych wniosków – zaznaczył Max. – Chociaż właściwie jest coś, łączy śmierć Briggsa z zabójstwem Louise Flint.
- Co?
- Narkotyki.
- Otworzył drzwi i wysiadł. Charlotte zrobiła to samo.
- Drzwi w domu po przeciwnej stronie ulicy otworzyły się i stanął w nich Anson. Szedł w ich stronę. Skłonił się Charlotte.
- Dzień dobry pani – zaczął.
- Max przypomniał sobie, jak go wychowano.
- Charlotte Sawyer – przedstawił. – Charlotte, Anson Salinas, mój ojciec.
- Bardzo mi miło, pani Sawyer – zapewnił Anson.
- Charlotte uśmiechnęła się, zachwycona staroświecką kurtuazją.
- Bardzo mi miło. Charlotte, proszę.
- Anson zachichotał.
- Super, ale nie jestem żaden pan.
- Umowa stoi.
- Anson spojrział na Maxa.
- Znalezli twój samochód?
- Tak. Pewnie do kasacji. Później się tym zajmę. W tej chwili nie mam

głowy do ubezpieczenia. Sprawa nabiera rumieńców.

– Jeśli chcesz, pojedę do Loring i się tym zajmę. Zdecyduj, co robić.

Max wchodził na werandę. Zatrzymał się, obejrzał za siebie.

– Dzięki. Super. Zadzwoń do Walsha i powiem mu, że przyjedziesz. Przy okazji weźmiesz rzeczy Charlotte, nie będzie musiał nadawać ich pocztą.

– Nie ma sprawy.

Max przyjrzał mu się uważnie. Anson promieniał. Bo wreszcie ma zajęcie, pomyślał.

– Dziękuję – odezwała się Charlotte.

Ona też promienieje, stwierdził. A Anson? Czyżby się zarumienił?

– I tak nie mam nic lepszego do roboty – mruknął. – Wszystko z wami w porządku?

– Tak. – Max otworzył drzwi. – Znaleźli ciało tego byłego policjanta, który zepchnął nas do rzeki. Wygląda na to, że chciał jeszcze zarobić na narkotykach, zanim zwinie manatki. I oberwał kulkę w głowę.

– Dragi? – Anson zmrużył oczy.

– Ciągle trafiamy na prochy.

Max otworzył drzwi, wyłączył alarm i odsunął się na bok. Pomyślał o wszystkim, co chciał zmienić w domu, i żołądek podszedł mu do gardła. W porównaniu z przytulnym mieszkankiem Charlotte jego dom był rudera.

– Kupiłem go okazji – zaczął, licząc, że nie zabrzmi to bardzo rozpaczliwie. – Czeka mnie jeszcze dużo pracy, ale nie miałem czasu się za to zabrać.

– Fajna okolica – zauważyła Charlotte. – To ważne.

– Tak.

Zaintrygowało go, czy dobra okolica znaczy to samo co: masz najbrzydszy dom na całej ulicy.

Minęła go i weszła do środka. Anson szedł za nią. Max zamknął drzwi. Razem z Ansonem patrzyli, jak Charlotte idzie przez krótki korytarzyk i rozgląda się po saloniku.

Zniknęła za rogiem w kuchni. Max wyobrażał sobie staroświeckie sprzęty i plamy na podłodze. Nie drgnął. Nie wiedział, na co czeka, ale liczył, że będzie wiedział, kiedy zareagować.

Anson zmarszczył czoło.

– Na pewno wszystko w porządku?

– Tak – zapewnił. – Na pewien czas zamieszkać z Charlotte, dopóki to wszystko się nie wyjaśni.

Anson uniósł brwi.

– Uważasz, że coś jej grozi?

– Sprawa się komplikuje, a ona jest w oku cyklonu.

Anson skinął głową.

Max w końcu puścił kławkę i wszedł do saloniku.

Charlotte wyszła z kuchni.

– Miałaś rację – stwierdziła z błyskiem w oku. – To była okazja, jak to się mówi, ten dom ma świetny kościec. Czeka cię sporo pracy, ale kiedy skończysz, będzie super.

Kątem oka Max dostrzegł uśmiezek na twarzy Ansona. Nie wiedział, czemu stary gliniarz się uśmiecha, ale nagle poczuł, jak z serca spada mu wielki ciężar.

– Spakuję się – mruknął.

Rozdział 35

Roxanne Briggs poszła do kuchni zaparzyć sobie herbaty.

Informacja o śmierci Egana nie powinna być szokiem, a jednak była. Mieszkała latami z facetem, którego nigdy nie kochałaś, bo łączyła was wspólne tajemnice, i jednak się do niego przyzwyczajasz, stwierdziła.

Mogła powiedzieć Walshowi, że Egan pojechał na spotkanie z Treyem Greensladem, żeby wymusić okup po raz ostatni, i że to zapewne Trey go zabił, ale kto by jej uwierzył? Nie miała żadnych dowodów, a chodziło, jakby nie było, o Treya Greenslade'a, dziedzica firmy Loring-Greenslade.

O wiele łatwiej było pozwolić policjantom myśleć, że Egan padł ofiarą nieudanej transakcji narkotykowej.

Z zaparzoną herbatą usiadła przy stole i zaczęła się zastanawiać, czy powinna się bać. Trey Greenslade może dojść od wniosku, że znała tajemnicę Egana. Może zdecydować, że jej też lepiej się pozbyć.

Powinna uciekać.

Odstawiła kubek, wstała, poszła do sypialni, żeby się pakować. Przechodząc koło kominka, zdjęła z gzymsu oprawione fotografie Nolana. To jedyna wartościowa rzecz, którą chciała stąd zabrać.

Niedługo później zapakowała do pikapa dwie walizki. Wsunęła pistolet pod przednie siedzenie, usiadła za kierownicą. Jechała długim żwirowanym podjazdem, przejechała mostek, skręciła na szosę.

Nie obejrzała się ani razu.

Egan niewiele jej dał przez te wszystkie lata. Początkowo była pewna bliskość, lubił się z nią kochać, ale to nie trwało długo. Nigdy nie okazywał jej czułości. Nie traktował po partnersku. A jednak coś jej dał.

Dzięki niemu wiedziała, jak zapaść się pod ziemię.

Rozdział 36

W drodze do Loring Anson miał dość czasu, by sobie wszystko przemyśleć, a najwięcej uwagi poświęcił Charlotte Sawyer. Kiedy nie myślał o niej, skupiał się na Maksie, Cabocie i Jacku. I przeszłości.

Był cholernie dumny z trzech mężczyzn, których wychował. Wszyscy trzej w taki czy inny sposób poszli w jego ślady i związali się zawodowo z prawem. Każdy na swój sposób, fakt – Max został profilerem, a teraz stawiał pierwsze kroki jako prywatny detektyw, Cabot był szeryfem w małym miasteczku w Oregonie, a Jack wybrał drogę akademicką. Wykładał psychologię kryminalną. Napisał nawet książkę na ten temat – *Wykręcone wizje*.

Ale Anson wiedział, że wszyscy trzej nosili blizny po dzieciństwie w komunie Quintona Zane'a, po pożarze, w którym stracili matki. To nie przypadek, że wszyscy trzej do dzisiaj tropią przestępców. Przeszłość ich nęka i zarazem uskrzydla, dodaje sił, by byli najlepsi w tym, co robią.

Ale duchy przeszłości kładły się cieniem także na ich związkach osobistych.

Robił, co w jego mocy, by pomóc im się uporać z koszmarami sprzed lat. Ale nie zdołał dać im odpowiedzi, których tak rozpaczliwie szukali. Wiedział doskonale, że każdy musiał znaleźć własną drogę, by rozprawić się z upiorem Quintona Zane'a.

Anson wrócił myślami do Charlotte. Coś mu mówiło, że to właśnie ta kobieta, która zaakceptuje Maxa w pełni, łącznie z tym, że on sam nie potrafi zapomnieć o przeszłości.

Rozdział 37

Charlotte obudziła się zdyszana, przerażona snem, w którym starała się rozpaczliwie odnaleźć Jocelyn, którą porywa rzeka.

Cóż, nietrudno się domyślić, skąd ta wizja, pomyślała.

Usiadła gwałtownie. Przez odsłonięte okno pokój zalewało światło księżyca i miejska luna.

Odrzuciła kołdrę, żeby przejść do saloniku i wyrzucić z siebie złą energię, chodząc po pokoju. Ale po dwóch krokach przypomniała sobie o gościu.

Zatrzymała się w pół kroku i nasłuchiwała czujnie. Z saloniku nie dobiegał najmniejszy odgłos. Max pewnie śpi. Potrzebował odpoczynku. Nie powinna go budzić.

Z drugiej strony, sypialnia była za mała, musiała się poruszać. Na razie nie zaśnie, to pewne.

Z obawą wpatrywała się w drzwi. W półmroku sypialni wydawały się pancerne, nieprzeniknione, jak mur oddzielający ją od przestrzeni saloniku.

Zdawała sobie sprawę, że to idiotyczne, ale czuła, że jeśli stąd nie wyjdzie, dopadnie ją atak paniki.

Korytarzyk między sypialnią a salonikiem to rozsądny kompromis, stwierdziła. Może tam pospacerować i uspokoić skołatane nerwy.

Otworzyła drzwi, wyszła boso na korytarz. Stała, nasłuchiwała. Nadal cisza.

Cichutko wędrowała krótkim korytarzem, koncentrowała się na ćwiczeniach oddechowych, tak jak na zajęciach z medytacji. I stopniowo wspomnienie sennego koszmaru zniknęło. Tętno wracało do normy.

Rozważała, czy nie iść do kuchni po szklanek wody, gdy usłyszała zgrzyt sprężyn. I szmer w saloniku.

Zastanawiała się, czy nie uciec do sypialni, ale wytłumaczyła sobie, że to i tak bez sensu. Max nie śpi.

Stał w progu saloniku.

– Senne koszmary czy bezsenność? – zapytał.

Jego niski głos, szorstki od snu, z ciemną, zmysłową nutą, sprawił, że nie mogła zaczerpnąć tchu.

Przeszył ją dreszcz podniecenia.

Miał na sobie czarną koszulkę. Jak widziała, zadał sobie trud i wciągnął spodnie. Stąd ten szmer, pomyślała. Nagle zdała sobie sprawę, że sama jest boso. W szlafroku.

– Przepraszam – mruknęła. Zaskoczyła ją chryпка we własnym głosie. – Nie chciałam cię obudzić.

– Nie ma sprawy. Mam płytki sen.

- No tak. – Odchrząknęła.
- Nie odpowiedziałas na moje pytanie. Złe sny czy bezsenność?
- I jedno, i drugie.

Skrzyżował ręce na piersi i oparł się o framugę.

- Wiem, co masz na myśli. Znam to z autopsji.

– Oboje musimy się przespać – stwierdziła. – Zeszłej nocy prawie nie zmrużyliśmy oka. Może spróbujemy alkoholu. Albo gorącego mleka.

- Jedno i drugie brzmi kusząco.
- Brandy jest szybsza. Mam w kuchni.
- Dobrze.

Drzwi do kuchni były tuż obok tych do saloniku, a tam stał Max, skryty w cieniu. Szła w jego stronę. Nie ruszył się, ale wpatrywał się w nią tak intensywnie, że poczuła, jak jej zmysły budzą się do życia. Nie przypominała sobie, kiedy była aż tak świadoma bliskości mężczyzny. Było w tym coś pierwotnego.

Powtarzała sobie, że musi zachować spokój i pamiętać, że chemia między nimi – o ile w ogóle istnieje – to efekt okoliczności, wspólnych przeżyć. Przecież właściwie w ogóle się nie znają. Ich związek opiera się na chwiejnych fundamentach.

Związek?

Nie najlepsze słowo, żeby określać ich znajomość. Może lepiej mówić o partnerstwie. I to krótkotrwałym. O wspólnocie interesów.

A gdyby akurat teraz, w ciemnym mieszkaniu, stojąc od niego o kilkadziesiąt centymetrów, chciała jakoś uściślić tę definicję, na pewno skończyłoby się to atakiem paniki.

Doszła do drzwi kuchni i zatrzymała się. Max był na wyciągnięcie ręki, mogłaby go dotknąć, więc na wszelki wypadek splotła ręce na piersi.

- Mogę zadać ci osobiste pytanie? – zaczęła.

– Jak bardzo osobiste?

– Miewasz problemy z klientkami?

– Podczas sześciu miesięcy pracy na własny rachunek okazało się, że mam problemy z klientami płci obojga. To część tej pracy. O co ci konkretnie chodzi?

– Że twoja praca oznacza specyficzną bliskość.

– Bliskość – powtórzył, jakby nie bardzo wiedział, co miała na myśli.

– Że klientki zwierają ci się z najskrytszych sekretów. Chcą, żebyś odpowiedział im na pytania, które boją się zadać.

– To nie jest taka bliskość, jaka łączy cię z lekarzem czy prawnikiem.

– Chyba nie – przyznała. – Ale zapewne miałeś do czynienia z kobietami bardzo poruszonymi, rozchwiejanymi emocjonalnie. Pewnie zdarzały się klientki wściekłe, przerażone, zdesperowane. Postrzegają cię jako tego, który rozwiąże ich problemy. I wydaje im się, że darzą cię uczuciem.

– Słuchaj, stawiam dopiero pierwsze kroki w tej branży, nie zapominaj o tym. Dopóki kilka miesięcy temu nie założyłem własnej firmy, pracowałem w agencji, której klientami były posterunki policji i agencje rządowe, a nie osoby prywatne.

– No tak. Tak się tylko zastanawiałam.

– Oczywiście przeprowadzałem rozmowy z ludźmi – z ofiarami i podejrzanymi, ze świadkami. I czasami było ciężko. Bardzo ciężko. Ale zazwyczaj kto inny mierzył się z emocjonalnym kosztem sprawy. Ja miałem tylko dostrzec wzorzec i odgadnąć, co zrobi przestępca.

– Rozumiem.

– Mogę zapytać, do czego zmierzamy?

Czuła, że się rumieni.

– Sama nie wiem. Przepraszam. – Przestań przeproszać, idiotko. – Nerwowa paplanina. To вина koszmarów i bezsenności, idę po brandy.

Uciekła do kuchni i otworzyła szafkę w poszukiwaniu butelki alkoholu. Nie tyle słyszała, co czuła, że Max stał za nią.

– Byłaś ciekawa, czy spałem z klientką? – zapytał.

– Nie, nie, skądże, to nie tak. – Przeżona odkręciła butelkę. – To nie moja sprawa. Nie śmiałabym pytać o coś tak osobistego.

– Nie.

Znieruchomiała.

– Nie?

– Nie, nigdy nie spałem z klientką.

Odetchnęła głęboko.

– Oczywiście, że nie. Wcale tak nie myślałam. Chodziło mi, mówiąc ogólnie, o zaangażowanie emocjonalne. No wiesz, jak sobie radzisz z poruszoną kobietą, która wyładowuje na tobie gniew, gdy słyszy coś, co się jej nie podoba. O to.

– Zdarza się. I dlatego zawsze najpierw ustalam granice i zasady. Ale pracuję też dla firm. A tam jest mało emocji, ale dzięki temu mam z czego żyć.

– Rozumiem. – Czemu w ogóle zaczęła tę idiotyczną rozmowę? Drżącą ręką nalewała brandy. – Zapomnij, że o to pytałam. Zwykła ciekawość.

– A może na myśl, że w twoim saloniku śpi obcy facet, dostałaś ataku paniki? – domyślił się ochryple. – Przykro mi.

– Nie. – Gwałtownie odstawiała butelkę i upiła spory łyk. Alkohol palił w gardle, aż zaniósł się kaszlem i dopiero po chwili wykrztusiła: – Nie jesteś obcy.

– A ty nie jesteś moją klientką. – Wszedł do kuchni i zatrzymał się w pół kroku. – Pomagasz mi w zamian za moje usługi. Jako detektywa.

Spojrzała na niego.

– Co to właściwie znaczy?

– Nie wiem, jak ty, ale moim zdaniem zwykle zasady w tej sprawie nie obowiązują.

Podawała mu szklaneczkę z brandy. Upił łyk.

– No więc? – naciskała.

Odstawił szklanekę. Jego oczy płonęły w mroku.

– Więc ustalamy te zasady w trakcie gry.

Upiła kolejny łyk, dla kurażu, i powoli, dumna ze swego opanowania, odstawiła szklaneczkę.

– Dobrze – mruknęła.

Podszedł bliżej, zatrzymał się kilka centymetrów od niej. Nie odrywał od niej wzroku.

– Więc jakie? – zapytał.

– Jakie co?

– Jakie są zasady, o których mi nie powiedziałaś?

I nagle stała na skraju przepaści. Powinna sobie dokładnie wszystko przemyśleć, zanim skoczy. Pieprzyć myślenie. Długo myślała, zanim zgodziła się wyjść za Briana Conroya, i co jej z tego przyszło?

– Nie ma – odparła. – Żadnych. – Nie dziś w każdym razie.

Odstawił szklanekę na blat.

– Chcę wiedzieć, co się tu właściwie dzieje.

– Szczerze? Nie mam zielonego pojęcia.

– Pragniesz mnie?

Głęboko zaczerpnęła tchu.

– Tyle, jeśli chodzi o finezję.

Unosił jej podbródek.

– Finezja nie jest moją mocną stroną. Muszę mieć pewność. Tak albo nie.

Spadała, gotowa rozpostrzeć skrzydła... o ile je posiada.

– Tak – szepnęła. – Jeśli ty też mnie pragniesz.

Uśmiechnął się powoli, leniwie, aż zaparło jej dech w piersi. Mogłaby przysiąc, że ogień w jego oczach przybrał na sile.

– A to ważne? – zapytał.

– Inaczej skończy się katastrofą.

– Dobrze wiedzieć. – Wyjął jej szklanekę z dłoni, odstawił na blat. A potem ujął jej twarz w dłonie. – Żeby wszystko było jasne: ja też cię pragnę.

– Na pewno?

– Na pewno.

Pochylił się, przycisnął ją powoli, nieustępliwie do blatu. Pocałunek zaczął się leniwie, ospale, wędrował ustami po jej wargach, kusił, zapraszał. Albo badał teren. Albo ją uwodził.

Nie musiał. Drżała z oczekiwania, upojona w równym stopniu stuprocentową

pewnością i świadomością szaleństwa. Wiedziała, jakie jest ryzyko, i wiedziała, że warto zagrać. Do cholery, wczoraj ktoś chciał ją zabić. Mało brakowało, a zginęłaby uwięziona w samochodzie w wartkim nurcie rzeki. Albo umarła z wyziębienia podczas górskiej burzy. A do tego pomagał jej prawdziwy prywatny detektyw, i to były profiler, ni mniej, ni więcej. Razem szukali jej zaginionej siostry.

W porównaniu z tym wszystkim seks z facetem, który dzieli z nią niebezpieczeństwo, to naprawdę małe piwo. Dzisiaj zrobi to, czego pragnie, a jutro pomyśli co dalej.

Decyzja przyniosła wolność, cudowną wolność, i to w o wiele większym zakresie, niż się spodziewała. Po raz pierwszy nie analizowała wszystkiego logicznie, nie szukała bezpiecznego rozwiązania. Po raz pierwszy miała w nosie, czym ryzykuje.

Chwyciła go za ramiona. Były jak cały on, twarde, muskularne, pełne ognia. I zrozumiała, że uwalniając siebie, wyswobodziła też jego.

Uderzył piorun. Leniwy pocałunek przerodził się w burzę. Max objął ją i podniósł, posadził na kontuarze. Poły jej szlafroka rozchyliły się. Rozsunął jej kolana. Oplotła go nogami, zarzuciła mu ręce na szyję.

Jęknął, wziął ją na ręce i ruszył w kierunku sypialni. Przywarła do niego, zaciskała uda, jakby był dzikim wierzchowcem, którego chciała ujeździć.

Wyczuwała jego skupienie, gdy niósł ją korytarzem, i wiedziała, że przeszedłby na koniec świata, byle dotrzeć do celu. Podobała jej się ta myśl. I to bardzo.

Osunęli się na skotłowaną pościel. Charlotte była na górze. Zsunęła szlafrok z ramion, wyzwoliła ręce, odrzuciła na bok. Po chwili to samo zrobiła z koszulą nocną.

Odnalazł dłońmi jej piersi.

– Charlotte – powiedział.

Jej imię było ochryplym szeptem w ciemności.

Mocowała się z jego koszulką, potem zabrała się za suwak w dżinsach. Był podniecony, czuła to przez materiał spodni.

Nie radziła sobie z suwakiem. Mocowała się z nim przez chwilę.

Max głośno wciągnął powietrze i odepchnął jej dłoń.

– Ja to zrobię – szepnął.

Zsunęła się na bok, żeby mógł pozbyć się spodni. Wstał, zdjął je, ściągnął też bokserki. Ułożył się koło niej i przyciągnął do siebie. Zsunął dłoń na jej udo. Dotknęła go. Jego plecy były mokre od potu.

Odnalazł palcami jej rozpalone wnętrze i oddała się czystej, pierwotnej rozkoszy jego dotyku. Napięcie przeszywało dolną część jej ciała. Ze zdumieniem stwierdziła, że jest o krok od orgazmu, a nawet nie włączyła wibratora.

– Teraz – jęknęła. Zaciśnęła palce na jego włosach. – Teraz, Max.

Ułożył się między jej nogami. Uniosła kolana i przyjęła go w siebie. Wchodził powoli, głęboko. Jeszcze nigdy nie czuła się tak pełna. Wbijał się w nią raz za razem.

Orgazm zalał ją potężną falą. Chciała krzyczeć z rozkoszy, ale brakowało jej tchu, więc tylko wbiła paznokcie w jego barki i trzymała się go rozpaczliwie.

Żywioł jej rozkoszy pociągnął go za sobą. Mięśnie na jego plecach były napięte jak postronki. Ociekał potem.

Rozszalała się burza.

Kiedy było po wszystkim, osunął się na nią, przyciskając ją swoim ciężarem. Objęła go i nasłuchiwała, jak jego oddech powoli wraca do normy.

Po chwili podniósł się i ułożył koło niej.

– Charlotte – powiedział tylko.

– Cicho. – Wsparła się na łokciu i dotknęła palcami jego ust. – Nie mów nic, bo wszystko zepsujesz.

– Nawet informacja o końcu świata mi tego nie zepsuje. – Obserwował ją spod półprzymkniętych powiek. – Mogę zapytać, czy tobie też było dobrze?

Uśmiechnęła się lekko.

– Bardzo, bardzo dobrze. Po raz pierwszy skończyłam bez pomocy pewnego małego gadżetu.

– Hm. Używasz wibratora?

– Mam go w szufladzie przy łóżku. A co?

– Nic – mruknął. – Tak pytam.

Zastanawiała się, czy mu powiedzieć, że mina niewiniątka kiepsko mu wychodzi.

– Maksie Cutlerze, czemu interesuje cię mój wibrator?

– No wiesz, jacy są faceci. Lubimy się bawić zabawkami.

Przesunęła palcem po jego piersi.

– Niepotrzebny ci gadżet.

– Co nie znaczy, że nie wymyślę, jak go wykorzystać – mruknął.

– Zobaczymy.

Rozdział 38

Obudziło go monotonne bębnienie deszczu o szyby i cudowny zapach świeżo parzonej kawy. Usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio czuł się tak dobrze. Właściwie sam nie wiedział, jak opisać swój nastrój. Był rześki. Odprężony. Pełen energii. Czuł się dobrze. Tak po prostu. Dobrze. I to mu się podobało. I to bardzo.

Powróciły wspomnienia minionej nocy. Na myśl o wibratorze uśmiechnął się do siebie. Niestety, w łóżku był sam. Z drugiej strony, Charlotte i kawa były niedaleko.

Odrzucił kołdrę, usiadł na skraju łóżka i sięgnął po spodnie. W nocy zrobili z Charlotte spore postępy w kwestii ich związku. Ale chyba jeszcze za wcześnie, żeby nago paradował po kuchni.

Wstał, ostrożnie podciągał suwak. Nadal był lekko nabrzmiały.

Zadowolony, że wygląda w miarę przyzwoicie, przeczesał włosy palcami i ruszył korytarzem.

Charlotte była w kuchni. Chyba przed chwilą wyszła spod prysznica. Niedbale zebrała włosy w kok. Miała na sobie czarne dżinsy i niebieską koszulkę i jakimś cudem wyglądała zarazem seksownie i niewinnie.

I nie udaje, pomyślał. To cała ona. Była w niej prostota, którą niektórzy błędnie brali za naiwność i wrażliwość.

Nic dziwnego, że przyrodnia siostra za wszelką cenę chciała ją chronić. Może Jocelyn Pruett nie potrafiła zrozumieć, że trzeba nie lada siły charakteru, żeby uparcie pielęgnować w sobie optymizm, dobroć i, tak, właśnie prostotę, zwłaszcza wobec wszechobecnych dowodów powszechności zła w świecie.

Charlotte uśmiechnęła się.

– Nie śpisz już. Chcesz wziąć prysznic przed śniadaniem?

Potał twarz i skrzywił się, czując pod palcami szorstki zarost.

– Chyba tak. – Patrzył, jak otwiera lodówkę. – Domyślam się, że jesteś rannym ptaszkiem.

– Zdecydowanie. – Wyjęła z lodówki karton jajek i postawiła na kontuarze. – A ty?

– Chyba tak.

– Chyba? Nie wiesz na pewno?

Stał w progu i napawał się widokiem Charlotte, gdy krząta się po kuchni.

– Zazwyczaj dostosowuję się do wymogów sytuacji. Czasami zarywam noce.

Skinęła głową.

– Z twoją misją trzeba być elastycznym.

Uśmiechnął się.

Posłała mu podejrzliwe spojrzenie.

- Co takiego powiedziałam?
- Moja praca to moja praca. I tyle.
- To coś więcej.

Zamyślił się.

- Fakt, to coś, co muszę robić.
- Czyli powołanie – urwała. – Tak, właśnie tak, powołanie.

Zachichotał.

- Pierwszy raz ktoś nazwał naszą branżę powołaniem.

Wzruszyła ramionami.

- Ale tak właśnie jest. Idź pod prysznic.
- Tak jest.

Poszedł do saloniku, wziął torbę z rzeczami i ruszył do łazienki.

– Masz pomysł, co dalej w poszukiwaniu Jocelyn? – zapytała Charlotte, gdy przechodził koło kuchni.

- Nie, ale po kąpielii będę miał plan.
- Czyli jesteś jednym z tych, którzy w łazience myślą logicznie.
- Nie, jestem jednym z tych, którzy myślą logicznie po świetnym seksie.

Łypnęła na niego groźnie i z przesadną siłą uderzyła jajkiem o skraj miseczki.

Z uśmiechem na ustach szedł do łazienki. Drażnił się z nią, ale tylko troszeczkę. Bo tak naprawdę myślało mu się jaśniej, gdy był z nią, gdy z nią rozmawiał.

Nieco później siedzieli razem w kuchni. Charlotte postawiła przed nim talerz z parującą jajecznicą, kielbaskami i grzankami. Max podejrzliwie przyglądał się kielbaskom.

- Co to jest? – zapytał.
- Kielbaski z tempeh – odparła. – Sama je zrobiłam.
- Z tempeh.
- Tak jest.
- Tempeh, jak się domyślam, niewiele ma wspólnego z mięsem.
- To sfermentowana soja.
- Hm.

– Niech zgadnę: prawdziwy detektyw nie jada tofu ani tempeh – stwierdziła.

– Nie mam pojęcia, co jada prawdziwy detektyw. Ja stawiam pierwsze kroki w tej branży. Ale zaryzykuję z tą podrabianą kielbasą.

– Świetna decyzja, zważywszy że nic innego nie ma w domu. – Nabrała na widelec trochę jajecznicy. – Jak tam planowanie pod prysznicem?

- Poszłoby lepiej, gdybyś mi towarzyszyła.
- Nie sądzę.

Podejrzliwie wbił zęby w pseudokielbaskę i stwierdził, że wcale nie jest taka

zła. Nie mięso, ale zjadliwe. Dobrze, że nałożyła mu mnóstwo jajecznicy i grzanki. Jakoś przeżyje.

– Doszedłem do wniosku, że najwyższy czas pogadać z przyjaciółkami Jocelyn – mruknął. – Z członkiniami klubu inwesterek.

Przemyślała to.

– Dobrze. Poproszę o kilka dni wolnego i będę ci towarzyszyć. Ale pewnie nie dowiemy się od nich niczego ciekawego. Ich zdaniem Louise umarła z przedawkowania, a Jocelyn zaszyła się na Karaibach.

– Dzieją się różne rzeczy. Warto zobaczyć, czy to jakoś wpłynęło na ich zachowanie.

Charlotte znieruchomiała z widelcem w połowie drogi do ust.

– Powinniśmy zacząć od Madison Benson. To ona założyła klub.

– Co o niej wiesz?

– Niewiele. Jest właścicielką firmy inwestycyjnej. Odnosi spore sukcesy. Wspiera finansowo schronisko dla maltretowanych kobiet, w którym pracowała Louise, udziela się podczas akcji charytatywnych na jego rzecz. Pozostałe członkinie klubu wywodzą się właśnie spośród darczyńców na rzecz schroniska.

– Czyli wszystkie łączy schronisko.

– No tak. Ale Louise i Jocelyn łączyła specyficzna więź, nie tylko dlatego, że obu zależało na finansowym wsparciu schroniska, ale też dlatego, że w przeszłości obie doświadczyły przemocy. Rozumiały się bez słów. Tworzyły, jak to określały, grupę wsparcia dla ocalałych.

– Co wiesz o pozostałych członkiniach?

– Victoria Mathis zajmuje się marketingiem w firmie produkującej stroje sportowe. Wydaje się w porządku, ale nie znam jej za dobrze. Emily Kelly pracuje w HR. W firmie z branży ITI, w sumie tylko tyle o niej wiem.

Max analizował to wszystko i żuł kielbaskę z tempeh.

– Dlaczego akurat klub inwesterek? – zapytał.

Charlotte sięgała po kawę. Spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Dlaczego? – powtórzyła. – Przecież połączyła je Madison Benson, a Madison specjalizuje się właśnie w planach finansowych i inwestycjach.

– Ale mówiłaś, że nigdy nie zarobiły specjalnie dużo.

– No nie, nie trafiły na kurę znoszącą złote jajka. Chyba początkowo był to pretekst, po prostu chciały się spotykać na plotki. Ale jakiś czas temu Jocelyn wspomniała, że jeden ze start-upów, w który zainwestowały, chyba okaże się strzałem w dziesiątkę. Jeśli firmę przejmie gigant z branży, klub zarobi majątek.

– Poza Louise.

Westchnęła.

– Poza Louise.

– Co będzie z jej udziałem?

– Hm. – Charlotte się zamyśliła. – O ile wiem, kiedy jedna z uczestniczek się wycofuje, jej udziały trafiają do wspólnej puli.

– A jeśli umrze?

Patrzyła na niego niespokojnie.

– Pewnie to samo. Udziały dzieli się po równo między pozostałe członkinie klubu. Jocelyn wspomniała coś, że nie chciały mieć kłopotów potencjalnymi spadkobiercami, którzy mogliby zawracać im głowę żądaniem albo sprzedać akcje w niewłaściwym momencie. To miał być bardzo ekskluzywny klub inwestorski.

– A więc teraz, jeśli zarobią majątek, do podziału jest o jedną mniej.

– Cholera. – Charlotte odłożyła widelec. – Ale jeśli chodzi o pieniądze, co Louise robiła w Loring?

– Oboje wiemy, że na to pytanie jest tylko jedna odpowiedź. Chodziło o gwałt na Jocelyn.

– Zatem jej śmierć wiąże się z przeszłością, a nie z klubem inwestorskim i potencjalnymi zyskami – zauważyła Charlotte.

– Z mojego doświadczenia wynika, że pieniądze to zawsze mocny motyw.

– No dobra, ty tu jesteś ekspertem. Co robimy?

– Kiedy w grę wchodzi dynamika grupy, lepiej nie zaczynać od góry. Przywódca ma najwięcej do stracenia, stara się wywierać nacisk na osoby stojące niżej w hierarchii. Najpierw pogadamy z Victorią Mathis i Emily Kelly, a potem dojdziemy do Madison Benson.

– A o co konkretnie zapytamy Emily i Victorię?

– Będę wiedział, kiedy zaczniemy z nimi rozmawiać.

Charlotte uniosła brew.

– Tak pracujesz?

– To się nazywa szukanie po omacku.

Chciała odpowiedzieć, ale rozdzwonił się jej telefon. Zaskoczona, poderwała się z miejsca i sięgnęła po aparat.

– Ochroniarz – mruknęła.

Rozumiał jej rozczarowanie. Miała nadzieję, że to Jocelyn.

– Dzień dobry, Phil – zaczęła. – Gość? Nie, nikogo nie oczekuję. Na pewno nie kurier? – Chwila milczenia. – Och. Tak. Rozumiem. No cóż, skoro już tu jest, tak, wpuść go. Dziękuję.

Rozłączyła się i odłożyła telefon.

– Przepraszam – mruknęła. – To mój eks. Przekonał odźwiernego, że to bardzo ważna sprawa.

– Ciekawe.

Łypnęła na niego spod oka.

– Dlaczego?

– Myślisz, że to zbieg okoliczności, że akurat teraz wraca do twojego życia?

– Jezu. Naprawdę wszędzie wietrzyć podstęp, co? Tak, myślę, że to naprawdę tylko zbieg okoliczności. Dzwonił niedawno i marudził, że kobieta, dla której mnie zostawił, zmieniła zdanie i jednak nie odejdzie od męża. Zerwała z Brianem. Szuka kogoś, komu może się wypłakać.

– I od razu pomyślał o tobie.

– Tak jest. – Charlotte uśmiechnęła się anielsko. – A kiedy Phil powiedział, że Brian jest na dole, pomyślałam, że to idealna okazja, żeby mu udowodnić, że doszłam do siebie. Przykro mi, współniku, ale chcę cię wykorzystać.

Nabrał jajecznicy na widelec.

– Żyję, by służyć.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Charlotte znikła w małym holu.

– Cześć, Brian. Wejdz, proszę.

Max uśmiechnął się, słysząc jej energiczny, rzeński głos.

– Tak się cieszę, że cię widzę, skarbie. Bardzo za tobą tęskniłem.

Brian Conroy miał ciepły, szczery, troskliwy głos, nawet z nutką pokory. Ton faceta, który wie, że spieprzył, i zarazem wie, że uda mu się ponownie wkraść w łaski odrzuconej kobiety.

– Właśnie jemy śniadanie – powiedziała Charlotte. – Napijesz się kawy?

Coraz bardziej radosna, pomyślał Max. Jeszcze chwila i zacznie śpiewać z radości. Musiała się nacieszyć zemstą.

– Ktoś tu jest? – Brian się wyraźnie zaniepokoił. – Jocelyn?

Jasne, że wolał się z nią nie spotkać.

– Nie, Jocelyn wyjechała.

– To dobrze. To znaczy, tak mi się zdawało.

– Chodź, przedstawię ci Maxa – powiedziała radośnie Charlotte.

– Jakiego Maxa? – zdziwił się Brian. – Kupiłaś sobie psa?

Max się skrzywił.

– Nie – odparła. Prowadziła gościa do kuchni.

Facet pasował do głosu, stwierdził Max. Sympatyczny, elegancki, czysty i szczery.

– Max Cutler. Max, to jest Brian Conroy, o którym ci opowiadałam.

– Facet, który cię zostawił pięć dni przed ślubem – potwierdził Max. – Pamiętam.

Wstał, ale nie podał Brianowi ręki, tylko sięgnął po dzbanek z kawą i dolał płynu do swego kubka.

Brian wyglądał jak jeleń w świetle reflektorów. Ciągłe w szoku, spojrzął na Charlotte.

– Co tu się dzieje? – zapytał. – Kto to jest?

– Nie pies – poinformował Max. Odrobina wsparcia nie zaszkodzi.

Brian go nie słuchał.

– To przyjaciel – odparła Charlotte. – Bardzo bliski przyjaciel. Spał u mnie, a teraz, jak widzisz, jemy śniadanie. Może kawy?

– Nie, dziękuję. – Brian ściszył głos. Ociekał szczerością. – Posłuchaj, Charlotte, naprawdę muszę z tobą porozmawiać.

– Mów. Nie mam przed Maxem żadnych tajemnic.

– Ale ja mam. Gdzie go w ogóle poznałaś? W barze? A może korzystasz z serwisów randkowych?

– Ani jedno, ani drugie – poinformował Max. – Spotkaliśmy się służbowo, a potem już poszło.

Brian wyprostował się.

– Nie kupuję tego.

– A ja nie sprzedaję – mruknął Max. – Mówię ci, jak było.

– Za kogo ty się uważasz, do cholery? – zapytał cicho Brian. – Jeśli wydaje ci się, że możesz bezkarnie wykorzystać Charlotte....

Po raz pierwszy Charlotte zdała sobie sprawę, że igra z ogniem. Przerazona, położyła Brianowi dłoń na ramieniu.

– Dostyc tego – ucięła. – Co jest tak ważne, że przychodzisz tu rano i zawracasz mi głowę?

– Nie będę rozmawiał o sprawach osobistych przy obcym facecie.

– Więc idź już – powiedziała. – Czeką nas ciężki dzień. Mamy sprawy do załatwienia.

Brian poczerwieniał.

– Do cholery, Charlotte, posłuchaj...

Mierzyła go lodowatym wzrokiem.

– Nie, ty posłuchaj, Brian. Nie mam czasu, żeby poić cię herbatką i współczuciem, bo kochanka wróciła do męża.

Brian szybko zmienił strategię.

– Kochanie, wiem, że cię skrzywdziłem. Dopiero kiedy cię straciłem, doceniłem, co nas łączyło.

– Kiedy mnie rzuciłeś i zostawiłeś ze stertą rachunków do zapłacenia.

– Wynagrodzę ci to. Jeśli chcesz, zaraz wypiszę ci czek.

– Proszę bardzo. Wyślę ci spis wydatków. Ale uprzedzam, że to i tak niczego nie zmieni. Powiedz, co masz do powiedzenia, i idź sobie.

– Charlotte, to do ciebie niepodobne. – Brian łypał groźnie na Maxa. – Nie wiem, co cię łączy z tym typem, ale to tylko reakcja, klin. Zrozumiałe w tych okolicznościach. On i tak zniknie. Kiedy będzie za późno, zrozumiesz, że nas łączyło coś większego i piękniejszego.

– Wszystko ci się pomyliło – odparła. – To ty szukasz klina. Przyszedłeś do mnie, bo rzuciła cię kochanka i chcesz, żebym cię pocieszała, póki nie znajdziesz sobie nowej.

– Nieprawda.

– Ciągłe słyszę, że jestem zbyt ufna, i może rzeczywiście tak jest. Ale to nie znaczy, że jestem głupia. I kiedy raz się przekonam, że ktoś nie zasługuje na zaufanie, nie powtarzam tego samego błędu. Mówiąc krótko, Brian, nigdy więcej nie zdołam ci zaufać. Zniszczyłeś nasz związek i nie sposób go odbudować.

– Popelniasz wielki błąd – oznajmił.

– Idź już.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła do drzwi.

Brian mierzył Maxa gniewnym spojrzeniem niebieskich oczu.

– Nie wiem, kim jesteś, dupku – syknął. – Ale wiem, że ją wykorzystujesz.

– Charlotte chce, żebyś sobie poszedł – odparł Max. – I chyba powinieneś to zrobić.

– Wal się – syknął Brian.

Wyszedł z kuchni, a po chwili zatrzasnęły się za nim drzwi wejściowe. Zapadła cisza. Charlotte wróciła do kuchni. Obejmowała się ramionami. Była wyraźnie spięta.

– To było jedno z większych głupstw, jakie w życiu zrobiłam – przyznała. – Niepotrzebnie pozwoliłam mu wejść na górę.

– Spokojnie. Wszystko rozejdzie się po kościach. Tak myślę.

– Tak myślisz?

– Nie znam Conroya tak dobrze jak ty. Jak uważasz?

– Sama nie wiem. Do tej pory w życiu nie pomyślałabym, że jest zdolny do takiej awantury.

– Wkurzył się, bo kobieta, do której, jak sądził, mógł wrócić, stanęła na nogi. Musi trochę ochłonać.

– Obyś miał rację. – Charlotte odetchnęła głęboko. – Ale i tak niepotrzebnie pozwoliłam mu wejść na górę.

– Cóż, zemsta czasami wychodzi nam bokiem.

Zmrużyła oczy.

– Chyba coś o tym wiesz.

– Oczywiście, z wielu powodów. Po pierwsze, pół roku w roli prywatnego detektywa wystarczyło, żebym się przekonał, że nawet ci, którzy zwracają się do takich jak ja, twierdząc, że szukają odpowiedzi, tak naprawdę chcą mieć amunicję do zemsty. Staram się unikać takich zleceń. To zawsze kończy się źle.

Charlotte obserwowała go uważnie.

– A drugi powód?

– W pewnym sensie szukam zemsty od tamtej nocy, gdy Quinton Zane podłożył ogień. I zobacz, co mi z tego przyszło: rozwodnik, bez pieniędzy i, jeśli wierzyć fachowcom, wypalony zawodowo. Nawaliłem jako profiler. Wielu sądzi, że nawalę też jako detektyw. Wszystko dlatego, że obsesyjnie wierzę, że Zane

nadal żyje – i pragnę zemsty.

– Nie, bo chcesz mieć pewność, że nie żyje. To rozumiałe. Chcesz sprawiedliwości.

– Powiedz to mojej terapeutce.

Zaskoczyła go.

– Powiem, jeśli będę miała ku temu okazję.

Ogarnęło go dziwne, kojące ciepło. Wierzyła mu. Nie uważała, że zwariował, że ma obsesję. Ufała mu, zdawała się na jego instynkt. Spośród tych, którzy wiedzieli o jego przeszłości, tylko ona, z wyjątkiem przyrodnich braci i ojca, wierzyła w niego i rozumiała jego podejście do świata.

– Dzięki – powiedział. Nic innego nie przychodziło mu do głowy.

– Cóż, tyle, jeśli chodzi o słodki smak zemsty – mruknęła. Weszła do kuchni i sięgnęła po dzbanek z kawą. – Do rzeczy. Co powiemy członkiniom klubu?

– Na początek prawdę – że Jocelyn zniknęła, a ja badam sprawę śmierci Louise. Zobaczymy, jak zareagują, i pomyślimy, co dalej.

Rozdział 39

Rozumiem, że niepokoiacie się o Jocelyn – zapewniła Emily Kelly. – Ale naprawdę nie sędzę, że mogłabym wam jakoś pomóc. Myślałam, że Jocelyn jest na Karaibach i odpoczywa od rzeczywistości z dala od technologii.

Max upił łyk kawy i starał się zaklasyfikować Emily Kelly. W tej chwili tylko jedno było pewne – była spięta i zdenerwowana, chyba ostatnio źle sypiała.

Początkowo nie chciała się z nimi spotkać. Kiedy Charlotte do niej zadzwoniła, wykręcała się, mówiąc, że spieszy się na jogę. Dopiero kiedy Charlotte wyznała, że martwi się o siostrę, Emily zgodziła się przyjąć ich u siebie w domu.

Ledwie otworzyła drzwi, stało się jasne, że o żadnej jodze nie było mowy. W holu stały dwie spakowane walizki. Emily wyjeżdżała.

Mieszkała w schludnym domku w starej dzielnicy. Wnętrze i meble były standardowo nowoczesne, tak nijakie, że aż niewidzialne. Zero charakteru. Żadnych barwnych plam. W mieście słynącym z ogrodów trawnik przed domem Emily zwracał uwagę pospolitością.

Była taka jak jej dom, stwierdził Max, ładna, schludna, zadbana. I zarazem konwencjonalna, nudna i nijaka. Jakby, podobnie jak jej dom, za wszelką cenę chciała zlać się z otoczeniem i nie zwracać na siebie uwagi.

– Masz pojęcie, dokąd mogła się wyrwać Jocelyn? – zapytała Charlotte.

– Nie. – Emily pokręciła głową. – Ale mówimy o Jocelyn. Równie dobrze mogło jej się znudzić w klasztorze i przeniosła się do ekskluzywnego hotelu. Wcale by mnie to nie zdziwiło.

– Czyli nie kontaktowała się z tobą?

Emily zaprzeczyła ruchem głowy i zacisnęła usta w wąską kreskę.

Kłamię, stwierdził Max.

– Pani się czegoś obawia – powiedział.

Emily spojrzała na niego błagalnie, a potem jakby zapadła się w sobie

– Jak my wszystkie – szepnęła. – Wszystko przez Louise. Powtarzałam sobie, że nie będę uciekać. Że mam broń. Alarm w domu. I superpracę, którą stracę, jeśli tak nagle wyjadę. Ale nie sypiam po nocach. Już dłużej nie mogę. Nie daję rady. No więc tak, rano się spakowałam i już miałam wsiąść do samochodu, kiedy zadzwoniłaś.

– Dziękuję, że poczekałaś.

Emily pokręciła głową.

– Zostałam, bo liczyłam, że dowiem się od was, co się właściwie dzieje.

– Powiedz nam chociaż, czego się boisz – poprosiła Charlotte. – Jocelyn to moja przyrodnia siostra. Chyba mam prawo wiedzieć.

Emily zawahała się.

– Rozmawialiście z Victorią albo Madison? – zapytała w końcu.

– Jeszcze nie. Dzwoniłam do Victorii zaraz po tym, jak rozmawiałam z tobą. Chciałam się z nią umówić, ale nie odbiera. Nagrałam się. Później spróbuję jeszcze raz.

– Powinniście porozmawiać z nimi – stwierdziła. – Ja dołączyłam ostatnia.

– O co w tym wszystkim chodzi? – Max celowo podniósł głos.

Emily drgnęła, jakby ją uderzył. Skuliła się, spojrzała na Charlotte.

– Co tu się dzieje? – zapytała Charlotte.

– Nie wiem. – Emily miała łzy w oczach. – Właśnie to usiłuję wam powiedzieć. Nie wiem, co się dzieje. Żadna z nas nie wie.

– Ale się boicie – zauważyła Charlotte. – Bo Louise nie żyje, a Jocelyn zaginęła.

– Tak. – Emily otarła łzy. – Powiem wam, co wiem, i wyjeżdżam.

– Dobrze.

Emily wpatrywała się w Charlotte.

– Madison założyła klub.

– To już wiemy – zauważyła Charlotte.

Emily zacisnęła dłoń.

Była tak spięta, że wystarczyłby lekki dotyk, a rozpadłaby się na kawałki.

– Klub inwesterek, tak – powiedziała cicho. Naprawdę inwestujemy i może nawet wkrótce zarobimy na tym majątek. Ale na początku to miała być tylko przykrywka.

Charlotte wpatrywała się w nią ze zdumieniem.

– Dla czego? – zapytał Max.

– To był pomysł Madison – ciągnęła Emily. – Uznała, że my... że nasza piątka może robić coś więcej, niż tylko wspierać schronisko finansowo. Że możemy karać tych, którzy krzywdzą żony i dzieci.

Charlotte zamurowało.

– Karać? Ale jak?

– Madison twierdziła, że możemy, jak to mówiła, ich załatwić. Wybierałyśmy ich z danych schroniska.

– Louise miała dostęp do bazy danych? – domyślił się Max.

Emily skinęła głową.

– Często rozmawiała z kobietami w schronisku. Zdobywała szczegóły, dzięki którym mogliśmy zająć się tymi, którym udało się wywinąć, którzy uniknęli kary. Chodziło nam o sprawiedliwość.

– Jaką sprawiedliwość?

– Wszystko robiłyśmy w sieci. W Internecie można sporo zrobić, zachowując anonimowość. Wchodziłyśmy na portale, na których wyszukują ofiary, i robiłyśmy, co w naszej mocy, by ich zdemaskować. Psułyśmy im historię kredytową. Dwóch przez nas zwolniono z pracy.

– Nękałyście ich – orzekła Charlotte.

– Tak. – Emily uniosła głowę. – Naszym celem było doprowadzić do sytuacji, w której nie zaznają nawet chwili spokoju. Żeby się ciągle bali. I żeby nigdy nie ośmielili się zbliżyć od kolejnej ofiary.

– Jocelyn nic mi o tym nie mówiła – szepnęła Charlotte.

Ma taki głos, jakby brakowało jej tlenu, zauważył Max.

– Oczywiście, że nie – oburzyła się Emily. – Jocelyn uważa się za twoją starszą siostrę, i że musi cię chronić. I choć byliśmy bardzo ostrożne, wiedziałyśmy, że to, co robimy, jest bardzo ryzykowne.

– I dlatego Jocelyn zniknęła? – zapytał Max.

– Żadna z nas tego nie wie – przyznała. – Przynajmniej na początku. Naprawdę myślałyśmy, że odpoczywa na Karaibach. Ale po śmierci Louise zaczęłyśmy się z Victorią zastanawiać, czy nie spotkało jej coś podobnego. A potem ktoś przysłał nam sygnał alarmowy. Zakładamy, że to była Jocelyn; to musiała być ona. Nic innego nie ma sensu.

– Co za sygnał? – zainteresowała się Charlotte.

– Od początku zdawałyśmy sobie sprawę, że najgorsze, co nas może spotkać, to gdy jeden z naszych celów zorientuje się, że go nękamy i jakoś do nas trafi – wyjaśniła. – Wypracowałyśmy sygnał alarmowy na takie sytuacje. W zeszły piątek wszystkie trzy, Victoria, Madison i ja, dostałyśmy anonimową wiadomość. Na pewno od Jocelyn. Jedno słowo – właśnie sygnał alarmowy.

– Podejrzewa pani, że jeden z nękanych mężczyzn chce się zemścić? Że to on wziął na celownik wasz klub?

Emily patrzyła na niego ponuro.

– Tak uważamy ja i Victoria. Madison ma... inną teorię.

– Jaką? – zainteresował się.

– Niech ją pan zapyta – mruknęła Emily.

– Dokąd się wybierasz? – zapytała Charlotte.

Emily zagryzła dolną wargę.

– Przepraszam, ale nikomu tego nie powiem.

– Rozumiem – zapewnił Max. Sięgnął do kieszeni i wyjął wizytówkę. – Ale w razie potrzeby proszę dzwonić, w dzień czy w nocy, dobrze?

Emily skinęła głową. Zacisnęła dłoń na arkusiku. Wstała.

– Muszę iść – powiedziała.

Rozdział 40

Milczeli, póki nie znaleźli się w samochodzie Maxa i nie odjechali spod domu Emily. Charlotte usiłowała zebrać myśli, ale co chwilę trafiała na mur, choćby nie wiadomo jak się starała. Zerknęła na Maxa. Wydawał się pogrążony w myślach.

– Nie mieści mi się to w głowie – szepnęła, chcąc przerwać ciszę, skoro nie mogła przebić się przez mur.

– Nie mieści ci się w głowie, że Jocelyn i jej przyjaciółki inwestorki bawiły się w internetowe mścicielki?

– Właściwie doskonale sobie wyobrażam Jocelyn w tej roli – przyznała. – Nie wyobrażam sobie, że nie miałam pojęcia o jej sekretnym życiu.

– Naprawdę nie widziałaś żadnych symptomów?

– Nie. Z perspektywy czasu widzę jedynie, że to dlatego tak bardzo nie chciała, żebym dołączyła do klubu. Ale nie drażyłam tematu. Pewnie uważasz, że jestem bardzo naiwna.

– Uważam, że nie miałaś powodu podejrzewać, że Jocelyn tak bardzo ryzykuje.

– Ale co to wszystko ma wspólnego z wydarzeniem z Loring sprzed lat?

– Może Victoria Mathis powie nam coś więcej – mruknął Max.

Charlotte wyjęła z kieszeni komórkę i wybrała numer Victorii. Od razu połączyła się z pocztą głosową.

– Nie odbiera – mruknęła.

– Albo ucieka jak Emily Kelly, albo...

Urwał. Zacisnął usta. Charlotte żołądek podszedł do gardła.

– Albo morderca Louise już ją dopadł, tak? – dopowiedziała.

– To możliwe, choć w tej chwili raczej w to wątpię.

– Dlaczego?

– Jak powiedziałem, zwłoki zazwyczaj wypływają.

– Ale czasami znikają na zawsze.

– Czasami – przyznał. – Ale temu zabójcy nie zależy, żeby znikają. Jeśli mamy rację, upozoruje kolejne przedawkowanie.

– I dlatego nie przejmuję się, że ktoś ją znajdzie – dokończyła. – Jest bardzo pewny siebie.

– Tak – przyznał Max po namyśle. – Bardzo pewny siebie. To ciekawe, prawda?

– Dlaczego?

– Bo koniec końców przez to stanie się bardziej przewidywalny.

– Cóż, Victoria ciągle nie odbiera, żywa czy martwa.

– Czyli zostaje nam Madison Benson – zdecydował Max. – Chyba że ona też

dała nogę.

Rozdział 41

Madison Benson nie uciekała. W każdym razie jeszcze nie. Ale Charlotte widziała, że jej chłodna, opanowana, władcza postawa i kamizelka kuloodporna skrywają zdenerwowanie.

– Zgodziłam się z tobą porozmawiać – powiedziała Madison – ponieważ jesteś przyrodnią siostrą Jocelyn. Ale gdy zadzwoniłaś kilka minut temu, nie mówiłaś, że będzie z tobą śledczy.

Rzuciła Maxowi ponure spojrzenie.

– Mówiłam ci, że Max pomaga mi w poszukiwaniach Jocelyn – powiedziała Charlotte. – I bada sprawę śmierci Louise. Jeśli to, co powiedziała nam Emily, jest chociaż częściowo prawdą, to uważam, że ty i reszta członkiń klubu potrzebujecie wszelkiej możliwej pomocy.

Stali z Maxem w salonie eleganckiego domu Madison zbudowanego na zboczu wzniesienia w prestiżowej dzielnicy Queen Anne i otoczonego bujnym ogrodem. Z okien rozpościerał się piękny widok na zatokę Elliott.

Madison nie zaproponowała im ani kawy, ani żeby usiedli.

Z początku w ogóle nie chciała im nic mówić, ale zmieniła zdanie, gdy dowiedziała się, że Charlotte i Max odbyli właśnie długą rozmowę z Emily.

Nie była zadowolona z obecności Maxa, ale było jasne, że chciała uzyskać od nich informacje. Charlotte pomyślała, że to całkiem dobrze się składa, bo oni chcieli wyciągnąć informacje od niej.

– Co dokładnie powiedziała wam Emily? – spytała Madison.

– Powiedziała, że klub jest przykrywką dla operacji online, której celem są agresywni mężczyźni – powiedziała Charlotte. – Mężczyźni, którzy według waszej piątki wymknęli się prawu.

– Ona wierzy, że Louise została zamordowana przez jeden z waszych celów – dodał Max. – Ktoś zorientował się, że to właśnie klub zamienił jego życie w piekło. Powiedziała, że ty i reszta sądzicie, że Jocelyn miała być pierwsza, i że niedawno wysłała wam ostrzegawczą wiadomość.

Po raz pierwszy Madison wyglądała na całkowicie zaskoczoną.

– Emily wam to powiedziała? – spytała.

– Tak – powiedziała Charlotte. – Czy nie tak właśnie myślisz?

Madison nie odpowiedziała od razu. Podeszła do okien z widokiem na nadbrzeże i zatokę.

– Wiem, że Victoria i Emily tak właśnie myślą – powiedziała po chwili. Mówiła, jakby bardzo ostrożnie dobierała każde słowo. – Emily powiedziała wam prawdę, jeśli chodzi o pierwotny cel klubu. Polowałyśmy na mężczyzn, którzy, a przynajmniej jeden z nich, dosłownie wymigali się z morderstwa. Pobił żonę na śmierć i przekonał przysięgłych, że zrobił to ktoś inny. I owszem, zawsze

wiedziałyśmy, że któryś z naszych celów może domyślić się, że to my zrujnowałyśmy jego finanse, pracę albo życie towarzyskie. Ale nie jestem przekonana, że to właśnie dlatego zabito Louise, zakładając, że została zamordowana, co nadal pozostaje sprawą otwartą.

– A co według ciebie się dzieje? – spytała Charlotte.

Madison odwróciła się z zimnym spojrzeniem.

– Naprawdę chcecie wiedzieć?

– Tak – powiedziała Charlotte.

– W porządku. Powiem wam, ale to się wam nie spodoba i wątpię, żebyście mi uwierzyli. Oto jak to wygląda. Nasz klub został założony po to, żeby karać mężczyzn używających przemocy, którzy wymknęli się prawu. Ale chcieliśmy, żeby nasza przykrywka dobrze się prezentowała. Więc prowadziłyśmy legalne inwestycje. Skupiłyśmy się na małych firmach, które dopiero zaczynają. Jedna z nich ma zostać kupiona przez dużą firmę technologiczną. Jeśli umowa Keyworth pójdzie dobrze, to zyski dla członkiń klubu będą ogromne.

Max popatrzył na nią uważnie, w zamyśleniu, a potem przytaknął.

– Myślisz, że Jocelyn zamordowała Louise, żeby było o jedną osobę mniej w klubie – powiedział. – Jeden członek mniej do podziału zysku. I teraz zastanawiasz się, czy będzie próbowała zająć się resztą was, tak żeby tylko ona została w dniu wypłaty.

– Nie – Charlotte była oburzona. – To nieprawda. To niemożliwe, żebyś tak myślała, Madison.

– Nie mówię, że to prawda – powiedziała Madison beznamiętnie z zimnym spojrzeniem. – Mówię wam tylko, że uważam, że jest taka możliwość. Szczerze, to zastanawiałam się też, czy Emily mogła zamordować Louise. Ale Victoria jest przekonana, że powinnyśmy się martwić właśnie Jocelyn. W grę wchodzi duża stawka. Moim zdaniem to dobry motyw.

– Też uważam, że to bardzo dobry motyw – powiedział Max.

– Jocelyn nie jest zabójczynią. – Charlotte zacisnęła dłonie w pięści. – Na litość boską, Madison, znasz ją. Jesteś jej przyjaciółką. A Louise była jej najlepszą przyjaciółką. Jak możesz choć przez chwilę pomyśleć, że mogłaby zrobić coś tak potwornego jak zamordowanie swojej najlepszej przyjaciółki?

– Nie mówię, że to zrobiła. – Szczeka Madison lekko drgała. – Mówię tylko, że gdy chodzi o dużo pieniędzy, to ludzie stają się... nieprzewidywalni.

– Nie Jocelyn – stwierdziła Charlotte.

Nadal była rozwścieczona, ale jej głos powoli się uspokajał. Była pewna swoich słów.

– Jeśli Jocelyn postanowiła pozbyć się niektórych członkiń albo całej reszty klubu, to dlaczego wysyłałaby wam zakodowane ostrzeżenie? – spytał Max.

Charlotte pomyślała, że w jego głosie pobrzmiwa raczej delikatna

ciekawość niż próba skłonienia świadka do odpowiedzi.

– Czy to nie oczywiste? – Teraz Madison była wyraźnie zniecierpliwiona. – Chce, żebyśmy myślały, że niebezpieczeństwo grozi nam z innej strony. Ze strony jakiegoś nieznanego mężczyzny, który chce się zemścić.

– Ale polecenie wam, żebyście się ukryły, tylko utrudniłoby jej sprawę – zauważył Max. – Wie, gdzie mieszkacie tu w mieście, ale jak was znajdzie, jeśli uciekniecie w jakieś nieznanne miejsca?

– Nie znasz Jocelyn zbyt dobrze, prawda? – Madison uśmiechnęła się krzywo. – Cóż, coś ci powiem. Jocelyn miała ponad rok, żeby poznać członkinie klubu. W pewnym momencie prawdopodobnie doszła do tego, gdzie dokładnie byśmy uciekły, gdyby zaistniała taka potrzeba.

– Ale ty nie uciekasz? – spytał Max.

– Nie. Ta sprawa zakończy się za dziesięć dni. Wtedy wykup Keyworth ma zostać sfinalizowany. W międzyczasie muszę się tym zająć. Takie transakcje to delikatna sprawa. Jeśli chociaż jedna z nas spanikuje, to wszystko się zawali.

– Innymi słowy, jeśli Jocelyn próbuje pozbyć się reszty członkiń, to działa w odpowiednim czasie – powiedział Max.

Charlotte spojrzała na niego gniewnie, ale chyba tego nie zauważył.

– Właśnie tak – powiedziała Madison.

– Ale co, jeśli ani Jocelyn, ani Emily nie są zabójczyniami? – spytał cicho Max. – Co, jeśli jeden z celów, jak ich nazywacie, naprawdę poluje na członkinie klubu?

– Mam broń – powiedziała Madison. – Wiem, jak jej używać.

– Wygląda na to, że ty i cały klub – stwierdził Max.

Madison wzruszyła ramionami.

– Wiedziałyśmy, że nasza działalność pociąga za sobą pewne niebezpieczeństwo. Nie spodziewałyśmy się po prostu, że będziemy musiały się bronić przed jedną z członkiń.

Rozdział 42

Ciocia Hildy zawsze uważała, że stara przyczepa jest ponadczasowa. Victoria nie miała co do tego żadnych wątpliwości. W dalekiej przeszłości jej aluminiowa powłoka lśniła niczym lustro w słońcu, ale z czasem metal utlenił się do przygnębiającego szarego koloru. Zaokrąglony przód był kiedyś jak prawdziwy wynalazek techniki, zaprojektowany, żeby przyczepa była bardziej aerodynamiczna i łatwiejsza do ciągnięcia.

Ale przyczepa nie jeździła od dziesiątek lat. Służyła jako dom Hildy, odkąd tylko Victoria pamiętała. Była miejscem, w którym razem z mamą schroniły się, gdy koszmar drugiego małżeństwa matki wreszcie się skończył.

Przyczepa stała na działce z widokiem na wyboiste wybrzeże, oddalonej milę od małego miasteczka, w którym Victoria chodziła do liceum. Podczas letnich miesięcy okolica zaludniała się turystami, ludźmi, którzy przyjechali na weekend, i innymi, którzy spędzali czas na wybrzeżu, rozkoszując się fantastycznymi wietrznymi plażami. Ale sezon turystyczny kończył się, a to oznaczało, że w okolicy pojawiało się coraz mniej przyjezdnych. W oczy rzucał się każdy, kto przyjeżdżał na weekend.

Po śmierci Hildy Victoria postanowiła, że powinna sprzedać własność ciotki. Jednak łączyły ją z nią wspomnienia, a poza tym ani przyczepa, ani ziemia nie były dużo warte.

Ostatecznie zdecydowała, że zatrzyma przyczepę jako miejsce na weekend. Przynajmniej dopóki ceny ziemi nie pójdą w górę. Przyczepa i ziemia, na której stała, były wszystkim, co zostało jej po tej silnej kobiecie, która chroniła ją i jej matkę.

Rozejrzała się po funkcjonalnie urządzonej wewnątrz, przypominając sobie, jak bezpiecznie się tu czuła, gdy wprowadziły się z matką. Z nimi trzema na tak małej powierzchni było tłoczno, ale Victoria nie zwracała na to uwagi. Hildy mówiła, że zajmie się nimi, i Victoria jej zaufała.

Drań, za którego wyszła jej matka, pojawił się tylko raz. Hildy otworzyła mu drzwi z bronią w ręku. Nigdy już nie wrócił. Ale Victoria wiedziała, że Hildy każdej nocy spała z bronią w szufladzie obok łóżka, dopóki nie dowiedziała się, że sukinsyn zginął w wypadku samochodowym.

Zanim skończyło się tamto lato, Hildy nauczyła Victorię, jak strzelać z broni i jak o nią dbać. Podarowała jej pistolet na zakończenie liceum. Od tej pory Victoria każdej nocy spała z bronią w szufladzie obok łóżka.

Niektórzy mogli sądzić, że w tych okolicznościach takie odizolowane miejsce jest raczej zniechęcające, ale Victoria czuła się bezpieczniej właśnie tu, gdzie każdy ją znał, niż w mieście, w którym pozostawała anonimowa.

To było małe miasteczko, z tych, w których jakikolwiek przyjezdny pytający

o drogę do domu któregoś z mieszkańców był z góry podejrzany. Były też inne rzeczy, które zapewniały bezpieczeństwo przyczepie. Ziemię dookoła porastały podmokłe krzaki i trawy. Nie było żadnych wysokich drzew, które mogłyby skryć kogoś, kto chciałby podejść niezauważony. Każdy pojazd wjeżdżający na wysypany żwirem podjazd byłby słyszany, zanim dotarłby do przyczepy.

Była tu tak samo bezpieczna jak w innych miejscach. A jeśli naprawdę musiałaby użyć pistoletu, to akurat w tym miejscu byłoby to o wiele bardziej zrozumiałe, niż gdyby wystrzeliła we własnym mieszkaniu. W tej części Waszyngtonu rozumiało się samo przez się, że żyjąca samotnie kobieta ma prawo do obrony.

Rozdział 43

Poszli do tej samej restauracji, w której jedli tej nocy, gdy Max po raz pierwszy przyszedł do jej mieszkania. Charlotte rozbawiło to, że zamówił krokiety z krabami.

– Znowu?

– Jestem niewolnikiem nawyków – powiedział Max. – Próbowałem cię ostrzec. Jestem facetem, który robi wszystko ostrożnie i powoli, pamiętasz?

– Racja. Osobiście mam zamiar trochę zaszałać. Przede wszystkim dlatego, że umieram z głodu. – Spojrzała na kelnera. – Też poproszę krokiety z krabami.

Kelner odszedł z zamówieniem. Charlotte odwróciła się z powrotem do Maxa.

– Wiszę Ansonowi obiad – powiedziała. – Cholera, cały tydzień obiadów. Nawet nie wiesz, jak bardzo mi ulżyło, gdy odzyskałam swoją torbę z portfelem i kartami kredytowymi. I nie mogę uwierzyć, że mój telefon przeżył. Byłam pewna, że będę musiała kupić nowy.

– Miałaś szczęście, bo trzymasz telefon w porządnym pokrowcu, a twoja torebka jest z wodoodpornego nylonu.

– Noszę ją na ulicy, a mieszkam w Seattle – wyjaśniła. – Więc owszem, jest wodoodporna. Co zamierzamy?

– Poszukamy jedynej członkini klubu, z którą jeszcze nie mieliśmy okazji porozmawiać – Victorii Mathis.

– Masz jakiś plan?

Max wziął łyk piwa.

– Jak opisałaś jej sytuację finansową?

– Mówiłam ci, że nie znam zbyt dobrze żadnej z przyjaciółek Jocelyn. Wszystko, co o nich wiem, powiedziała mi Jocelyn. Ona, Louise i Madison miały najlepiej płatne prace, tyle mogę ci powiedzieć. Myślę, że Emily i Victoria radziły sobie dobrze, ale z pewnością nie były bardzo bogate. Dlaczego pytasz?

– Bo ukrywanie się kosztuje. Nie każdy może wyjechać na nieznaną wyspę na Karaibach tak na zawołanie.

– Och, prawda. Rozumiem. Cóż, jeśli patrzymy w ten sposób, to Victoria miała raczej najmniejsze zasoby.

– W takim razie powinniśmy ją znaleźć.

– Rozmawialiśmy już z Madison i Emily. Co więcej może nam powiedzieć Victoria?

– Nie mam pojęcia – powiedział Max.

Zabrzączał jego telefon. Wyciągnął go z kieszeni marynarki. Charlotte przyglądała się jego twarzy, gdy odczytywał maila. Delikatnie zmrużył oczy. Wyłączył telefon bez żadnego komentarza.

- Coś nowego? – spytała, nie mogąc stłumić ciekawości.
- Tak, ale nie ma związku z twoją przyrodnią siostrą ani tą sprawą.
- Pracujesz jeszcze nad czymś?
- Pracowałem. – Max wypił trochę piwa. – Rzuciłem to.

Charlotte zaczekała, czy Max powie coś więcej, ale on milczał. Widziała w jego oczach i zaciśniętej szczęce, że znowu wycofał się w jakiś inny wymiar.

To delikatne przejście było wstrząsem. Uświadomiło jej, że odkąd wrócili z pamiętnej wyprawy w góry, w ich relacji pojawiła się bliskość.

A może to było tylko jej wyobrażenie.

Nagle poczuła potrzebę, żeby wszystko z niego wyciągnąć.

– Dlaczego rzuciłeś tę sprawę? Klient nie zapłacił rachunku?

Przez chwilę nie sądziła, że odpowie. Ale w końcu spojrzał na nią znad szklanki.

– Nawet nie wysłałem rachunku – powiedział. – Nie żebym to planował.

– Ach. *Pro bono*. – Charlotte uśmiechnęła się. – Robisz pewne rzeczy za darmo, tak jak prawnik. Wydaje mi się, że to taka prywatna pomoc charytatywna. To bardzo miło z twojej strony.

– Żeby było jasne, nie zajmuję się pomocą charytatywną.

– Och.

Max zawahał się.

– To była sprawa... osobista.

– Nie rozumiem. Dlaczego ją rzuciłeś, skoro była osobista?

Znow była pewna, że nie odpowie.

– Hej, dużo ostatnio dowiedziałeś się o moim osobistym życiu, partnerze – powiedziała.

Była trochę zaskoczona, gdy jej taktyka zadziałała. Max odstawił szklankę, pochylił się i położył ręce na stole. W jego oczach pojawiło się niepokojące napięcie.

– Naprawdę chcesz usłyszeć więcej o moim prywatnym życiu? – spytał.

Nie dała się zastraszyć.

– Tak, naprawdę.

– Uczciwie ostrzegam. To nudne.

Uśmiechnęła się.

– Rozmawiasz z drugą marudą w zespole, pamiętasz?

Max przyglądał jej się zamyślony przez dłuższą chwilę.

– W porządku. Postaram się opowiedzieć krótko i zwięźle. Mówiłem ci, że mama wychowywała mnie samotnie?

– Mówiłeś.

– Była samotna z wyboru. Gdy zdecydowała się na dziecko, skorzystała z usług banku spermy. A ja jestem efektem.

Charlotte ścisnęła nóżkę swojego kieliszka z winem.

– Rozumiem.

– Dorastałem, wiedząc, że mój ojciec to anonimowy dokument w bazie danych kliniki.

– Ale w końcu zacząłeś go szukać, prawda?

– Tak myślisz?

– Znam cię na tyle dobrze, że wiem, że dokładnie to zrobiłeś. Co więcej, mogę się założyć, że go znalazłeś, bo jesteś bardzo dobry w tym, co robisz.

– To prawda, co mówią. Dzisiaj możesz znaleźć każdego w Internecie. Więc tak, odnalazłem go.

– Kiedy?

– Kilka lat temu. Zaraz po tym, jak dostałem pracę w agencji wywiadowczej. Myślę, że miałem jakąś niejasną myśl, że mógłby być zainteresowany spotkaniem ze mną. Napisałem do niego maila.

– I jak poszło?

– Nie za dobrze. Odpisał i oskarżył mnie o śledzenie. Napisał, że ma prawną dokumentację, w której wyjaśnione jest, że nie ma względem mnie żadnych zobowiązań i że jeśli jeszcze kiedykolwiek skontaktuję się z nim albo z kimś z jego rodziny, to skieruje sprawę do prawnika.

Sądziła, że jest gotowa na wszystko, jeśli chodzi o smutny koniec, ale ta historia sprawiła, że ze zdumienia odebrało jej mowę.

– To było... – Nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa. – Okropne.

– Nie, rozjaśniło sprawę. Dostałem swoją odpowiedź. Obiecałem sobie, że nigdy więcej się z nim nie skontaktuję.

– Czy on ma inne dzieci?

– Syna i córkę – powiedział Max. – I nie są już dziećmi. Są teraz dorośli.

– A to oznacza, że masz przyrodnie rodzeństwo.

– Z biologicznego punktu widzenia – tak. Jeden z synów jest dyrektorem rodzinnej firmy, która zajmuje się rozwojem nieruchomości w Portland. Córka jest projektantką wnętrz. Dodam, że bardzo jej się powodzi.

– Innymi słowy, są przedsiębiorcami.

– Można tak powiedzieć.

Uśmiechnęła się.

– Żadne z jabłek nie padło daleko od jabłoni, prawda?

Max rozłożył ręce i podniósł szklankę.

– Co masz na myśli?

– Że ty i twoje przyrodnie rodzeństwo macie ze sobą dużo wspólnego.

– Nie – powiedział Max. Odstawił starannie szklankę. – Nie mamy. Nie mamy ze sobą nic wspólnego. Oboje chodzili do prywatnych szkół i ukończyli bardzo dobre uczelnie. Oboje odnoszą sukcesy w swojej pracy. Jego syn jest żonaty

i ma własnego syna, a córka ostatnio się zaręczyła. Ja uczyłem się w strefie wojennej, potem chodziłem na zajęcia do zawodówki, potem spędziłem kilka lat, polując na ludzkie potwory, potem przeszedłem przez nieudane małżeństwo. Teraz startuję jeszcze raz jako prywatny detektyw, który właśnie zaczyna zarabiać na tyle dużo, żeby spłacić hipotekę domu, który wymaga mnóstwa drogich robót.

– A ja to widzę tak – powiedziała Charlotte. – Założyłeś swój własny biznes, który za jakiś czas odniesie sukces, ponieważ jesteś bystry i dobry w tym, co robisz. Pokazujesz ten sam zmysł przedsiębiorczości co twoje rodzeństwo.

Max popatrzył na nią ze współczuciem.

– Właśnie kiedy doszedłem do wniosku, że w najmniejszym stopniu nie jesteś tak naiwna, jak myślą inni, ty udowadniasz, że jednak się myliłem.

– To zniewaga, ale będę udawać, że tego nie słyszałam. Wróćmy do tej sprawy, którą porzuciłeś. Co ma wspólnego z historią twojej rodziny?

– Jak ci powiem, to odpuszczisz?

– Zależy – powiedziała zaczepnie. – Nic nie obiecuję.

Zanim Max miał szansę odpowiedzieć, przyszedł kelner z krabowymi krokietami. Gdy znowu zostali sami, Charlotte podniosła widelec.

– Powiedz mi, Max – powiedziała. – Po tym wszystkim, przez co razem przeszliśmy, zasługuję na odpowiedź.

– Co, do cholery? – zdenerwował się Max.

– I o to chodzi.

Zignorował jej słowa.

– Po tym, jak dostałem tę wiadomość od Decatura, w której pisał, że mam trzymać się z daleka od niego, uszanowałem jego prywatność. Ale od czasu do czasu tak jakby sprawdzałem go z daleka. Przysięgam, że nie nękałem rodziny, ale dość łatwo być na bieżąco z informacjami o rodzinie.

– Więc gdy nazwisko Decatura pojawiało się w prasie, czytałeś artykuły. To nie jest nękanie. To zwykła, tradycyjna ciekawość. Jesteś biologicznie połączony z rodziną. Masz prawo być ciekawy.

– Uwierz mi, że Davis Decatur nie zgodziłby się z tobą.

– Decatur. – Zmarszczyła brwi. – To nazwisko jest ledwie znane.

– Mówiłem ci, że to rodzinna firma. On jest deweloperem. Firma odnosi sukcesy. Bardzo, bardzo duże. Zajmują się jakimiś ważnymi projektami w Seattle i Portland.

– Teraz jasne. Widywałam tę nazwę w prasie.

– W większości wiadomości, które pojawiają się w biznesowych mediach, są całkiem zwyczajne. To znaczy zwyczajne dla bardzo dobrze prosperującej firmy. Ale jakieś trzy miesiące temu córka Decatura...

– Twoja przyrodnia siostra.

Max powoli wypuścił powietrze.

– Ma na imię Brooke. Związała się z menadżerem funduszy hedgingowych o nazwisku Gatley. Simon Gatley. Teraz są zaręczeni. To nazwisko brzmiało mi znajomo, ale raczej na zły sposób. Poszukałem o nim informacji w Internecie.

– To nie skończy się dobrze, prawda?

– Nie. Mam niezbity dowód na to, że Gatley robi niezłe przekręty i że kantuje ludzi od czasu studiów. Jest w tym zadziwiająco dobry. Teraz zajmuje się czymś, co wygląda na plan Ponzi. Nie jest to jego pierwszy raz. Wszystko w końcu się zawali, ale w międzyczasie pieniądze jego klientów znajdują się na jego zagranicznym koncie.

– Próbowaleś ostrzec ojca – Davisa Decatura – prawda?

– To było głupie – powiedział Max. – Nie mogłem ostrzec Brooke. Ona nie wie o moim istnieniu. Pewnie pomyślałaby, że to ja robię przekręt. Więc tak, wysłałem maila do Decatura i zasugerowałem, żeby jego ludzie od finansów i prawa uważniej przyjrzeni się Gatleyowi. Dostałem odpowiedź, w której informował mnie, że jeśli jeszcze raz spróbuję się skontaktować z kimś z rodziny Decatur, to zostanę oskarżony o złośliwe nękanie.

– Zrobiłeś, co mogłeś, żeby ostrzec Decatura przed nowym chłopakiem Brooke. On wolał zlekceważyć twoje ostrzeżenie. Więc teraz postanowiłeś rzucić sprawę?

– Nic więcej nie mogę zrobić. – Max wypuścił powoli powietrze. – Ten ostatni mail, który dostałem przed chwilą, był kolejnym potwierdzeniem, że Gatley to oszust.

– Wiesz, niektórzy mogą myśleć, że taki scenariusz to dobry przykład karmy. Decatur ignoruje cię całe życie, więc teraz za to zapłaci.

– Tak. – Max zjadł trochę krabowych krokiecików. Nie wyglądał na zadowolonego.

– Ale nie cierpisz tej świadomości, że Gatley wykorzystuje twoją siostrę, żeby zbliżyć się do rodziny Decatur i położyć łapy na ich pieniądzech.

– Wkurza mnie, że ma zamiar uciec z ich pieniędzmi. Nie pytaj mnie, dlaczego.

– Nie musisz się tłumaczyć – powiedziała Charlotte. – To oczywiste. To twoja rodzina ucierpi.

– To nie jest moja rodzina. Tylko biologiczne więzy.

– W porządku. Biologiczne więzy, ale gdy to wszystko spadnie na rodzinę, zostanie jedna niewinna osoba. Twoja przyrodnia siostra – z biologicznego punktu widzenia – będzie tą, która pozostanie z ogromnym poczuciem winy. Prawdopodobnie będzie przekonana, że to przez nią doszło do katastrofy, bo to ona wpuściła węża do rodzinnego kręgu.

– Zakładając, że dojdzie do katastrofy. Możliwe, że ktoś zdemaskuje Gatleya, zanim sprawy się pogorszą.

– Dwa słowa: Bernie Madoff. Udawało mu się oszukiwać ludzi od lat. Niektórzy z nich byli bardzo bystry. Oboje wiemy, że nie możesz się poddać. Potrzebujemy planu.

Max uniósł brwi.

– O co chodzi z tym my?

– Jesteśmy partnerami, nie pamiętasz? Nie martw się. Wymyślimy coś.

– Daj mi znać, gdy coś cię natchnie. A w międzyczasie mamy inne priorytety.

– Victoria.

– Racja.

– Gdzie zaczynamy?

– Po kolacji pójdziesz podlać kwiaty przyjaciółce.

Rozdział 44

Godzinę później Charlotte stała w korytarzu przed mieszkaniem Victorii i patrzyła, jak Max robi przy zamku coś, o czym była przekonana, że jest nielegalne.

Jak najlepiej starała się wyglądać tak, jakby miała pełne prawo tu być z mężczyzną, który dokonywał niewielkiego włamania. Martwiła się jednak, że nie jest dobrą aktorką.

Na szczęście nikt z mieszkańców nie zwrócił jeszcze na nich nawet najmniejszej uwagi. Ochrona w budynku była zwyczajna. Wieczorami nie było ani zarządcy, ani dozorczy. Niepokojąco łatwo można było wejść do holu za którymś z lokatorów. Zaaferowany młody mężczyzna, który torował im drogę, nawet nie spojrzął znad komórki. Charlotte nie sądziła, żeby w ogóle zdawał sobie sprawę z ich obecności.

– W dużym apartamentowcu zawsze jest tłok – wyjaśnił Max po drodze, żeby ją uspokoić. – Ludzie są przyzwyczajeni do mijania obcych w korytarzach. A w naszym przypadku jesteś pełnoprawną znajomą jednej z lokatorek. Gdyby ktoś chciał nas zatrzymać, to mamy historię z podlewaniem.

Najpierw udali się do podziemnego garażu. W miejscu z numerem mieszkania Victorii nie było jej auta – kolejny dowód na to, że uciekła. Teraz mieli wejść do jej mieszkania. Charlotte była tak spięta, że aż się trzęsła. Miała nadzieję, że Max tego nie zauważył.

Zamek puścił z małym, stłumionym kliknięciem. Max otworzył drzwi. Charlotte pośpiesznie weszła do środka, a Max zamknął za nimi drzwi. Zauważyła, że zapobiegawczo przekręcił zamek w drzwiach. Jeśli ktoś by zapukał, to będą mieli trochę czasu na przygotowanie scenki z podlewaniem.

Max zapalił lampę.

– Dzięki temu nasza wizyta nie wzbudza podejrzeń – powiedział. – Dwoje ludzi kręcących się tutaj z latarką w długopisie mogłoby wzbudzić ciekawość.

– Bez żartów. – Charlotte spojrzała na trzy doniczki z roślinami, które stały na parapecie. – Chyba historia z podlewaniem będzie nawet adekwatna. Należę tym biedactwom wody, zanim wyjdziemy. A czego będziemy szukać w międzyczasie?

– Czegokolwiek, co może nam wskazać, dokąd pojechała Mathis.

– Takie informacje będą pewnie w jej telefonie albo laptopie – powiedziała Charlotte. – Nie widzę żadnego z nich.

– Mogła wziąć ze sobą oprogramowanie, a telefon i laptop wyłączyć. A może je po prostu zostawiła.

Charlotte rozejrzała się badawczo po mieszkaniu.

– Powinniśmy próbować ich poszukać?

– Nie, nie możemy wyrzucić mieszkania do góry nogami. O ile wiemy, chowała urządzenia gdzieś poza miejscem pracy.

– Jak ją znajdziemy?
– Myślę, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że dotarła już do swojego celu – powiedział Max.

– Mogła po prostu pojechać na lotnisko i zostawić samochód w garażu.
– Może. Ale trzymanie samochodu w garażu na lotnisku przez dłuższy czas kosztuje. Większość ludzi, którzy chcą zniknąć na chwilę, wzięłyby taksówkę. I jest jeszcze coś... Pomijając Jocelyn, to Mathis wyjechała z miasta jako pierwsza z klubu, a mówiłaś, że to ona ma najmniej pieniędzy.

– Tak sądzę.
– Wygląda na to, że ucieczkę miała już zaplanowaną. Jeśli nie miała pieniędzy na drogę ucieczką, to może zatrzymała się u przyjaciółki albo krewnego.

Charlotte spojrzała na zdjęcie na ścianie. Była na nim kobieta o szarych włosach ubrana w luźne dzinsy i wyblakłą koszulę. Trzymała łopatę w ręce. W tle stała stara przyczepa.

Pewne wspomnienie przyszło na myśl Charlotte.

– Nie wiem nic o przyjaciółkach Victorii spoza klubu, ale miała jedną krewną – ciotkę. Jocelyn wspominała, że Victoria była z nią bardzo blisko. Ciotka zmarła kilka miesięcy temu.

– Gdzie mieszkała?

– Gdzieś na wybrzeżu. Jocelyn mówiła, że Victoria spędzała tam weekendy, ale później ciotka poważnie zachorowała. Ostatnie miesiące życia spędziła w jakimś ośrodku opieki w Seattle.

Max spojrział znad szuflady z dokumentami.

– Zapisała swoją posiadłość Victorii? To by wyjaśniało, skąd miała pieniądze na ucieczkę.

– Jocelyn mówiła, że ciocia zostawiła wszystko Victorii, ale nie było tego dużo. Opieka, której potrzebowała w ostatnich miesiącach, pochłonęła jej wszystkie oszczędności. Na wybrzeżu była chyba jakaś posiadłość, ale według Jocelyn niewiele warta. Victoria planowała ją sprzedać, gdy ceny pójdą w górę.

Max wyciągnął z szuflady teczkę.

– Wygląda na to, że Victoria zebrała wszystkie finansowe dokumenty ciotki i trzyma je tutaj. Na szczęście dla nas ciotka była jeszcze starej daty i miała papierowe dokumenty.

Odszukanie zapisków podatkowych związanych z posiadłością na wybrzeżu nie zajęło dużo czasu.

– To zdjęcie na ścianie jest pewnie stamtąd – powiedział Max. – Myślę, że to bardzo prawdopodobne, że Victoria uciekła właśnie tam.

– Nie odbiera telefonu. Jedyne, co możemy zrobić, żeby sprawdzić, czy tam jest, to pojechać na wybrzeże. To setki mil stąd.

– Nie ma sensu wyjeżdżać tam dziś wieczorem – powiedział Max. – Pewnie

śmiertelnie by się przeraziła na widok obcego samochodu wjeżdżającego na podjazd w środku nocy.

– Masz rację. To nie jest dobry pomysł. Jocelyn mówi, że Victoria ma broń, odkąd skończyła liceum.

Max gwizdnął cicho.

– Mamy do czynienia z dobrze uzbrojonym klubem.

– Broń nie za bardzo pomogła Louise – zauważyła Charlotte.

– To prawda. Wyruszymy na wybrzeże z samego rana.

Rozdział 45

Charlotte obudziło równomierne bębnienie deszczu o szyby – i świadomość, że jest w łóżku sama. Uniosła powieki i zobaczyła Maxa skrytego w mroku, na tle okna. Miał na sobie bokserki i czarną koszulkę, w której spał. Wpatrywał się w noc.

Od razu wiedziała, że znowu jest myślami gdzie indziej.

Można od tego oszaleć, pomyślała; to jak walka z wielką rybą na żyłce; chcesz ją wyciągnąć, ale ryba stawia opór. To oczywiście prowadziło do kolejnego pytania – czemu właściwie tak bardzo zależy jej na tej zdobyczy?

– Ej – zapytała cicho. – Wszystko w porządku?

Odwrócił się i spojrział na nią.

– Tak. Przepraszam. Nie chciałem cię budzić.

– Nie szkodzi. I tak nie spałam, drzemałam tylko.

– Ja też. Cały czas mam wrażenie, że w tej sprawie umyka mi coś ważnego.

Usiadła, opłotła kolana ramionami.

– Obojgu nam coś umyka. Jesteśmy w tym razem, pamiętaj.

– Tak, ale to moja praca. To ja powinienem dostrzegać wzorce.

– Czy któryś element martwi cię bardziej niż inne?

– Mapy.

– Te z walizki Louise i sejfu Jocelyn?

– Tak. Obie zaznaczyły miejscowości, w których doszło do gwałtów i w których kobiety umarły rzekomo z przedawkowania. Co w tych sprawach było takiego ważnego?

– Może Jocelyn i Louise obserwowały kogoś, w czyje przedsięwzięcie chciały zainwestować. Jako klub inwestorek.

– Może – przyznał. – Ale Madison Benson i Emily Kelly potwierdziły, że klub wybierał ofiary z dokumentacji w schronisku dla maltretowanych kobiet, w którym Louise pracowała jako wolontariuszka. A nic nie sugeruje, że te zgwałcone albo zamordowane były z nim w jakikolwiek sposób związane. I jeszcze ta notatka od Louise do Jocelyn, że te akta to jedyne egzemplarze w realu.

– Może Victoria coś nam powie. – Charlotte zerknęła na zegarek. – Jest wpół do piątej. Nie ma sensu wracać do łóżka. Równie dobrze możemy już szykować się do wycieczki na wybrzeże.

– Tak. – Max oderwał wzrok od okna.

Odrzuciła kołdrę, wstała.

– Wezmę prysznic i przygotuję nam coś do jedzenia, ty wykąpiesz się później. A tak przy okazji...

– Tak?

– Zastanawiałam się nad twoimi sprawami rodzinnymi. – Obejrzała się przez

ramię. Była już w progu sypialni.

– Nie mam spraw rodzinnych. To kwestia formalna dotycząca biologicznego krewnego.

– Nazywaj to sobie, jak chcesz. Mam pewną propozycję.

Spojrzał na nią z niechętnym zainteresowaniem.

– Tak?

– Mówiłeś, że Decatur nie chce o tobie słyszeć, że we wszystkim, co mu powiesz, wietrzy podstęp. Ale to biznesmen, tak?

– No i?

– Pewnie zatrudnia prawnika.

– Całą kancelarię. I co z tego?

– Biznesmeni słuchają swoich prawników. Znasz jakiegoś prawnika?

– Tak, współpracuję z kilkoma z nich. Z jednym się nawet zaprzyjaźniłem. A co?

– Powiedz mu, co masz na Gatleya. Poproś, żeby się skontaktował z prawnikami Decatura i przekazał im te dane. Jeśli zareagują tak samo jak ty, porozmawiają z klientem.

– Hm.

– Tym sposobem nie zaangażujesz się bezpośrednio w tę sytuację.

– Kiedy Decatur się dowie, że to ode mnie, pewnie zdecyduje, że jestem oszustem i naciągaczem i zlekceważy te informacje.

– Owszem, ale przynajmniej będziesz wiedział, że widział te dane. I bardzo prawdopodobne, że jeśli jego prawnicy je zobaczą, on także potraktuje je poważnie. Byłby idiotą, lekceważąc oczywiste fakty. Jakby nie było, te informacje da się sprawdzić, prawda?

– Tak.

Czekała, że powie coś jeszcze, ale on tylko stał i patrzył na nią w milczeniu.

– To tylko taki pomysł – rzuciła. – Idę pod prysznic.

Odwróciła się.

– Charlotte.

Zatrzymała się, spojrzała na niego.

– Dziękuję – mruknął. – To logiczne podejście do problemu. Oczywiście w tej sytuacji. Właściwie sam powinienem był na to wpaść.

Wtedy zrozumiała, że jego zdaniem nawalił, złamał własne niepisane zasady.

Uśmiechnęła się.

– Nie wpadłeś na to, bo jesteś w to za bardzo zaangażowany osobiście. Emocjonalnie. To całkowicie naturalne w tych okolicznościach.

– Nieprawda. Mogłem pomyśleć o rozwiązaniu na linii prawnik-prawnik.

– Wyluzuj, Max. Masz prawo do złożonych emocji, gdy w grę wchodzi rodzina. Każdy je ma w tym przypadku.

Podszedł do niej, gdy tak stała w progu, i zatrzymał się kilka centymetrów od niej. Podniósł ręce, zacisnął je na framudze po obu stronach jej głowy, pochylił się.

– Być może moje uczucia wobec rodziny Decatur są skomplikowane, ale wobec ciebie – nie.

Wstrzymała oddech.

– Czyżby?

– Rozmowa z tobą rozjaśnia mi umysł.

No dobra, może to nie do końca wyznanie miłości, ale z ust Maxa to i tak nie lada deklaracja. Zanim zdążyła dopytać o szczegóły, pochylił się i pocałował ją.

To nie był jeden z tych powolnych, oszłamiających pocałunków, po których kurczowo czepiała się jego ramion. Był szybki, intensywny, bardzo intymny. Pocałunek, którym mężczyzna obdarza kobietę, z jaką we własnym przekonaniu jest w związku.

A może zbyt wiele sobie obiecuje po jednym pocałunku.

Puścił framugę, cofnął się.

– Charlotte – zaczął.

Urwał. Tylko na nią patrzył. Wydawało jej się, że widzi pytanie w jego oczach. To pewnie tylko gra świateł, zdecydowała.

– Musimy się pospieszyć – mruknął. – Naprawdę musimy jak najszybciej porozmawiać z Victorią Mathis.

– Coś nie tak? – Charlotte uniosła brwi.

– Przeczucie. Czasami tak bywa.

Charlotte nie pytała o nic więcej.

Rozdział 46

Victoria jest w domu, dzięki Bogu – stwierdziła Charlotte. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo była spięta podczas jazdy z Seattle. – Przed przyczepą stoi samochód. Na pewno jej. Miałaś rację. Ukryła się tutaj.

– To wydawało się najbardziej logiczne – odparł. – Przerażeni ludzie uciekają do znajomych miejsc, tam, gdzie czują się bezpiecznie.

– Przyznam szczerze, że trochę się bałam na myśl, co tu zastaniemy – wyznała.

Przygotowała się psychicznie na ewentualność, że u kresu podróży nie będzie Victorii. Teraz przynajmniej mogli liczyć na parę odpowiedzi.

Max zatrzymał samochód na podjeździe i zatrąbił kilka razy. Charlotte zerknęła na niego.

– Czemu? – zdziwiła się.

– Mówiłaś, że ma broń i umie strzelać. Jeśli jest przerażona, lepiej nie robić jej niespodzianek. Nie zna tego samochodu.

Przyjechali jego szarym sedanem.

– Fakt – mruknęła.

Jeszcze kilka razy nacisnął klakson dając do zrozumienia, że nie przybywają w złych zamiarach.

Charlotte wytężyła wzrok, ale o ile dobrze widziała, w przyczepie nikt się nie poruszył. Nikt nie wyglądał zza zasłonek. Nikt nie uchylił drzwi.

Odpięła pas bezpieczeństwa, otworzyła drzwiczki.

– Wsiądę, pokażę się. Ciebie nie zna, ale mnie nie musi się obawiać.

– Chyba że uważa, że razem z Jocelyn chcesz ją pozbawić jej części zysków ze sprzedaży Keyworth – zauważył Max.

– O cholera. Nie mogę uwierzyć, że sądzi, że Jocelyn chce ją zabić. Porozmawiam z nią, przekonam, że śmierć Louise ma związek ze sprawą z przeszłości.

– Dobrze, ale nie wychodź zza drzwi wozu. Powiedz, kim jestem i czemu z tobą przyjechałem.

Charlotte wysiadła. Lodowaty wiatr od morza szarpał jej włosy, przenikał przez kurtkę.

– Victora? To ja, Charlotte Sawyer! – zawołała. – Wiem, że się boisz. Ja też. Nie mogę znaleźć Jocelyn. Jest ze mną prywatny detektyw, Max Cutler. Chce mi pomóc. Proszę, porozmawiaj z nami.

Żadnej reakcji z wnętrza przyczepy. Charlotte odgarnęła włosy z oczu i pochyliła się do samochodu, do Maxa.

– Zapukam do drzwi – zdecydowała. – Nie zastrzeli mnie z zimną krwią.

Max nie odrywał wzroku od przyczepy.

– Wsiadaj do samochodu.

To był rozkaz.

– Nie możemy teraz odjechać – zauważyła. – Nie teraz, kiedy przejechaliliśmy taki kawał.

– Nie odjeżdżamy. Wsiadaj.

Coś w jego twarzy mówiło jej, że nie ma sensu dyskutować. Zająła miejsce od strony pasażera i zatrzasnęła drzwiczki.

– Uważasz, że stało się coś złego – stwierdziła.

– Gdyby była w domu, cała i zdrowa, wyrzałaby chociaż przez okno, ciekawa, kto podejźdza.

Charlotte nie odpowiedziała. Błagam, nie kolejna, myślała jak odrętwiała. Nie tak jak Louise. Tylko nie to.

Max podjechał pod drzwi przyczepy.

– Rozejrzę się – powiedział.

Wysiadł i zaraz zerknął za siebie, gdy Charlotte otworzyła drzwiczki od swojej strony. Wiedziała, że już miał jej kazać zostać w aucie. Pokręciła przecząco głową. Choć mu się to nie podobało, zaakceptował jej decyzję.

Pokonał trzy metalowe schodki i zapukał do drzwi. Zero reakcji. Nacisnął klamkę.

– Zamknięte – powiedział. Zawahał się. Przyglądał się metalowej skrzyneczce. – Cholera – zaklął bardzo cicho i bardzo zimno.

Zbiegł ze schodków, otworzył aluminiową skrzynkę. Charlotte dostrzegła jakieś urządzenie, ale zanim zdążyła o cokolwiek zapytać, Max znowu wydawał polecenia.

– Cofnij się – warknął.

Zaskoczona, odeszła kilka kroków dalej. Max podniósł kamień wielkości pięści i wybił okno. Posypało się szkło.

Charlotte dałaby sobie rękę uciąć, że słyszała, jak cała przyczepa oddycha z ulgą. Max wybił kolejne okno i z całej siły kopnął drzwi. Wiekowy zamek ustąpił z trzaskiem.

– Zostań na zewnątrz i dzwoń po pogotowie – krzyknął.

Zaczerpnął głęboko tchu i wszedł do środka, a po chwili wyłonił się z Victorią na rękach. Ułożył ją na ziemi.

Charlotte przyglądała się jej uważnie, czekając na połączenie z dyspozytorem. Ani śladu obrażeń. Victoria żyła. Chyba spała. Nienaturalnie głębokim snem.

– Kolejne przedawkowanie? – Charlotte spojrzała przerażona na Maxa.

– Nie – odparł. – Powiedz, że mamy zatrucie tlenkiem węgla. I niech oprócz karetki przyjedzie policja. To była próba zabójstwa.

Rozdział 47

Ktoś usiłował zamordować Victorię, majstrując przy starym piecyku i ustawiając go tak, żeby czad zostawał wewnątrz przyczepy – tłumaczył Max. – Tlenek węgla jest bezwonny, a w przyczepie nie ma wykrywacza. Victora po prostu położyła się spać. Gaz zbierał się w domu. Stare przyczepy cieszą się z tego powodu złą sławą.

– Ale tym razem to nie był nieszczęśliwy wypadek. – Charlotte wzdrygnęła się.

– Nie. Morderca wiedział, co robi. I bardzo starał się upozorować wypadek.

Siedzieli w małej kafejce na obrzeżach miasteczka. Victora leżała na OIOM-ie w miejscowym szpitalu. Nie wiadomo jeszcze, kiedy odzyska przytomność – o ile w ogóle. A jeśli nawet, zapewne niewiele będzie pamiętała.

Policjanci nie do końca uwierzyli w hipotezę usiłowania zabójstwa. Charlotte słyszała, jak mamrotali między sobą, że w starych przyczepach czasem dochodzi do takich wypadków. Ktoś inny zauważył, że w tym konkretnym wypadku przyczepa popadła w ruinę, gdy właścicielka przeniosła się do Seattle. Inny funkcjonariusz wyraził przypuszczenie, że to pewnie bezdomni, którzy majstrowali przy grzejniku w nadziei, że zadziała bardziej skutecznie.

– Gdybyśmy nie przyjechali w ostatniej chwili, lokalne władze uznałyby to za wypadek – stwierdziła Charlotte.

– Pewnie tak. Victoria nadal jest w niebezpieczeństwie. Słyszałaś, co mówił lekarz. Nie wiadomo, kiedy odzyska przytomność.

– Cóż, przynajmniej ma szansę – odparła Charlotte. – Dzięki Bogu, że przyjechaliśmy tu tak wcześnie. Jeśli przeżyje, to dzięki tobie, Max.

Nie słuchał. Widziała, że w tej chwili co innego przykuło jego uwagę.

– Była tu już od kilku dni – myślał na głos. – Ale piecyk nawalił dopiero wczoraj.

Charlotte przyglądała mu się uważnie.

– Co sugerujesz?

– Że morderca był tu wczoraj.

– Jak mógł majstrować przy piecyku bez jej wiedzy?

Max z namysłem stukał palcami w kubek.

– Może tak samo jak z Louise. Pewnie najpierw podał jej narkotyk, ale tym razem to nie była zabójcza dawka. A kiedy straciła przytomność, morderca zajął się piecykiem, licząc, że jej śmierć wszyscy uznają za nieszczęśliwy wypadek.

– Nic dziwnego, że członkinie klubu inwesterek panikują – zauważyła Charlotte.

Max spojrzał na nią.

– Jak myślisz, Jocelyn ma dość wiedzy technicznej, żeby zrobić coś takiego?

– Nawet tak nie żartuj. Jocelyn nie jest morderczynią.

– Zdaję sobie sprawę, że święcie wierzysz w jej niewinność. Ale ja muszę brać pod uwagę wszystkie scenariusze. Posłuchaj mnie. Jak myślisz, potrafiłaby majstrować przy piecyku?

Charlotte zmusiła się, by to przemyśleć.

– Nie wiem. To bardzo skomplikowane?

– Nie, jeśli wiesz, co robisz.

Charlotte westchnęła.

– Ja nie miałabym pojęcia, jak się za to zabrać, ale Jocelyn jest ode mnie o wiele lepsza w kwestiach technicznych. Lubi prace ręczne. Sama dba o swój samochód i motocykl, ma patent sterniczki. I sama przeprowadza u siebie wszelkie remonty. Umie posługiwać się bronią. Tak, chyba dałaby sobie z tym radę, ale znam ją. Uwierz mi. Nie zamordowała najlepszej przyjaciółki i nie chciała zabić Victorii.

Max upił łyk kawy i odstawił kubek. Spojrzał w okno, za którym szalał sztorm. Miał lodowaty wzrok.

– Ktoś, kto wiedział, że Jocelyn zna się na pracach ręcznych, zorganizował to wszystko tak, żeby gdyby ktoś zaczął podejrzewać sabotaż, pomyślałby właśnie o niej – powiedział. – Albo zabójca uznał, że nikt nie zainteresuje się piecykiem. W każdym razie wszystko wskazuje na to, że Victoria знаła zabójcę.

– Max – prosiła. – Jeśli naprawdę uważasz, że Jocelyn odbiło, powiedz mi to szczerze.

Patrzył jej w oczy.

– Wiesz, co uważam? Że musimy zacząć od samego początku.

– Masz na myśli zabójstwo Louise?

– Nie, mam na myśli gwałt na Jocelyn. Jedno wiemy na sto procent – była przekonana, że zrobił to ktoś z uczelni. Ten detektyw, z którym rozmawialiśmy w Loring, Atkins, też jest tego zdania. Wspominał, że zaczął przesłuchiwać mężczyzn z kampusu, gdy Briggs stwierdził, że są naciski na policję, żeby dali sobie spokój, a potem zaginęło pudełko z dowodami.

– I tym samym sprawę zamknięto. I co z tego?

– Mówiłaś, że Jocelyn zawsze obstawała, że gwałciciel był studentem.

– Tak.

– Dlaczego wykluczyła innych mężczyzn, którzy wtedy mogli być na kampusie? Dozorców? Ochroniarzy? Wykładowców?

– To były takie drobiazgi. Nie pamiętam wszystkich, ale powtarzała, że napastnik nosił rękawiczki – eleganckie skórzane rękawiczki do samochodu, nie robocze rękawice. Kiedy zakładał jej worek na głowę, dostrzegła przez moment jego buty. Drogie, modne buty do biegania. Mało mówił, ale ilekroć się odzywał, miała wrażenie, że jest mniej więcej w jej wieku.

– Każdy nowy rocznik na uczelni czy w szkole średniej wytwarza własny slang, własny wzorzec wypowiedzi.

– No właśnie. – Charlotte upiła łyk kawy. – I jeszcze to, że zaplanował wszystko, dosłownie wszystko. Miał prezerwatywę.

– Nie chciał zostawiać śladów.

– Ścieżka, na której ją zaatakował, to skrót do biblioteki, z którego korzystali tylko mieszkańcy jej akademika. Napastnik o tym wiedział. Jak mówiłam, to było mnóstwo drobiazgów, ale kiedy się to wszystko zbierze razem, wniosek jest jeden – to był ktoś z kampusu. Student.

– Atkins chyba też tak uważał. – Max odstawił kubek na stół. – Musimy przejrzeć nazwiska z listy Jocelyn.

– Jest ich prawie trzysta. Jak chcesz znaleźć coś, co umknęło Jocelyn?

– Witaj w moim świecie – mruknął. – To ten moment, w którym dochodzenie staje się żmudnym ślęceniem.

– Krok po krocisku, tak?

– Tak jest. Sprawdzimy każdego faceta z listy.

– Czego szukamy?

– Musimy wiedzieć, kim są i co robią.

– Masz rację, to będzie żmudna dłubanina.

– Niekoniecznie. Pomoże nam jedna z najlepszych, najbardziej skutecznych organizacji na świecie.

– Masz kogoś w FBI? – Przyglądała mu się z niedowierzaniem.

– Tak, ale nie będziemy zawracać sobie tym głowy. FBI zajmuje drugie miejsce, zaraz za szczegółowymi danymi, które znajdziesz w sekretariacie pierwszego lepszego college'u. Z mojego doświadczenia nikt nie ma lepszych danych.

Charlotte skinęła głową.

– No tak. Utrzymują kontakt.

– To też, ale głównie chodzi o pieniądze. Jak myślisz, jakim cudem uczelnie zdobywają środki na dalsze funkcjonowanie? Absolwenci wspierają je datkami. Więc tak, sekretariaty śledzą swoich absolwentów sokolim wzrokiem.

– Jasne. Ale i tak trochę potrwa, zanim sprawdzimy trzystu facetów.

– Będziemy mieli wsparcie.

– Czyje?

– Mojego ojca.

– Pana Salinasa?

– Anson Salinas był swego czasu świetnym gliniarzem. A tak się składa, że nie ma nic do roboty.

– Dobra, już rozumiem. Ale nadal nie pojmuję, czego szukamy.

– Wzorca – odparł Max. – Zawsze wzorca.

Rozdział 48

Jak widzę, zdążyłeś na moje urodziny – zauważyła Marian Greenslade.

Trey uśmiechnął się i pocałował ją w policzek.

– Mówiłem ci, nie przegapiłbym tego za żadne skarby świata – odparł.

Przyjęcie urodzinowe było bardzo oficjalne. Odbywało się w klubie profesorskim college'u Loring. Wykładowcy zawsze witali przedstawicieli rodziny Greenslade z otwartymi ramionami. Jakby nie było, to właśnie oni płacili za wszystko, poczynając od profesorskich pensji, po książki w bibliotece.

Marian Greenslade była w centrum zainteresowania. Jak zwykle, pomyślał Trey. Gdziekolwiek weszła, wszyscy padali jej do nóg. Była niekwestionowaną królową, uczelni i miasta. Powszechnie wiadomo, że to ona tak naprawdę dzierży ster w firmie. I podchodzi do tego bardzo poważnie.

W młodości była piękna, a z czasem z pięknej stała się imponująca. Dzisiaj świętowała osiemdziesiąte urodziny. Nadal miała jasny umysł i lodowate spojrzenie, przynajmniej zdaniem Treya.

– Może szampana? – zapytał.

– Bardzo chętnie. Tak przy okazji, jest tu Angela Caron.

– To jasne. Angela nie przepuściłaby takiej okazji.

Angela to kobieta, którą Marian osobiście namaściła na jego żonę, a jej ambicja biła na głowę jej urodę – a to nie lada wyczyn. Dawała mu jasno do zrozumienia, że jest zainteresowana – nie nim, ale pieniędzmi Greenslade'ów. Coś mu mówiło, że się dogadają.

Wędrował przez tłum, co chwila przystawał, żeby porozmawiać z lokalnymi dygnitarzami. Teraz, po śmierci ojca, to on był twarzą rodzinnej firmy. Jak Marian miał rolę do odegrania i robił to bardzo dobrze.

Podszedł do baru, zamówił szampana dla babki i whisky dla siebie. Musiał się jakoś podreperować. Czekало go ciężkie popołudnie.

Wziął alkohol, odwrócił się i zobaczył uśmiechniętą Angelę. Odpowiedział tym samym. Naprawdę piękna, a w wieczorowej kreacji, jak teraz, ucieleśnienie blichtru. Wszyscy mężczyźni obserwowali ją ukradkiem. I niejedna kobieta.

– Widzę, że jednak zdążyłeś – odezwała się. – Obawiałam się, że będę musiała tłumaczyć twoją nieobecność. Sprawy w Seattle poszły dobrze?

– Wszystko pod kontrolą – odparł. Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów i nieco ocieplił swój uśmiech. – Wyglądasz wspaniale. Najpiękniejsza kobieta na przyjęciu. I najinteligentniejsza.

Angela roześmiała się lekko, kusząco.

– Nie mów tego przy babce. Uważa, że to ona jest tu najmądrzejsza.

Uśmiechnął się.

– Chodź, razem ją w tym utwierdzimy. Wiesz, jak lubi tego słuchać.

– Oczywiście.

Razem szli przez tłum. Wszyscy się za nimi oglądali. Trey rozkoszował się tą chwilą.

Nie tylko Angela przykuwała uwagę. Dzisiaj po raz pierwszy występował w roli faworyta do tronu. Już nie krył się w cieniu starego drania. Był gotów przejąć stery jednej z najbardziej znanych firm na północnym zachodzie. Król umarł, niech żyje król.

– Nie odwracaj się teraz, ale kuzyn przygląda ci się z taką miną, jakby ziemia osuwała mu się spod nóg – szepnęła Angela.

Trey zerknął dyskretnie. I rzeczywiście, Charles przewiercał go morderczym spojrzeniem. Trey uśmiechnął się szeroko. Charles odwrócił się i wrócił do rozmowy z jednym z wykładowców.

– To akurat nic nowego – zauważył.

– Chce zająć miejsce twojego ojca – rzuciła Angela.

– Nie ma szans.

Angela uśmiechnęła się z satysfakcją.

– To prawda.

Z czasem sprzeda się Loring-Greenslade, pomyślał Trey. Nie chciał iść w ślady ojca i do końca życia ślęczeć nad wykresami. Na razie jednak firma stanowiła doskonały punkt wyjścia, panel kontrolny jego losu.

Bo właśnie tego zawsze pragnął, o tym marzył – kontrola nad wszystkim. I teraz wreszcie miał to w zasięgu ręki.

Najpierw jednak musi znaleźć pudełko z dowodami i rozprawić się z kobietami, które komplikują mu życie. Strategia to podstawa.

Rozejrzył się. Charles stał do niego tyłem.

Trey uśmiechnął się pod nosem. Nie masz szans, kuzynie. Babcia zawsze wołała mnie.

Rozdział 49

Telefon Maxa rozzwonił się, burząc przyjemną ciszę, która zapadła w saloniku Charlotte. Podniosła głowę ze swojego miejsca na kanapie, gdzie siedziała, sporządzając notatki.

Max wpisywał nazwiska do komputera. Przerwał, sięgnął po telefon, zerknął na wyświetlacz.

– Posterunek policji w Loring – oznajmił.

Odebrał.

– Cutler – rzucił.

Słuchał uważnie. W pewnym momencie zmarszczył brwi, wyjął notes z kieszeni, sięgnął po długopis i zaczął pisać.

– Tak – mruknął. – Dzięki za informacje, Walsh. Nie, nie mamy nic konkretnego. Tak, nadal badam tę sprawę. Oczywiście. Dzięki.

Rozłączył się i spojrzał na Charlotte.

– Roxanne Briggs zniknęła – powiedział. – Walsh pojechał dzisiaj do niej, żeby zadać kilka pytań. Nie było jej w domu, ale nie było też śladów przemocy. Najwyraźniej spakowała się i wyjechała.

– Pewnie spanikowała po śmierci męża. Jakby nie było, spędziła z nim wiele lat. Pewnie znała jego tajemnice.

– Cały czas myślę o czasie – odparł Max. – Zobacz, to wszystko dzieje się ostatnio, nagle, i jednocześnie ma związek z napaścią na Jocelyn sprzed lat. Jakby pękła tama trzymająca przeszłość w ryzach.

– Myślisz, że te lawinę wywołało jedno wydarzenie?

– Tak. Nie wiem, co to było, ale wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku miesięcy. A kiedy to znaję, znaję wzorzec.

Wbiła wzrok w listę.

– Masz rację, jeśli chodzi o absolwentów. Bez problemu zalogowałam się jako Jocelyn. Posuwamy się do przodu, ale za wolno.

– Czas ściągnąć posiłki.

Podniosła głowę.

– Kogo?

– Anson jest dobry w te klocki.

Rozdział 50

Na pewno mam to zrobić? – Reed Stephens zamknął folder, który Max położył mu na biurku. – Nie jesteś tej rodzinie nic winien, nic a nic.

Max zabijał czas, przeglądając poranną gazetę. Teraz odłożył ją i wstał.

Biuro Reeda mieściło się w wieżowcu w centrum miasta. Specjalizował się w prawie cywilnym. Nie był gwiazdą miejscowych korporacji, ale pomógł niejednej małej firmie rozwinąć skrzydła.

Co ważniejsze, cieszył się szacunkiem kolegów po fachu. I Max na to liczył. Charlotte miała rację. Każdy rozsądny prawnik posłucha, co Reed ma do powiedzenia.

– Nie przychodzi mi do głowy inny pomysł, by Davis Decatur przejrzał te dane – powiedział.

Reed skinął głową, wstał, podszedł do okna.

– Znalazłeś sporo na tego Simona Gatleya, wystarczająco, żeby zainteresowali się nim federalni. Czemu nie zaczniesz od nich?

– Wiesz, jak działają. Jeśli w ogóle się za to zabiorą, dochodzenie potrwa kilka lat. Poza tym wolą duże, spektakularne sprawy. Gatley jest na tyle bystry, że nikomu nie rzuca się w oczy. Jasne, część inwestorów straciła pieniądze i prędzej czy później jego piramida runie, ale aresztowanie go w tej chwili nikomu nie przyspieszy kariery.

– Fakt. – Reed skinął głową.

– Niech inny detektyw sprawdzi wszystko w tej teczce. Ja sam nie pójdę do Decatura. Uważa, że chcę się wkręcić do rodziny, że zależy mi na jego pieniądzach.

Reed odwrócił się.

– Davis Decatur zapewne posłucha swojego prawnika. Może nawet uwierzy w to, co tu wyczyta. Ale nie jego córka. Wiesz, co mówią. Miłość oślepia.

– Tu akurat już nic nie mogę zrobić.

– Dobra. Dowiem się, kto prowadzi sprawy rodziny Decatur i umówię się z ich prawnikiem, ale nie gwarantuję, że wszystko ułoży się po twojej myśli.

– Mam tego świadomość. Dzięki, Reed.

Max szedł do drzwi.

– Mam dla ciebie zlecenie – zawołał za nim Reed. – Od firmy. Masz czas?

– Chwilowo nie bardzo.

– Pozwól, że udzielę ci rady, przyjacielu. Jesteś nowy w tej branży. Nie odrzucaj takich zleceń, to podstawa twojej działalności.

– Reed, jestem jednoosobową firmą. Wiesz przecież.

– Więc może czas kogoś zatrudnić. A skoro już o tym mowa, znajdź sobie recepcjonistkę. Musisz mieć kogoś, kto zajmie się potencjalnymi klientami, ledwie

staną w progu, inaczej nic z tego nie będzie.

– Doceniam twoje rady, Reed, ale w tej chwili nie mam głowy do logistyki i strategii.

– Zajmij się tym. I to szybko.

– Dobrze.

Rozdział 51

Madison Benson zamówiła następane martini i po raz kolejny zerknęła na wyświetlacz telefonu. Może dostała wiadomość, tylko najzwyczajniej w świecie nie słyszała sygnału? To możliwe, zważywszy na poziom hałasu w barze.

Nic. Przez chwilę wpatrywała się w wyświetlacz, starając się nie zwracać uwagi na bolesną mieszankę gniewu i zazdrości, która podchodziła jej do gardła. No dobrze. Jest wściekła. I ma ku temu prawo. Wszystko wskazywało na to, że ją wystawił. Ale nie może okazać zazdrości. Inne mogą sobie pozwalać na taką słabość, ale nie ona. Nie jest zazdrosna, tylko wściekła. A to duża różnica.

Ale byli też współnikami, nie tylko kochankami.

Ile czasu mu jeszcze dać? Musi wyznaczyć limit i się go trzymać.

Wiedziała, że mało prawdopodobne, by poznała w życiu jeszcze jednego mężczyznę, który wzbudzi w niej taką namiętność. Podniecało ją w nim wszystko. Był silny, równie silny jak ona, i gotów zrobić wszystko, by osiągnąć cel. Był charyzmatyczny i bezwzględny; jakby dla niej stworzony. Pochodzili z różnych światów, ale wierzyła święcie, że rozumieją się doskonale. Że łączy ich więź.

Dorastała w ubóstwie, jako córka samotnej matki uzależnionej od narkotyków i facetów ze skłonnością do przemocy. Jeden z nich nie miał oporów, żeby zgwałcić śliczną jasnowłosą córkę swojej kochanki.

Ale uporała się z przeszłością. Szybko się przekonała, że uroda i inteligencja dają władzę, i wiedziała, jak jej używać. Była kowalem własnego losu, wiedziała, czego pragnie, i nie wahała się po to sięgać.

Gdy dorosła, skutecznie zaplanowała i doprowadziła do końca kilka przekrętów, ale szczególną satysfakcję sprawiało jej karanie gwałcicieli i damskich bokserów. Ilekroć załatwiały jednego z drani, przypominała sobie dupka, który ją zgwałcił. Nie żył już od lat. Z największą przyjemnością zaczekała na niego na parkingu pod knajpa pewnej nocy. Upewniła się, że wie doskonale, kim jest, zanim go zastrzeliła.

Sączyła martini i rozważała opcje. Postanowiła dać kochankowi jeszcze dwadzieścia minut. Akurat tyle, żeby dopiła drinka. Jeśli w tym czasie się nie zjawi, wyjdzie. Nie będzie miała wyboru. Musi być równie bezwzględna jak on. Nie pozwoli traktować się gorzej, jest mu równa. Nie jest własną matką.

Wszedł do baru pół godziny później. Nadal siedziała, wymyślając niezliczone wymówki, byle przeciągnąć czekanie poza wyznaczone dwadzieścia minut.

Patrzyła, jak się zbliża. Kiedy w końcu do niej podszedł, serce waliło jej jak oszałałe.

– Przepraszam za spóźnienie – rzucił Trey Greenslade. – Urodziny starej się przeciągnęły.

Obdarzyła go lodowatym uśmiechem.

– Już miałam iść.

Usiadł koło niej.

– Dobrze, że poczekałaś – odparł. – Miałem ciężki dzień. Muszę się napić.

Potrzebuję ciebie. I twojej pomocy.

– O co chodzi?

– Muszę przejąć kontrolę nad sytuacją, zanim ten cholerny detektyw, który bada śmierć Flint, narobi mi kłopotów. A to oznacza, że musimy ściągnąć tu Jocelyn Pruett. Mówiłaś, że możesz to zrobić.

– Może. – Ona też potrafiła negocjować. – Co z tego będę miała?

Uśmiechnął się.

– Co powiesz na miejsce w radzie w nadzorczej Loring-Greenslade?

Przemyślała to. Keyworth przyniesie im duże pieniądze – największe, jakie kiedykolwiek zarobiła, ale to i tak nic w porównaniu z tym, co można zarobić w branży farmaceutycznej, a Loring-Greenslade to znana firma.

– Dobrze – mruknęła. – Ale chcę też udziały w firmie. Pakiet kontrolny.

Trey uniósł brwi.

– Ostro grasz – stwierdził. Uśmiechnął się. – To mi się w tobie podoba.

– Więc mamy umowę?

– Tak.

Za łatwo. Miał ją za idiotkę? Był przekonany, że to on nią manipuluje, ale w rzeczywistości było odwrotnie.

Przeszył ją dreszcz podniecenia. Może i Trey jest najbardziej ekscytującym facetem, jakiego poznała, ale i tak mu nie ufała. Nigdy w życiu nie zaufa mężczyźnie.

Pod króciutką spódniczką miała miniaturowy dyktafon. W domu przegra z niego wszystko na twardy dysk, do folderu, w którym zbierała haki na Treya Greenslade'a.

Przy odrobinie szczęścia nie będzie musiała korzystać z tych danych, żeby się chronić, ale ostrożności nigdy za wiele. A kiedy sypiasz z diabłem, warto mieć asa w rękawie.

Rozdział 52

Jezu, Jocelyn, jak się cieszę, że cię widzę – zapewniła Madison. – Bałam się, że nie żyjesz jak Louise. Wiesz, że Emily zapadła się pod ziemię, prawda? Nie mam pojęcia, czy w ogóle żyje.

– Wysłałam jej sygnał – odparła Jocelyn. – Pewnie się ukrywa. To był plan, twój plan. Co tu się dzieje?

– Victorii plan nie wyszedł na dobre. Leży na intensywnej terapii na wybrzeżu.

– O Boże. Co się stało? Jak ją znalazł?

– Nie mam pojęcia. Mówią, że to zatrucie tlenkiem węgla, że w starych przyczepach często do tego dochodzi, ale zważywszy na wszystko, co się działo, nie bardzo w to wierzę.

– Słuchaj, jestem tu, bo użyłaś hasła, którego, jak ustalałyśmy, miałaś użyć, tylko jeśli się okaże, że mojej siostrze grozi niebezpieczeństwo – odezwała się Jocelyn. – Ale po otrzymaniu wiadomości wykonałam kilka telefonów, między innymi do ośrodka Deszczowe Ogrody i na recepcję jej budynku. Z Charlotte wszystko w porządku, jest w pracy. Więc o co tu chodzi, do cholery?

Jocelyn była bardzo ostrożna. Przejechała dwie godziny wcześniej, przed ustalonym czasem. Przyjechała koło przydrożnej restauracji i zostawiła wynajęty samochód i podrobione prawo jazdy na bocznej drodze. Wróciła piechotą, przez las, i czekała na Madison.

Dochodziła piąta. Zmierzch zapadał szybko, ale i tak zdążyła zobaczyć, że Madison jest sama. Na parking wjechał tylko jej wóz. I wyraźnie odetchnęła z ulgą, gdy Jocelyn wyszła z lasu na jej spotkanie.

Teraz siedziały przy małym stoliku i piły kiepską kawę z papierowych kubków. Jocelyn jak przez mgłę czuła głód, ale zapach starego tłuszczu z kuchni nie zachęcał do jedzenia. Przypomniała sobie, że w samochodzie ma kawałek sera i kanapki z ogórkiem.

– Właściwie nie wiem, o co chodzi z Charlotte – przyznała Madison – ale obawiam się, że wpakowała się w tarapaty. Kilka dni temu otarła się o śmierć.

Żołądek Jocelyn fiknął salto.

– Jak to?

– Wiedziałaś, że połączyła siły z prywatnym detektywem?

– Po co? Myśli, że jestem na Karaibach.

– Wie, że nie ma cię w klasztorze.

– Cholera. To wszystko bardzo się komplikuje. Chciałam ją trzymać od tego z daleka. Skąd wie, że nie jestem w klasztorze?

– Wina Cutlera. Tego prywatnego detektywa. To on wciągnął ją w to wszystko. Zatrudnił go kuzyn Louise, żeby przyjrzał się okolicznościom jej

śmierci. I Cutler jakoś połączył to z twoim zniknięciem.

– Ale jak? To bez sensu.

– Wiem tylko, że wciągnął Charlotte w dochodzenie – odparła Madison. – Jest gorzej. Nie wiadomo dlaczego pojechali do Loring.

– Do Loring? Po co?

– Pewnie żeby pogadać z Eganem Briggsem. I dlatego Charlotte omal nie zginęła.

Jocelyn zakręciło się w głowie. To był zawsze jej największy koszmar, a teraz jakimś cudem obsadziła Charlotte w roli głównej.

Musi się skoncentrować. Musi myśleć.

– Ale dlaczego pojechali do Briggsa?

– Chcieli z nim porozmawiać o Louise.

– Co niby mógłby o niej wiedzieć? Nigdy się nawet nie spotkali.

– A jednak kiedy Cutler i Charlotte zjeżdżali z góry, Briggs wepchnął ich do rzeki swoim samochodem.

– Boże.

Za dużo tego. Przytłaczało ją to wszystko. Naraziła wszystkich na niebezpieczeństwo. Charlotte także.

Lawina nieszczęść to jej wina. To ona nie potrafiła zostawić przeszłości w spokoju.

– Już jechałam na lotnisko – mówiła Madison. – Uciekam do Meksyku. Wyjechałabym wcześniej, ale chciałam cię uprzedzić.

– Dziękuję. Prawdziwa z ciebie przyjaciółka. – Jocelyn masowała skronie, ale zawroty głowy przybierały na sile. – Przynajmniej... przynajmniej Charlotte jest z tym całym Cutlerem. Nie jest sama.

– To prawda, ale musisz też wiedzieć, że drań, który nas ściga, robi wszystko, żebyś znalazła się w kręgu podejrzeń. I Cutler chyba uważa, że to ty za tym stoisz.

– Co? – Jocelyn uniosła głowę tak szybko, że bała się, że zemdleje. – Ale dlaczego? Niby dlaczego miałabym zabijać Louise i was wszystkie?

– Keyworth – odparła Madison.

Jocelyn poczuła wielki ciężar na barkach.

– Ja... nie rozumiem.

– Początkowo miałyśmy dzielić zysk na pięć. Teraz na cztery. Jeśli Victoria umrze, na trzy.

Jocelyn zaparło dech w piersiach.

– Nie myślisz chyba, że to ja zabiłam Louise i chciałam zabić Victorię – wyszeptała.

– Oczywiście, że nie. Gdybym tak uważała, nie chciałabym się z tobą spotkać. Ale ostatnio dużo myślałam o Louise, nie o Victorii. Zdaję sobie sprawę,

że zabrzmiała to jak jakaś wariacka teoria spiskowa, ale moim zdaniem wśród nas jest zdrajczyna. Od samego początku czekała na taką okazję i chce się wzbogacić na Keyworth, pozbywając się innych inwestorek.

Jocelyn zamknęła oczy.

– Emily.

– Pomyśl tylko. Po śmierci Louise, Victorii i mojej zostanieie we dwie. A jeśli uda jej się zwalić winę na ciebie, zabije cię, powie, że działała w samoobronie, i zgarnie całą kasę.

– Nie. – Jocelyn otworzyła oczy. – To nie Emily. To on, ten drań, który mnie zgwałcił. Znajdę go, Madison. Wywabię go z ukrycia i skończę to raz na zawsze.

– Powodzenia, ale ci nie pomogę. Jak powiedziałam, uciekam od tego jak najdalej. Tak, jak ja to widzę, dopóki nie dojdzie do transakcji Keyworth, żadna z nas nie jest w pełni bezpieczna.

Jocelyn pokręciła głową. Nie mogła się skupić, a jednocześnie dręczyła ją gonitwa pomysłów.

– Cutler. – Starła się skoncentrować na jego nazwisku.

Madison zmarszczyła brwi.

– Co z nim?

– Mówiłaś, że miał sprawdzić okoliczności śmierci Louise, a teraz szuka mnie.

– Myśli, że to ty zabiłaś Louise.

Jocelyn upiła łyk kawy w nadziei, że kofeina pomoże jej odzyskać jasność umysłu.

– Może powinnam się ujawnić. Odezwę się do Charlotte, niech wie, że jestem cała i zdrowa. A potem pogadam z tym detektywem. Powiem mu wszystko, co wiem. Połączymy siły. Może znajdziemy drania, zanim znowu kogoś zabije.

Madison spochmurniała.

– Rób, co chcesz, ale uprzedzam, że w tym tempie bardziej prawdopodobne, że to ciebie zamkną za morderstwo. Charlotte oczywiście uwierzy w twoją niewinność, ale nie Cutler. Wydaje mi się zimnym draniem, szczerze mówiąc.

– Zaryzykuję – mruknęła Jocelyn. Znowu poczuła mdłości. Koniecznie musi coś zjeść. – To moja wina. To ja wywołałam wilka z lasu.

– Jak to?

– To długa historia. Nie teraz. Muszę się skontaktować z Charlotte, muszę ją jakoś chronić.

– Jak uważasz. – Madison zerknęła na zegarek i wstała. – Czas na mnie. Przyniosłam gotówkę, pomyślałam, że może kończy ci się kasa, a wiem, że wolisz nie ruszać kart kredytowych.

– Nie wiem, jak ci dziękować.

Jocelyn odstawiła kubek na stół i podpierając się dwiema rękami, z trudem

wstała. Była wyczerpana. Od wielu dni źle sypiała i teraz płaciła za to cenę. Wiadomość od Madison przelała czarę.

Szła za przyjaciółką do drzwi. Potknęła się na progu.

Madison przytrzymała ją za łokieć.

– Wszystko w porządku?

– Tak. – Jocelyn odetchnęła głęboko. – Po prostu jestem zmęczona.

– Gdzie twój samochód?

– Trochę dalej. Chciałam się upewnić, że nikt cię nie śledzi.

– Nikt mnie nie śledzi. Uwierz mi, przez całą drogę z Seattle gapiałam się w lusterko.

Jocelyn zdała sobie sprawę, że drętwieje jej całe ciało.

– Madison, muszę usiąść.

– Proszę bardzo. – Madison otworzyła drzwi swojego samochodu i wepchnęła ją na tylne siedzenie. – Podwożę cię do twojego auta.

Jocelyn usiłowała się skoncentrować. Na próżno. I nagle na chwilę odzyskała jasność myślenia.

– Ty suko – szepnęła. – Odurzyłaś mnie. Kawa.

– Nie opieraj się, Jocelyn. Śpij.

– A obudzę się jeszcze? – zapytała, nagle świadoma, że bełkocze.

– Oczywiście, że się obudzisz, ale teraz śpij. Połóż się.

Przy tych słowach pchnęła ją lekko. Jocelyn osunęła się na bok. Przez chwilę wpatrywała się w tył przedniego fotela i usiłowała zrozumieć, jak mogła być tak głupia.

Zawsze uważałam Charlotte za naiwną, a kto tymczasem wyszedł na królową frajerek? Wszystko poszło nie tak. Oby tylko tajemniczy Max Cutler dopilnował Charlotte. Sorry, mała. Spieprzyłam sprawę.

Rozdział 53

Max rozparł się na krześle i przeglądał notatki. Podzielili listę nazwisk między niego, Charlotte i Ansona, odpalili komputery i zabrali się do roboty, sprawdzając każdego po kolei.

Siedzieli w jego biurze, w małym kantorku, w którym już przy trzech osobach robiło się ciasno. Stały tu tylko trzy krzesła – dla niego i dwójki klientów. Przez otwarte drzwi widać było malutką recepcję – pustą, bo nikogo nie zatrudniał.

Charlotte milczała, kiedy kilka godzin wcześniej otworzył drzwi i wprowadził ją do środka, ale miał świadomość, że jego biuro, podobnie jak jego ostatni samochód, nie robi najlepszego wrażenia.

Roślina w doniczce w kącie to spadek po poprzednim lokatorze. Chyba już niewiele jej zostało. Meble pochodziły z wypożyczalni i było to doskonale widać. Do tego nagie ściany i pusta biblioteczka.

Reed Stephens ma rację, pomyślał. Musi mieć kogoś na recepcji. W sumie musi mieć też lepsze biuro. I pieniądze, żeby zapłacić za jedno i drugie. Czyli musi brać więcej zleceń korporacyjnych.

Ale najpierw musi znaleźć igłę w stogu siana – mordercę na liście trzystu mężczyzn podejrzanych o gwałt i morderstwo.

Była to praca żmudna, ale prosta – stara, dobra śledcza robota, jak to rozumieją gliniarze i dziennikarze starej daty. Roczniki uczelni były dostępne w Internecie, i to był doskonały punkt zaczepienia. To była kopalnia informacji. Listy absolwentów i spisy sponsorów uczelni okazały się istną skarbnicą wiedzy.

Czego nie wiedzieli, znajdowali na portalach społecznościowych i w wyszukiwarkach internetowych. Mieli bieżące adresy właściwie wszystkich podejrzanych i zdjęcia satelitarne ich domów. W końcu żaden z tej listy nie chciał się ukryć.

Jak powiedział Max, gdy się szuka, to się znajdzie.

– Oni wszyscy mają pewne cechy wspólne – zauważył. – Wszyscy studiowali w Loring College w tym samym czasie co Jocelyn. I nadal mieszkają na zachodzie stanu Waszyngton.

Charlotte podniosła głowę znad notatek.

– To pewnie ważne ze względu na te trzy gwałty i dwa zabójstwa po tej stronie gór Cascades.

– Wielu facetów z listy mieszka w Seattle i okolicach, sporo też na wschodzie – w Bellevue, Redmond, Issaquah, Kirkland. Kilku zostało w Loring – dodał Anson.

– Większość pozakładała rodziny. – Charlotte w zadumie stukała długopisem w notatnik. – Mniej więcej jedna piąta z nich się rozwiodła, wielu ożeniło się ponownie. Zawodowo nie łączy ich nic. Są wśród nich inżynierowie, technicy,

przedstawiciele handlowi, doradcy, architekci, cały wachlarz. Jeden jest trenerem osobistym. Kilku studiowało prawo, trzech zostało lekarzami.

Max wstał, podszedł do małego okienka, przez które patrzył na ścianę sąsiedniego budynku. Naprawdę musi poszukać lepszego biura, stwierdził.

– Trzy gwałty i dwa morderstwa, do których Jocelyn i Louise dotarły i zaznaczyły na mapie, miały wspólne elementy – zauważył. – Po pierwsze, za każdym razem w grę wchodziły narkotyki. I każda z ofiar przypominała Jocelyn taką, jaka była nieco ponad dziesięć lat temu. Ten sam wiek, te same włosy, ładne młode kobiety.

– Nie do końca. – Anson zmrużył oczy. – Żadna z nich nie studiowała.

Max odwrócił się na pięcie.

– Masz rację. Nie studiowały, ale pracowały, czyli miały uregulowany tryb dnia.

Charlotte podniosła głowę.

– Przewidywalny.

– Co to były za prace? – zainteresował się Anson.

Max wrócił do biurka i przeglądał notatki.

– Jedna ze zgwałconych była recepcjonistką w hotelu, druga kelnerką, trzecia pracowała w szpitalu. Wszystkie pracowały w trybie zmianowym.

– Czyli w nocy były narażone na niebezpieczeństwo – podsumował Anson. – A te dwie, które jakoby przedawkowały?

– Już mówię – odezwała się Charlotte. – Jedna była recepcjonistką na izbie przyjęć, druga bibliotekarką.

– Czyli znowu praca wieczorami – stwierdził Max. – Kończyły pracę koło dziewiątej.

– Czyli ofiary mają ze sobą więcej wspólnego niż faceci na liście Jocelyn – mruknęła Charlotte.

– Im więcej wiesz o ofierze, tym więcej wiesz o sprawcy – zauważył Anson.

– No dobra, więc co wiemy o mordercy? – zapytała.

– Za każdym razem znał teren – oparł Max. – Starannie dobierał miejsce ataku. A jednak te punkty są dosłownie rozsiane po całej mapie. Jakim cudem jeden facet tak dobrze zna tyle różnych miejsc?

– Bo spędza tam sporo czasu – odparł Anson.

– Tak, wybierając ofiary, szykując napaść. Nie spieszy się. Ma czas, żeby zaznajomić się z okolicą, a jednak nikt nie zwraca na niego uwagi.

– Jak wilk na swoim terenie – mruknęła Charlotte.

Max poczuł znajomy przyływ adrenaliny.

– Jak przedstawiciel handlowy – szepnął.

Anson gwizdnął cicho.

– Przedstawiciel handlowy. Tak jest. Przedstawiciel handlowy może jeździć

wszędzie. Zatrzymuje się w tych samych hotelach, jada w tych samych knajpach, jeździ tą samą trasą. Co więcej, tu, na zachodzie, jego obszar jest naprawdę niemały.

– Na liście Jocelyn jest ich sporo – zauważyła Charlotte. – Z różnych branż.

– Chyba zawężymy obszar poszukiwań, jeśli weźmiemy pod wagę coś jeszcze, co łączy ofiary – zauważył Max. – Narkotyki.

– W dzisiejszych czasach nietrudno o dostęp do nich – burknął Anson.

– Fakt, ale tak się składa, że to dosyć nietypowe narkotyki, a nie zwykłe dragi z ulicy. Ktoś na liście z dostępem do dopalaczy? Prochów na zamówienie?

Charlotte sięgnęła po notatki. Jedno nazwisko dosłownie przyciągało jej wzrok.

– Trey Greenslade – powiedziała. – Absolwent college’u w Loring rok po tym, jak Jocelyn odeszła. A sądząc po liście sponsorów, rodzina Greenslade jest właścicielem uczelni. Trey pracuje w rodzinnej firmie – Loring-Greenslade Biotech. Zaczął zaraz po studiach, a niedawno odziedziczył firmę. Latami pracował jako przedstawiciel handlowy, rok temu został wiceprezesem.

– Miał całe życie, żeby zaznajomić się z różnymi narkotykami, a związek z firmą to doskonałe alibi – dodał Max. – Jako przedstawiciel handlowy mógł jeździć po całym stanie i spotykać się z lekarzami. A jako wiceprezes mógł umawiać się z księgowymi.

– Niezły trop – przyznał Anson.

– Owszem.

Charlotte podniosła głowę.

– Wiecie oczywiście, że nie mamy żadnego dowodu, że to on. A rodzina Greenslade niepodzielnie rządzi firmą, w której pracuje znaczna część mieszkańców Loring. Sprawują też władzę w miasteczku i pewnie tak samo było dziesięć lat temu.

– A to oznacza, że mieli powód i pieniądze, żeby ukręcić sprawie łeb – podsumował Max.

– Musimy napisać do Jocelyn i modlić się, żeby sprawdziła pocztę – mruknęła Charlotte.

– Trzeba ją ostrzec.

– Tak – przyznał Max. – Musimy też uprzedzić Emily Kelly i Madison Benson, pozostałe inwestorki.

– Madison jest w Seattle, ale Kelly i Jocelyn się ukrywają – zauważył Anson.

– Przecież nie sprawdzają poczty.

– Uciekają, są przerażone – przyznał Max. – Benson też jest na krawędzi. Uwiercie mi, Internet to ich ostatnia deska ratunku. I wszystkie trzy się jej chwycą.

Rozdział 54

Jocelyn Pruett. Po tylu latach znowu się spotykamy. Obudź się, szmato.

Znała ten głos. Od ponad dziesięciu lat nękał ją w sennych koszmarach. Czarujący głos handlarza, który nawet na Alasce sprzeda kule śniegowe. Budził w niej strach, wypełniał żyły adrenaliną i gniewem.

Wykorzystała ten przyływ energii, żeby przedrzeć się przez gęstą mgłę nienaturalnej senności. Wygrała walkę o otwarcie oczu, ale zaraz zamknęła je znowu, oślepiąca światłem latarki.

Z całej siły uderzył ją w twarz.

– Obudź się, powiedziałem.

Powoli uniosła powieki, tym razem ostrożniej, rozejrzała się na boki, żeby uniknąć oślepiającego blasku. Czowała, że leży na zimnej, twardej posadzce. Beton, domyśliła się. Odruchowo chciała wstać, ale wtedy zorientowała się, że ma skrępowane ręce.

Udało jej się usiąść i oprzeć o zimną ścianę.

– Bardzo wszystko skomplikowałeś – stwierdził mężczyzna. – Trzeba ci to przyznać. Ale nigdy nie miałaś szans. Od samego początku nad wszystkim panowałem. Bo widzisz, przez te wszystkie lata miałem cię na oku. W końcu byłaś moją pierwszą. I mało brakowało, a byłabyś ostatnią. Przyznaję, że przez pewien czas umierałem ze strachu, gdy poszłaś na policję i pojechałaś do szpitala na obdukcję. Wcześniej słyszałem zawsze, że większość dziewczyn po czymś takim trzyma buzię na kłódkę. Ale ty byłaś na to za głupia, co? Na szczęście dowody przepadły.

– Zdziwiający zbieg okoliczności, co?

Znowu ją uderzył. Jeszcze mocniej.

– Na twoje nieszczęście pudło po dowodach wypłynęło na powierzchnię – puste. I teraz ty pomożesz mi odnaleźć jego zawartość.

– Co ty opowiadasz?

– Naprawdę nie wiesz, o co w tym wszystkim chodzi, prawda?

Mrużyła oczy, ale nie mogła dostrzec jego twarzy w blasku latarki.

– Kim...? – zaczęła.

– Nigdy się nie domyślałeś, co? I przez te wszystkie lata nie dawało ci to spokoju. Pewnie myślałeś o mnie dzień w dzień. Z nikim nie było ci tak dobrze jak ze mną, prawda?

– Jesteś chory.

Kolejny cios, aż uderzyła głową o ścianę i poczuła krew w ustach.

– Powiedzieć ci coś? – W jego głosie pojawiła się czułość. – Aż do niedawna mnie też z nikim nie było równie dobrze. Mówi się, że człowiek nigdy nie zapomina pierwszego razu. Ale w końcu udało mi się odtworzyć tamten czar.

– Mordując dwie ostatnie ofiary, tak?

– Zabawa stała się nudna. Wszystko było takie proste. Pomyślałem, że warto trochę podkreślić stawkę. Ale właśnie śmierć tych dziwek zwróciła twoją uwagę, prawda?

– Tak. Widzisz, zorientowałam się, że szukasz nowych wrażeń. Latami jakoś trzymałeś się w ryzach, ale kilka miesięcy temu nerwy puściły. Przekroczyłeś niewidzialną granicę i teraz jesteś zwykłym pieprzonym mordercą, a zatem popełniasz błędy. Wiedziałam, że istnieje związek między tymi zgonami a serią gwałtów. I to tylko kwestia czasu, zanim policja też zda sobie z tego sprawę, wiesz o tym, prawda? Bo ty już nie możesz przestać.

Znowu uderzył, tym razem zaciśniętą pięścią. Przygotowała się, ale i tak ból eksplodował, sprawił, że zakręciło jej się w głowie i zebrało na mdłości.

– Panuję nad wszystkim – syknął. – Nie łudź się, że jest inaczej. Zawsze nad wszystkim panuję.

– To świetnie, naprawdę. Ja nie. Zaraz będę rzygać.

Zerwał się na równe nogi i odskoczył.

– Coś takiego, boisz się wymiocin – mruknęła. – Dobrze wiedzieć.

Udało jej się opanować mdłości. Zapamiętała jego reakcję i obiecała sobie, że kiedy przyjdzie co do czego i nie będzie miała innego wyjścia, wymiociny będą jej ukrytą bronią.

– Gdzie dowody? – ryknął.

– Ach, więc o to chodzi. Naprawdę wypłynęły i nie dają ci spokoju. Gdzie były przez te wszystkie lata?

– Briggs je miał. Szantażował nimi mojego ojca.

– Czyli to on mu zapłacił, żeby ukręcił sprawie łeb.

– Sam o niczym do niedawna nie wiedziałem. Stary nic mi o tym nie powiedział, pewnie bał się, że zrobię coś głupiego, na przykład zabiję Briggsa, żeby zamknąć mu gębę. Bo widzisz, szanowny papa nie chciał, żebym trafił do pudła za morderstwo. To mogłoby źle wpłynąć na reputację rodziny. Na firmę Greenslade-Loring. I opinię o świętym Gordonie.

– A niech mnie. Trey Greenslade.

– Nie domyślałaś się, co?

– Spokojnie, jesteś na mojej liście. Która, tak przy okazji, po moim zniknięciu trafi na policję.

No dobra, teraz blefowała. Owszem, był na liście, podobnie jak trzystu innych, ale jej zapiski pewnie nie trafią w ręce policjantów. A nawet jeśli, nic z nimi nie zrobią, ale w tej chwili nie miała nic do stracenia.

– Co to za lista? – zainteresował się.

Uśmiechnęła się chłodno i nie odpowiedziała.

– Kłamiesz, suko.

- Chciałbyś.
- Kłamiesz, przyznaj.
- Oczywiście. Kłamię.

Znowu ją uderzył. Dzwoniło jej w uszach.

– Niepotrzebnie mnie szukałaś – szepnął ochryple. – Powinnaś była zadowolić się wspomnieniem tamtych cudownych chwil sprzed lat.

– Trudno zapomnieć faceta, któremu staje, tylko jeśli grozi kobiecie nożem. Skąd wiedziałaś, że cię szukam?

– Nie wiedziałem, nie od razu. Dopóki nie zapłaciłem pieprzonemu hackerowi z drugiego końca świata, żeby się włamał do twojego komputera, nie miałem pojęcia, że zbierasz na mnie materiały. Od kilku miesięcy obserwowałem twój każdy krok w Internecie. I tym sposobem dowiedziałem się o klubie inwesterek i waszej rozrywce.

– Kiedy zniknęłam, wiedziałaś, że wiem, że ktoś mnie nakrył. Ale dlaczego zabiłaś Louise?

– Bo pojechała do Loring, a oboje wiemy, że mogła to zrobić tylko w jednym celu.

Jocelyn wstrzymała oddech.

- Niby jakim?
- Żeby kupić dowody od Briggsa.
- Oszalałaś.

– Jeśli jeszcze raz to powiesz, poderżnę ci gardło i będzie po sprawie. Mówię ci, Flint kupiła te cholerne dowody, ale potem gdzieś je ukryła. Przeszukałem jej mieszkanie i nagle potem dzwoni Briggs i proponuje mi zakup. Pomyślałem, że może myliłem się co do Flint. Może Briggs wpuścił ją w maliny. Więc spotkałem się z nim. Miał pudełko, a jakże. Pełne śmieci. To mnie oszukał.

– Wykiwał cię.

– Czyli do początku miałem rację – Louise Flint wyjechała z Loring z tymi dowodami. Briggs sprzedał jej zawartość pudełka, a potem, ponieważ był starym durniem i kiepskim szantażystą, chciał mnie nabrać. I słono za to zapłacił.

– Może Louise też oszukał. Nie przyszło ci to do głowy? Bo wszystko sprowadza się do tego, że nie masz tych dowodów.

– Nie – wycedził przez zęby. – Wszystko sprowadza się do tego, że pomożesz mi odnaleźć zawartość tego cholernego pudełka. Bo ma je ktoś, kogo znasz. To jedyne logiczne wyjaśnienie. Flint przekazała je komuś. Może którejś z inwesterek, może twojej siostrze, to już bez znaczenia. Razem je znajdziemy.

– Charlotte w to nie mieszaj. Ona nie ma z tym nic wspólnego.

– Na początku może i tak, ale teraz siedzi w tym po uszy.

– Nie, uwierz mi. Charlotte nie ma pojęcia o zawartości pudełka.

– Lepiej, żeby miała – ze względu na ciebie i na nią. Słuchaj, sprawa

wygląda tak: wypuszczę cię, jeśli dostanę te dowody i własnoręcznie je zniszczę. Moi prawnicy uporają się z wszelkimi oskarżeniami. Ale bez dowodów nie mam wyjścia, muszę się pozbyć i ciebie, i twojej wścibskiej siostrzyczki. Tylko tak zapewnię sobie bezpieczeństwo.

Kłamał, czuła to w kościach. Chciał ją zabić. Na razie jednak lepiej chyba udawać, że mu wierzy.

– Być może pomogę ci ustalić, co Louise zrobiła z zawartością pudełka – zaczęła.

Bez trudu wprawiała głos w drzenie. Nigdy w życiu tak bardzo się nie bała, poza tamtą nocą, gdy ją zaatakował. Ale teraz było jeszcze gorzej, bo teraz zagrażał Charlotte.

– Tak właśnie zrobisz – potwierdził.

Usłyszała szelest, a po chwili oślepił ją błysk flesza i rozległ się charakterystyczny szcęk migawki.

– Dlaczego? – szepnęła.

A przecież wiedziała.

– To się chyba nazywa dowód życia – mruknął. – Muszę przekonać Charlotte, że naprawdę cię mam.

– Nie. Proszę. Nie rób jej krzywdy.

– Sama jest sobie winna. Niepotrzebnie wciągnęła w to wszystko prywatnego detektywa.

Drewniane schody zatrzeszczały pod jego ciężarem. Na górze otworzył drzwi i na tle framugi zobaczyła męską postać.

– Powiedziała, gdzie jest pudełko? No, jak? – zapytał nieznajomy.

Wydawał się zdenerwowany. Roztrzęsiony. Albo zdesperowany, nadmiernie pobudzony.

– Spokojnie – mruknął Trey. – Czeka nas trochę roboty.

– Muszę dostać działkę.

– Więc na nią zapracuj.

Trey nawet nie ukrywał pogardy w głosie. Wyciągnął rękę i odnalazł kontakt. Piwnicę zalało mdłe światło żarówki.

Zamknął za sobą drzwi. Jocelyn słyszała zgrzyt klucza w zamku.

Usiłowała oddychać. Nie panikować, myśleć. Planować.

Głowa ją bolała od jego ciosów. Zmusiła się, by zignorować ból. Wstała z trudem i rozejrzała się po więzieniu.

Jak w większości piwnic, także i w tej od lat składowano niepotrzebne przedmioty. Wędrowała powoli, starając się wszystko zapamiętać. Karimata w rogu i stół z ułamaną nogą. W innym – zwinięty spiwór śmierdzący pleśnią. Karton pożółkłych papierów.

Pewnie nie znajdzie nic, czym będzie mogła zaatakować Treya, który miał

broń. Ale nie ustawała, bo dzięki temu choć przez chwilę nie myślała o najgorszym – że nie może nic zrobić, by chronić Charlotte.

Rozdział 55

Telefon Charlotte ożył. Drgnęła niespokojnie. Spojrzała na wyświetlacz.

– Wiadomość od Madison Benson – powiedziała. – Miałaś rację. Fakt, uważnie czyta wiadomości.

– Co pisze? – zapytał Max.

Charlotte odczytała esemesa na głos: „Muszę się spotkać z tobą i Cutlerem”.

Max położył dłonie na biurku.

– Zapytaj, gdzie i kiedy.

Charlotte wystukała wiadomość.

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast. Charlotte spojrzała na ekran i podniosła głowę.

– Po zmroku, u niej w domu.

Max przemyślał to.

– Czuje się tam bezpieczna, bo ma alarm.

– I broń – przypomniała Charlotte.

– I broń – zgodził się.

– Jocelyn miała jedno i drugie, a i tak musiała uciekać – mruknęła Charlotte.

– Tak – przyznał. – Ciekawe, że Madison nie chce się ukryć.

– Chyba niełatwo przestraszyć Madison Benson – powiedziała Charlotte. – Poznałeś ją. To twarda sztuka.

– A z tego, co mówiliście, chce mieć rękę na plusie tej wielkiej transakcji – odezwał się Anson.

– Tak. I wiemy o niej coś jeszcze – chce, żebyśmy uznali, że to Jocelyn wykańcza po kolei inne inwestorki.

– Fakt. – Charlotte znieruchomiała.

Max wyjął broń z szuflady biurka.

– Może ma ku temu powód.

– Dokąd się wybierasz? – Charlotte przyglądała mu się uważnie.

– Pogadać z Madison Benson.

– Wyznaczyła nam spotkanie na wieczór.

Anson uśmiechnął się pod nosem.

– Nigdy, o ile to możliwe, nie pozwalaj, żeby podejrzany narzucał ci czas i miejsce spotkania.

– No tak. – Charlotte zerwała się z miejsca. – Idę z tobą.

Rozdział 56

Charlotte i Max Cutler byli przekonani, że to Trey zamordował Louise.

Zadziwiający obrót wydarzeń.

Madison przechadzała się po obszernym salonie i myślała gorączkowo, co dalej. Zapewne napisali to samo do Emily, ale to nie problem. Emily była płochliwa jak królik. Na wieść, że ktoś na nią poluje, wpadnie w panikę i nie wychyli nosa z ukrycia. Później się nią zajmie.

Ciekawe, czy Cutler zdradził swoją teorię policji. To mało prawdopodobne, gliniarze zażądaliby dowodów.

Ale ona musiała wiedzieć więcej i dlatego umówiła się z nim i Charlotte.

Stała przy oknie, wpatrzona w panoramę Elliott Bay. Płonęła z podniecenia. W jej żyłach buzowała adrenalina. Od czegoś takiego można się uzależnić, pomyślała. Nic nie może się z tym równać.

Niestety do ich przyjścia były jeszcze trzy godziny. Czas ciągnął się w nieskończoność. Upomniała się, że musi poczynić pewne przygotowania. Victoria i Jocelyn bez wahania wypily kawę. Charlotte i Cutler zrobią to samo.

Problem tylko w tym, co zrobi z ciałami. Ale i o to już zadbała.

Pukanie do drzwi przyprawiło ją o dreszcz. Pobiegła do drzwi.

Zanim poznała Treya, podniecało ją buszowanie w sferze finansjery. Zawsze umiała manipulować ludźmi. Upajała ją świadomość, że jest ze wszystkich najmądrzejsza.

Ale teraz igrała z ogniem i wcale nie chciała przestać.

Doszła do kuchennych drzwi i wyjrzała przez wizjer. Zadrżała, widząc go na progu.

Wyłączyła alarm i otworzyła drzwi.

– Co tu robisz? – zapytała. – Jesteś za wcześnie. Zrobimy to po zmroku. Nie chcę ryzykować, że ktoś zobaczy, jak zabierasz ciała.

Dostrzegła broń, gdy było już za późno.

Morderca strzelił dwukrotnie, choć drugi strzał był niepotrzebny.

Ostatnią myślą Madison była refleksja, że jednak wcale nie jest najmądrzejsza ze wszystkich.

Rozdział 57

Charlotte walczyła z falą mdłości, patrząc na zwłoki na podłodze. Madison Benson leżała w kałuży krzepnącej krwi. Po śmierci wydawała się jakaś mniejsza.

– Dopadł ją – szepnęła. – Znalazł ją i zamordował.

Max kuczał przy zwłokach.

– Dzwon na policję.

Wstał i ruszył dalej, w głąb domu.

– Co ty robisz? – zapytała.

– Chcę się rozejrzeć, zanim zjawią się tu policjanci.

Zniknął w głębi domu. Charlotte odwróciła się tyłem do ciała i sięgnęła po telefon. Dyspozytor odezwał się po pierwszym dzwonku. Zgłosiła morderstwo.

– Tak, zostanę na linii – obiecała.

Nieco później usłyszała zawrozczenie syren. Max wrócił do niej dopiero, gdy pierwszy wóz podjeżdżał pod drzwi. Chciała go zapytać, czy coś znalazł, ale zamknęła usta, bo przypomniawszy sobie, że dyspozytor nadal jest na linii.

– Policja już tu jest – rzuciła do telefonu. – Rozłączam się.

Zrobiła to, nie czekając na sprzeciw w słuchawce. Spojrzała na Maxa.

– No i co? – zapytała.

– Ani śladu komputera i telefonu. Ale mam inne wieści – od Ansona. Greenslade ma żelazne alibi. Przez całe popołudnie był w Loring, na spotkaniach. Jeśli wierzyć jego sekretarce, nadal tam jest.

– Niemożliwe.

– Powiem gliniarzom prawdę, że badam okoliczności śmierci Louise Flint. Madison Benson przysłała nam wiadomość, że ma dla nas informacje, ale kiedy się zjawiliśmy, już nie żyła.

– A co potem?

– Znowu staroświecka robota. Pójdziemy tropem pieniędzy.

Rozdział 58

Naprawdę uważają, że Madison padła ofiarą włamywacza? – Charlotte opadła na kanapę i wbiła wzrok w barwny obraz na szafranowej ścianie. – Mówimy im wszystko, a oni wychodzą z tak durną hipotezą?

– Gliniarze z zasady lubią proste rozwiązania, bo najczęściej właśnie te okazują się prawdziwe – zauważył Max. – Niedawno doszło do serii włamań. Sprawca zjawiał się w mundurze i zawsze pukał do tylnych drzwi.

Charlotte westchnęła.

– A właściciel otwierał, bo odruchowo ufał człowiekowi w mundurze.

– No właśnie. Nie było do tej pory ofiar śmiertelnych, ale policjanci od dawna obawiali się, że dojdzie do eskalacji. Rzecz w tym, że nie jesteśmy w stanie dowieść, że było inaczej. Sąsiadów Benson nie było w domu. Nikt niczego nie widział, nikt nie słyszał strzałów, nie widział wybiegającego bandyty. W domu jest alarm. I, co ciekawe, zginęły komputer i telefon ofiary.

– Greenslade ją dopadł, to jedyne logiczne wytłumaczenie – orzekła Charlotte.

– Mówiłem ci, podczas zabójstwa był w siedzibie firmy.

– Więc co tu się dzieje, do cholery? Dlaczego Jocelyn i Emily się nie odezwały? I dlaczego Madison Benson nagle chciała się z nami spotkać?

Max zatrzymał się w pół kroku.

– Skupiliśmy się na liście mężczyzn z listy Jocelyn – powiedział. – Anson ma rację; im więcej wiesz o ofierze, tym więcej wiesz o zabójcy. Musimy przyjrzeć się Madison Benson.

– Ale jak?

– Z tego, co mi wiadomo, asystenci wiedzą więcej o erotycznym życiu swoich pracodawców niż ich życiowi partnerzy.

Rozdział 59

Jezu, zrozumcie, ja nadal jestem w szoku! – Drew Irby przeczesał starannie ułożone włosy wymanikiowanymi palcami. – Moja szefowa nie żyje, a ja wylądowałem na bruku. Powinienem teraz szlifować CV, a nie gadać z wami.

Siedzieli we trójkę w kafejce oddalonej o przecznicę od biurowca, w którym mieściła się firma Madison Benson. Charlotte zamówiła bezkofeinową latte. Ostatnie, czego w tej chwili potrzebowała, to spory zastrzyk kofeiny. Czowała, że czas Jocelyn się kończy.

Choć w nocy prawie nie zmrużyła oka, wiedziała, że Max spał jeszcze mniej. Ilekroć budziła się z niespokojnej drzemki, miejsce w łóżku było puste. Prawie całą noc spędził przy komputerze, wyszukując jak najwięcej informacji o finansach Madison Benson.

Zupełnie inaczej niż ona reagował w sytuacji stresowej. Był pełen energii, maksymalnie skoncentrowany. Nie chodzi o to, że się dobrze bawił, nie tak, jak rozumieją to inni, ale polowanie dodawało mu skrzydeł. To jest jego powołanie, stwierdziła. Coś, co musi robić.

To on wpadł na pomysł, żeby z samego rana poczekać na asystenta Madison. Czekali w holu biurowca, gdy przyszedł po swoje rzeczy. Początkowo odnosił się do nich podejrzliwie, ale kiedy Max wyjął portfel z kieszeni, zgodził się z nimi porozmawiać.

– Spokojnie – zapewnił Max. – Chcemy tylko zadać kilka pytań o Madison Benson.

Charlotte zdobyła się na przyjazny uśmiech.

– Drew, to dla nas bardzo ważne. Moja siostra zaginęła i sądzimy, że Madison mogła coś wiedzieć na ten temat. Na krótko przed śmiercią napisała do mnie, że chce się z nami spotkać, ale kiedy do niej przyjechaliśmy, już nie żyła.

– Chcecie powiedzieć, że istnieje jakiś związek? – Drew zmarszczył brwi. – Słyszałem, że pani Benson padła ofiarą napadu rabunkowego.

– Sama wpuściła zabójcę – przyznał Max. – I to wszystko, czego w tej chwili możemy być pewni. Biorąc pod uwagę fakt, że dwie członkinie klubu inwestorskiego nie żyją, dwie zapadły się pod ziemię, a jedna walczy o życie, nie do końca wierzymy w wersję z napadem. Być może to wszystko wiąże się z klubem inwesterek. I dlatego chcemy zadać panu kilka pytań.

– Nie bardzo wiem, jak mógłbym wam pomóc. – Drew wzruszył ramionami. – Bo widzicie, pani Benson rzadko mówiła o klubie. Co jakiś czas wspominała, że wybiera się na drinka z innymi członkiniami, i tyle.

– Madison była jego założycielką. – Charlotte pochyliła się nad stolikiem. – Sama wybrała pozostałe członkinie spośród kobiet zaangażowanych w pomoc dla schroniska dla ofiar przemocy. Wie pan może, jakim kluczem się kierowała?

Drew się zamyślił.

– Wspomniała kiedyś, że każda z nich miała pewne specyficzne umiejętności. Tylko tyle.

– A mimo to klub nie odnosił szczególnych sukcesów – zauważył Max. – Owszem, co jakiś czas coś tam zarabiała, ale nie było to nic wielkiego – aż do Keyworth.

Drew odstawił swoją kawę i posłał Maxowi ponure spojrzenie.

– Nie byłbym tego taki pewien.

– Keyworth? – zdziwił się Max.

– Nie, że nie było innych zyskownych inwestycji.

Charlotte wstrzymała oddech.

– Jak to?

Drew zawahał się, by po chwili przeciągle wypuścić powietrze z płuc.

– Chyba już nie muszę być wobec niej lojalny. Słuchajcie, niewiele wiem o tym klubie, poza tym, że pani Benson zawsze sama zajmowała się jego transakcjami. Wielokrotnie proponowałem, że jej pomogę, i zawsze odmawiała. Twierdziła, że chce, żeby te dokumenty i te transakcje nie miały nic wspólnego z rachunkami jej klientów.

– No i? – ponaglił Max.

Drew zacisnął usta.

– Ponieważ była taka tajemnicza w kwestii tego klubu, przyznaję, wzbudziło to moją ciekawość. Gdy się z kimś długo pracuje, wie się, jak działa. Czasami, kiedy wychodziła z biura, zaglądałem do tych dokumentów. I jedno mogę powiedzieć: nieraz przelewała z rachunku klubu spore sumy na inny rachunek. Początkowo myślałem, że chodzi o uniknięcie podatków, nie ona pierwsza pomagałaby klientom unikać fiskusa, ale czasami sobie myślałem...

– Że? – Charlotte traciła cierpliwość.

Drew spojrzał na nią.

– Czasami zastanawiałem się, czy pozostałe inwestorki na pewno wiedzą o tym koncie. A jest na nim mnóstwo pieniędzy.

Charlotte spojrzała na Maxa i pokręciła głową.

– Zanim zapytasz, uprzedzam, że Jocelyn nie miała pojęcia o zyskach na zagranicznym koncie.

– Czyli Madison Benson okradała własny klub – stwierdził Max.

Drew odchrząknął.

– Z tego, co wiem, nie tylko ten klub. Ostatnio zaczęło mnie męczyć pytanie, czy nie okrada też innych klientów. Właściwie gryzło mnie to tak bardzo, że rozważałem, czy nie odejść, choć płaciła mi więcej niż inni.

– Teraz, gdy wiemy, gdzie szukać, bez trudu przekonamy policję, żeby sprawdzili, czy okradała własnych klientów – stwierdził Max. – Ale to mnie nie

interesuje, w każdym razie nie w tej chwili. Proszę mi powiedzieć, czy Benson kogoś miała?

Drew był wyraźnie zaskoczony. Po chwili wzruszył ramionami.

– Tak. Ale kryła się z tym. Zakładałem, że facet jest żonaty.

– To było coś poważnego?

Drew prychnął cicho.

– No chyba. Kilka tygodni temu polecili razem na Maui na sześć dni.

– Z tym facetem? – upewniła się Charlotte.

– Poleciała sama – przyznał Drew. – Ale idę o zakład, że on też tam był.

– Skąd ta pewność?

– Trzeba było znać panią Benson. Właściwie nigdy nie brała wolnego, była najprawdziwszą pracoholiczką. Kochała to. Czasami wyjeżdżała na weekend do spa, ale odkąd u niej pracuję, tylko ten jeden raz wyskoczyła na Hawaje. I to na niecały tydzień.

– Zaskoczyło to pana?

– Jeszcze jak Poleciała na Hawaje, akurat kiedy Keyworth nabierało kształtu.

Nie wierzyłem własnym oczom. Sytuacja była napięta, jej najwięksi klienci mieli poważne kłopoty, a porzucanie tonącego statku nie było w jej stylu. Mówię wam, oszałała na punkcie tego faceta.

Rozdział 60

Ethel, wiem już, że chcesz nieco podkoloryzować wspomnienia – zaczęła Charlotte.

– To się nazywa licencja poetica – wyjawiała starsza pani.

– Rozumiem – zgodziła się Charlotte. – Ale jak ostatnio ustaliłyśmy, spiszesz swoje wspomnienia, a nie fikcję. Twoje dzieci, wnuki i prawnuki będą chciały mieć pewność, że to, co czytają, to prawda.

Zajęcia skończyły się punktualnie, jak zawsze, a to dlatego, że zaraz zaczynał się wieczorek z winem. Ale Ethel Deeping została, żeby walczyć o swoją wersję dramatycznego zakończenia rozdziału o małżeństwie.

– Proszę mi uwierzyć, dostaną mnóstwo prawdy – sapnęła.

– Tak, ale jeśli przeczytają coś, co uznają za kłamstwo, zwątpią w prawdziwość całej historii, w tym twoją poruszającą opowieść o karierze wojskowej pielęgniarki. Ratowałaś życie, byłaś bohaterką. Chyba nie chcesz, żeby w to wątpili?

– Mogą sprawdzić, że naprawdę służyłam w wojsku.

– Tak, ale czy w ogóle będą chcieli to zrobić, jeśli pojawią się inne wątpliwości? Obawiam się, że kiedy przeczytają, jak to rzekomo zabiłaś męża, uznają, że ten cały pamiętnik to jedna wielka bajka.

Ethel miała taką minę, jakby chciała dalej obstawać przy swoim, ale Charlotte usłyszała sygnał wiadomości. Przysłano ją z nieznanego numeru, ale fotografia i tekst sprawiły, że krew zastygła jej w żyłach.

„Jeśli chcesz zobaczyć ją żywą, wyjdź na zewnątrz. Sama. Z telefonem. Nikomu ani słowa. Szary samochód przy wejściu Masz dwie minuty”.

– Wszystko w porządku? – zapytała nagle Ethel. – Strasznie pobladłaś.

Charlotte wyłączyła telefon. Przez chwilę wpatrywała się w Ethel, usiłując zebrać myśli, a potem sięgnęła po długopis i zapisała telefon Maxa na kartce.

– Ethel, dzieje się coś bardzo złego – powiedziała. – Proszę zadzwonić do Maxa Cutlera i powiedzieć mu, że ktoś po mnie przyjechał. I powiedział, że zabiera mnie do siostry. I że dostałam zdjęcie Jocelyn.

– Jasne, że mu powiem. Ale nie wyglądasz najlepiej, moja droga.

– Bo nie najlepiej się czuję. – Charlotte zatrzymała się przy drzwiach. Myślała intensywnie. – Czy możesz zrobić coś jeszcze?

– Jasne.

– Ten, kto po mnie przyjechał, czeka w szarym samochodzie przy drzwiach do budynku. Zanim zadzwonisz do Maxa, zrób jak najwięcej zdjęć samochodu i tego, jak do niego wsiadam. I tablicy rejestracyjnej. Ale pod żadnym pozorem nie wychodź na zewnątrz, tylko pstrykaj zdjęcia z okien w holu. Rozumiesz? Obiecuj mi, że nie pokażesz się kierowcy.

Ethel ściągnęła brwi.

– Coś ci grozi, tak?

– Tak, i mojej siostrze też. Kierowca pod żadnym pozorem nie może widzieć, że robisz zdjęcia.

– On cię porwie.

– Tak.

Ethel dłużej nie dyskutowała. Poszperała w torebce przewieszanej przez poręcz chodzika i wyjęła telefon komórkowy. Drżały jej ręce.

– Nic się nie martw – sapnęła. – Zrobię te zdjęcia. Do jasnej cholery, tymi rękami opatrywałam krwawiące rany pod ostrzałem.

– Wiem. I proszę zadzwoń zaraz do Maxa.

Charlotte otworzyła drzwi i powoli wyszła z sali. Ethel ruszyła za nią, zadziwiająco szybko jak na osobę z chodzikiem.

Dwie minuty, myślała Charlotte. Nie śmiała ryzykować i zawiadomić kogoś jeszcze. Zostały tylko sekundy.

Wyszła na dwór. Prawie nie poczuła zimnego wiatru. Zobaczyła szary samochód przy chodniku, z włączonym silnikiem. Ogarnął ją dziwny spokój. Nie mogła uwierzyć, że to dzieje się naprawdę.

Przez przyciemniane okna z trudem dostrzegła sylwetkę mężczyzny za kierownicą. Otworzyła drzwi od strony pasażera.

Ledwie zdążyła się zorientować, że skądś go zna, gdy zobaczyła pistolet.

– Do tyłu – warknął.

Zatrzasnęła przednie drzwi i otworzyła tylne. Po raz pierwszy dotarło do niej, że w samochodzie siedzi ktoś jeszcze – drugi mężczyzna z bronią. Było w nim coś dziwnego. Wydawał się podekscytowany. Miał rozbiegane oczy i ociekał potem.

– Nie jesteś taka ładna jak tamta – stwierdził. – Daj telefon.

Naćpany, pomyślała. I wtedy zorientowała się, że jego też skądś zna.

Oddała mu telefon.

– Co mam z tym zrobić? – zapytał kierowcę.

– Wyrzucić. Cutler mógłby ją po nim wytropić, a tego nie chcemy.

Roztrzęsiony facecik z bronią otworzył okno i cisnął telefon na ulicę.

– Żadnych gwałtownych ruchów – uprzedził kierowca. – Nasz Nolan jest trochę pobudzony i jeśli się wkurzy, pociągnie za spust. I zginiesz przed Jocelyn Pruett.

– Znam cię – stwierdziła. – Byłeś niedawno w Deszczowych Ogrodach. Zagadnałeś mnie, gdy wychodziłam z pracy. Pytałeś o ośrodek. Kim jesteś?

Była prawie pewna, że zna odpowiedź na to pytanie, ale chyba lepiej nie zdradzać mu, że wie, kim jest.

– Trey Greenslade – przedstawił się. Ruszyli z miejsca. – Jestem wzruszony,

że mnie zapamiętałaś. Chciałem ci się dobrze przyjrzeć na wypadek, gdybyś musiała posłużyć za przynętę, żeby wywabić Pruett z ukrycia. Byłoby o wiele łatwiej, gdybyś nie wciągnęła w to tego cholernego detektywa.

Roztrzęsiony narkoman otarł pot z czoła.

– Chcę jeszcze, Trey – sapnął.

– Dobrze, ale nie spuszcza jej z oka.

– Tak, tak.

Trey na chwilę odnalazł jej wzrok w tylnym lusterku.

– A to Nolan Briggs – przedstawił. – Pomaga mi w zamian za prochy.

– Wydawało mi się, że go już widziałam – szepnęła Charlotte. – Widziałam jego zdjęcia w domu Briggsów. – Spojrzała na Nolana. – Wiesz, że twój ojciec nie żyje?

– No. – Nolan wsunął dwie tabletki do ust i przełknął z trudem. – Płakał nie będę.

Rozdział 61

Max wpatrywał się w mapę i wykres na biurku. Po długim błędzeniu po omacku wreszcie zaczynał wszystko widzieć.

W tym samym czasie, gdy Madison Benson poleciała na Hawaje, w Maui odbywał się zjazd przedstawicieli handlowych Loring-Greenslade. Kolejny kawałek układanki trafił na miejsce. Madison pojechała na spotkanie z kochankiem, Treyem Greensladem. Co prawda, wbrew przypuszczeniom Drew Irby'ego, Greenslade nie miał żony, ale i tak wolał zachować w tajemnicy związek z Madison.

Pytanie, czy Madison wiedziała, że jej kochanek to gwałcieciel i morderca.

Max wyjął telefon z kieszeni i napisał wiadomość do Charlotte. „Mam nowy trop”. Ucieszy się, pomyślał i od razu poprawił mu się humor.

Nie odpowiedziała i zaraz pomyślał, że stało się coś bardzo złego. Może jest zajęta, tłumaczył sobie, ale nigdy nie umiał się okłamywać.

Zadzwoił – i trafił na pocztę głosową.

Wyjął pistolet, założył kurtkę, żeby zakryła kaburę, i ruszył do drzwi.

Kiedy był na dole, rozdzwoniła się jego komórka. Poczł oszałamiającą ulgę. A potem zobaczył nieznany numer na wyświetlaczu.

– Cutler – rzucił.

– Panie Cutler, tu Ethel Deeping. Porucznik Deeping.

Głos był wyraźnie stary, ale energiczny i zdecydowany.

– Pamiętam panią... porucznik. O co chodzi?

– Dwaj dranie w szarym w wozie porwali Charlotte. Kazała mi do pana zadzwonić.

Zamarł.

– Już jadę – powiedział.

– Mam zdjęcia.

Rozdział 62

Nie powinnaś była z nim jechać – rzuciła Jocelyn.

Ale nie wydawała się zła ani nawet przerażona, stwierdziła Charlotte. Była załamana – i z jakiegoś powodu to było gorsze niż wszystko, czego doświadczyła do tej pory.

Widziała Jocelyn w różnych nastrojach. Znała jej gniew, podniecenie, radość, wściekłość, znudzenie – ale nigdy nie widziała jej pokonanej.

Charlotte przeszła nowa obawa.

– Szprycuje cię czymś?

– Co? – Jocelyn zmarszczyła brwi.

Charlotte przyglądała się jej uważnie w mdłym świetle gołej żarówki. Jocelyn była wycieńczona.

– Pytałam, czy czymś cię szprycuje – powtórzyła Charlotte. – Nigdy cię nie widziałam w takim stanie.

– Madison Benson mnie uśpiła, tak tu trafiłam. Ale Greenslade nie.

– Wiesz, że Madison nie żyje?

– Ją też zamordował?

– Cóż, sam Greenslade ma niepodważalne alibi. Cały czas był w Loring. Ale teraz, kiedy widziałam Nolana Briggsa, chyba wiem, jak to zrobił.

– Nasłał na nią Nolana?

– Najwyraźniej. Dostała dwie kule.

– Wszystko wskazuje na to, że od samego początku współpracowała z Greensladem. Czemu miałyby teraz ją zabijać?

– Może dlatego, że już jej nie potrzebował. Stała się ciężarem. Pewnie wiedziała o nim za dużo.

– Louise i Madison nie żyją, ja siedzę z tobą w piwnicy. . A Emily i Victoria?

– Victoria ciągle leży w szpitalu, ale chyba dojdzie do siebie. Emily zniknęła bez śladu. Max mówi, że to dobry znak. Że jeszcze żyje.

– Charlotte, tak mi przykro. Nie chciałam, żebyś wpadła w to bagno.

– No cóż, od czego ma się siostrę. W każdym razie Trey Greenslade nie może nas zabić, dopóki nie wykombinuje, jak unieszkodliwić Maxa, a to nie będzie łatwe.

– Czemu miałyby go unieszkodliwić?

Charlotte poczuła przyływ lodowatej pewności.

– Bo chyba zdaje sobie sprawę, że Max nie spocznie, póki mnie nie odnajdzie.

Jocelyn zmrużyła oczy.

– Jesteś tego pewna?

- Tak.
- Zobaczymy, co tego wyjdzie. Problem w tym, że Greenslade oszalał, a jego wspólnik to ćpun. To nie jest dobra kombinacja.
- Jocelyn, dlaczego chciałaś zniknąć i mydliłaś mi oczy odpoczynkiem od technologii? Co cię przeraziło?
- Spanikowałam, kiedy zdałam sobie sprawę, że ktoś włamał się do mojego komputera i zapewne do telefonu. Ktoś mnie obserwował. Jak się okazuje, Greenslade. Ale wtedy nie wiedziałam, kto to robi i od jak dawna. Nie wiedziałam nawet, czemu to robi. Byłam za to przekonana, że ma to coś wspólnego z przeszłością.
- Z Loring.
- Tak.
- Skąd ten pomysł?
- Chodzi o te dwa morderstwa, które badałam. Do obu doszło niedawno. Byłam pewna, że dokonał ich ten sam drań, który wtedy napadł na mnie. Pytanie, dlaczego nagle po tylu latach zaczął zabijać?
- Eskalował.
- Tak.
- Czemu mi nie powiedziałaś, co robisz?
- Martwiłabyś się o mnie.
- Coś takiego.
- Przepraszam. Wydawało mi się, że cię chronię. Powiedziałam tylko Louise.
- Dlaczego tylko jej?
- Była mi najbliższa spośród członkiń klubu. Pomagała mi w poszukiwaniach, razem sprawdzałyśmy zgłoszenia gwałtów i te dwa zgony. Szukałyśmy jakiegoś wzorca, podobnych miejsc i sposobów. Nie mówiłam pozostałym, bo nie chciałam ich w to wciągać.
- Podobnie jak mnie. Jocelyn, kocham cię jak siostrę, ale czasami zachowujesz się jak najprawdziwsza idiotka.
- Słuchaj, i tak nie mogliście mi pomóc, ani ty, ani one. Za to ryzykowałam, że któreś z was coś się wymknie i spłoszycie cel. Wystarczył jeden esemes, żeby wszystko legło w gruzach.
- Rozumiem to. Nie podoba mi się, że to przede mną zataiłaś, ale rozumiem.
- Przepraszam.
- Nie szkodzi – mruknęła Charlotte. – Co chciałaś osiągnąć, znikając?
- Myślałam, że dzięki temu drań wyjdzie z ukrycia. Nie wiedziałam jak, ale zakładałam, że kiedy nie znajdzie mnie w sieci, zacznie szukać i tym samym się zdradzi. A potem, nie wiadomo kiedy, Louise nie żyła.
- Więc wysłałaś pozostałym sygnał alarmowy.

– Nie miałam wyjścia. Bałam się, że od samego początku byłam w błędzie. Założyłam, że włamał się do mojego komputera jeden z naszych celów. Po śmierci Louise bałam się, że narażam wszystkie członkinie klubu.

– Kiedy zrozumiałaś, że poszukiwanym przez ciebie zabójcą jest Trey Greenslade?

– Kiedy ocknęłam się w jego piwnicy – odparła Jocelyn. – Zawsze był na liście podejrzanych, ale nigdy nie udało mi się go powiązać z gwałtami w kolejnych latach. Był bardzo ostrożny. Wiedziałam, że zanim zgłoszę się na policję, muszę mieć niezbite dowody. Greenslade’owie to do dzisiaj potężna rodzina w Loring.

– Wiedziałaś, że Louise pojechała tam przed śmiercią?

– Nie, dopiero Greenslade mi powiedział, że sądził, że zabrała policyjne dowody.

– Zakładaliśmy z Maxem, że pojechała spotkać się z Briggsem, ale on temu zaprzeczał.

– Nie można wierzyć w każde jego słowo – zauważyła Jocelyn.

– Fakt, zwłaszcza że później usiłował nas zabić.

– Jezu, Charlotte, przysięgam, nie chciałam, żebyś...

– Nie trzeba było przede mną zatajać tego wszystkiego, poczynając od tego idiotycznego klubu inwestorskiego. Co wyście sobie myślały, bawiąc się w mścicielki? Nie przyszło wam do głowy, że prędzej czy później jeden z waszych celów zorientuje się, co się święci?

– Owszem, i dlatego miałyśmy plan awaryjny.

– I super wypalił, co?

– Wiesz, mogłabyś darować mi kazania.

W głosie Jocelyn pojawiła się energia. Już nie była załamana.

– Przepraszam. – Charlotte rozejrzała się. – Słuchaj, siedzisz tu dłużej niż ja. Wiesz może, jak możemy pokrzyżować szyki tym draniom na górze?

Jocelyn oparła się o ścianę, uniosła skrępowane dłonie, a potem, jak magik wyciągający królika z kapelusza, rozdzieliła dłonie. Taśma była przecięta, ale w półmroku nie było tego widać.

– No proszę – mruknęła Charlotte. – Wiedziałam, że nie marnowałaś czasu na uzalanie się nad sobą.

– W kącie znalazłam skrzynkę ze sprzętem wędkarskim – odparła Jocelyn. – Tam był nóż.

– Gdzie teraz jest?

– Za paskiem moich dżinsów. Problem w tym, że ich jest dwóch i mają pistolety.

– Całe szczęście, że byłam harcerką.

Rozdział 63

W samochodzie było ich dwóch.

Max wpatrywał się uważnie w zdjęcie na telefonie Ethel Deeping.

– Tak jest. – Mierzyła go niespokojnym wzrokiem. – Widziałam tego drugiego, kiedy Charlotte otworzyła drzwiczki, żeby wsiąść na tylne siedzenie. Jeden za kierownicą, drugi z tyłu. Ten drań z tyłu miał broń. Nie jestem pewna na sto procent, ale jak się powiększy zdjęcie, da się to zobaczyć.

– Ma broń – potwierdził Max. – Dobrze, że sfotografowała pani tablicę rejestracyjną. Świetna robota.

– Tak sobie pomyślałam, że się panu przyda. Jest pan detektywem, tak? Może pan sprawdzić numery?

Spojrzał na nią z ukosa.

– Proszę nie wierzyć we wszystko, co słyszy pani w telewizji.

– Ale ustali pan, do kogo należy ten wóz?

– To się da zrobić, legalnie i nie. Legalnie będzie szybciej. – Max sięgnął po telefon.

– Do kogo pan dzwoni?

– Na posterunek policji w Loring. Pracuje tam ktoś żywo zainteresowany tą sprawą.

Walsh odebrał.

– Trey Greenslade? A niech mnie. Na pewno?

– Tak.

– I na sto procent mamy do czynienia z porwaniem?

– Tak. Jeśli nie może mi pan pomóc, proszę to od razu powiedzieć.

– A pan znajdzie lewe dojście, żeby ustalić, do kogo należy wóz na tych papierach, tak?

– Tak – przyznał Max. – Mam różne znajomości. Jeśli nie od pana, dostanę te numery od kogoś innego.

– Rozumiem.

Po chwili Walsh ponownie podniósł słuchawkę.

– To wszystko nie trzyma się kupy – stwierdził.

– Nazwisko proszę.

– Samochód jest zarejestrowany na Nolana Briggsa. Wspominałem o nim. Syn Egana i Roxanne, narkoman. Co on ma z tym wspólnego?

– Wie pan, jak to jest z ćpunami – zauważył Max. – Za pieniądze na kolejną działkę zrobią wszystko.

Skinął Ethel na pożegnanie i wyszedł. Z telefonem przy uchu szedł do wozu Ansona, który czekał przy krawężniku.

– Ale na ćpunach nie można polegać – odparł Walsh. – A jeśli nie myli się

pan co do Greenslade'a, ma obsesję na punkcie kontroli. To strateg. Dlaczego narażać się na takie ryzyko i brać sobie do pomocy ćpuna?

– Może ma na Briggsa innego haka – odparł Max. – Może wydaje mu się, że można na nim polegać, przynajmniej chwilowo.

Max przypomniał sobie zdjęcie na kominku w domu Briggsów i słowa detektywa Atkinsa o Roxanne. „Był dla niej za stary, a ona, ze swoim wyglądem, znalazłaby lepszego faceta. Ale, jak powiedziałem, zaszła w ciążę, a w tamtych czasach to było naprawdę małe miasteczko. Chyba uważała, że musi wyjść za ojca swojego dziecka. Dziwi mnie jednak, że z nim została”.

– Później do tego wrócimy – rzucił do słuchawki. – Teraz musimy znaleźć Charlotte. Póki co Greenslade nie wie, że go mamy.

– Chyba że Charlotte mu powiedziała.

– Charlotte jest bystra. Nie piśnie ani słowa. Ale Greenslade na pewno się zabezpieczył. Posłużył się samochodem Nolana, licząc, że w najgorszym wypadku wina spadnie na narkomana.

Wsiadł do samochodu.

– Muszę kończyć. Jadę do Loring. Niedługo będę.

– Chwileczkę. Ma pan pomysł, dokąd Greenslade zabrał Charlotte?

Max odpalił silnik i ruszył.

– Do miejsca, w którym czuje się bezpiecznie. Do miejsca, w którym wydaje mu się, że panuje nad sytuacją i otoczeniem. Latami pracował jako przedstawiciel handlowy. Zna teren.

– Dlatego Nolan Briggs mu pomaga? Bo Greenslade dostarcza mu prochy?

– To też, ale moim zdaniem w grę wchodzi coś jeszcze. Jestem niemal pewien, że Nolan Briggs to przyrodni brat Treya Greenslade'a.

Rozdział 64

Oby się udało za pierwszym razem – sapnęła Jocelyn. – Bo drugiej okazji nie będzie.

– Uda się – zapewniła Charlotte.

Wiedziała jednak, że Jocelyn ma rację. Ich plan musiał udać się za pierwszym razem.

– Wiesz, zawsze podziwiałam twój optymizm – mruknęła Jocelyn.

– Bzdura. Zawsze uważałaś mnie za naiwniaczkę.

Stały w ciemności, bo kilka minut wcześniej Jocelyn udało się stłuc żarówkę. Nie było to łatwe, bo starała się nie hałasować. Na szczęście brzęk tłuczonego szkła nie przedarł się przez grube deski sufitu, bo żaden z mężczyzn nie zajrzał do piwnicy.

Zająły miejsca po obu stronach drewnianych schodów. Nie ośmieliły się poruszyć, bo nie miały pojęcia, kiedy drzwi się otworzą i jeden z porywaczy zejdzie do piwnicy. Musiały być gotowe.

– Nigdy nie uważałam cię za naiwniaczkę – zapewniła Jocelyn. – Tylko, no wiesz, sądziłam, że zbyt ochoczo doszukujesz się dobra w innych.

– Jasne.

– Nadal nie mieści mi się w głowie, że zatrudniłaś prywatnego detektywa.

– Już ci to tłumaczyłam, nie zatrudniłam go. Jesteśmy współnikami w tej sprawie. Zatrudnił go kuzyn Louise.

– I tak nie mieści mi się w głowie, że coś cię łączy z detektywem – mruknęła Jocelyn.

– W sumie nie miałam za bardzo wyjścia. Twoja najlepsza przyjaciółka zginęła w podejrzanych okolicznościach, co stwierdziliśmy zgodnie z jej kuzynem, ale policja nie bardzo chciała nam wierzyć. A potem okazało się, że wcale nie było cię w klasztorze na wyspie Świętej Adeli. Co niby miałam robić?

Cisza po drugiej stronie schodów.

– Louise była dobrą przyjaciółką, ale nie najlepszą – powiedziała w końcu Jocelyn.

– Nie?

– Moją najlepszą przyjaciółką jesteś ty.

– Gdyby tak było, powiedziałaabyś mi, że bawisz się w supermścicielkę razem z kumpelkami z klubu niby-inwesterek.

– Nie powiedziałam, bo nie chciałam cię narażać. Chciałam cię chronić.

– I tak ci nie odpuszczę. Przyjaciółki nie ukrywają przed sobą takich rzeczy.

– Nie mieści mi się w głowie, że kłócimy się na temat definicji przyjaźni – mruknęła Jocelyn. – Zwłaszcza w takiej chwili. Jakbyś nie zauważyła, mamy pewien mały problem.

– Max to załatwi.
– Wierzysz w niego.
– Tak. I wiem, że jest bardzo dobry w tym, co robi.
I znowu cisza po drugiej stronie schodów.
– Cholera. Zakochałaś się w nim, tak? – stwierdziła w końcu Jocelyn.
– Tak, chyba tak.
– Chyba?
– Po kłęsce pod tytułem Brian staram się podchodzić ostrożnie do relacji damsko-męskich.
– Cała moja siostrzyczka. Ostrożna.
– Cóż, nie wszyscy mają w sobie awanturniczą żyłkę jak ty.
– I widzisz, co mi z tego przyszło. Dzięki, że mi nie wypominasz, że w kółko zapewniałam, że Brian Conroy jest wręcz stworzony dla ciebie.
– Tak, fajnie, że tego nie robię.
Nad ich głowami rozległy się kroki.
– Jezu, to on. Cutler. – Nawet przez deski sufitu słyszały niepokój w głosie Treya. – Jak tu trafił?
– Nieważne. Słyszałeś, co mówi. Ma dowody – krzyknął Nolan. – Chce zobaczyć kobiety, zanim dobieje targu. Przyrowadź je, szybko. Pokaż mu, że obie żyją.
– Ty je przyrowadź – warknął Trey. – Może uda mi się odstrzelić Cutlera. No idź, ty durny ćpunie.
I znowu kroki nad ich głowami. Chwilę później coś zazgrzytało w zamku i drzwi stanęły otworem. Nolan zatrzymał się w pół kroku, gdy zdał sobie sprawę, że poniżej rozciąga się nieprzenikniony mrok.
Nerwowo namacał kontakt i pstrykał nim histerycznie.
– Spieprzyły światło – zawołał przez ramię.
– Pewnie żarówka poszła – odparł Trey. – Weź latarkę.
Charlotte znieruchomiała w ciemności pod schodami. Czowała, że Jocelyn reaguje tak samo. Obie trzymały żyłkę wędkarską, którą znalazły w pudełku w kącie piwnicy. Rozciągnęły ją w połowie schodów.
Snop światła przeczesał mrok.
– Nie widzę ich – zawołał Nolan. Był bliski paniki.
– Pruet, Sawyer, chodźcie na górę – zawołał Trey. – I to już. Cutler chce dobić targu. Macie jedną szansę. No, wyląźcie.
Charlotte upominała się, że musi oddychać. W jej żyłach pulsowały strach i adrenalina. Wiedziała, że Jocelyn jest w podobnym stanie.
Zignorowały polecenie Treya.
– Nie ma ich. – Głos Nolana drżał. – Uciekły.
– Nie mogły, z piwnicy jest tylko jedno wyjście, górą – zapewnił Trey. – Są

na dole. Idź po nie.

– Nie widzę Jocelyn ani Charlotte – zawołał Max gdzieś z zewnątrz. – Jeśli któraś z nich nie żyje, nici z wymiany.

– Nie! – ryknął Trey. – Mam je tutaj. Żywe. Zaraz ci pokażę.

Charlotte słyszała, jak podchodzi do drzwi.

– Zejdź mi z drogi! – wrzasnął na Nolana.

Szamotanina na górze i Nolan ustąpił. A potem Trey zaczął schodzić do piwnicy z latarką w dłoni. Światło latarki tańczyło po stopniach, ale nie zdołało przeniknąć mroku pod schodami.

Żyłka była właściwie niewidoczna. Trey w każdym razie jej nie widział.

Charlotte zacisnęła dłoń na żyłce. Po drugiej stronie Jocelyn zrobiła to samo. Owinęły sobie dłonie skrawkami bluzek, żeby linka nie wrzynała się tak boleśnie w ciało.

Poczuła szarpnięcie, gdy Trey zahaczył butem o linkę. Słyszała, jak gwałtownie nabiera powietrza i krzyczy z przerażeniem. Przez jedną straszliwą chwilę bała się, że to jej głos.

Ale to był Trey, to on spadał ze schodów w ciemność piwnicy. Latarka wypadła mu z ręki, wirowała szaleńczo. Charlotte słyszała, jak broń uderzyła o posadzkę.

Trey spadał coraz niżej, rozpaczliwie starał się odzyskać równowagę. Z głuchym hukiem wylądował na betonowej posadzce i Charlotte wiedziała, że ten dźwięk będzie ją prześladował w koszmarach przez wiele lat.

Dygocząc na całym ciele, odplątała żyłkę z dłoni.

Jocelyn rzuciła się po latarkę, chwyciła ją, zatoczyła szeroki łuk po podłodze.

Charlotte wiedziała, czemu to robi – szukała pistoletu, który upuścił Trey. Snop światła omiótł też Treya. Leżał nieruchomo. Pod jego głową ciemniała kałuża krwi.

– Trey! – zawołał Nolan ze szczytu schodów. – Co jest, do cholery?

Jocelyn zgasiła latarkę.

Nolan spanikował. Strzelał na oślep.

– Cofnijcie się! – wrzasnął. – Ani kroku dalej! Załatwię każdego, kto zechce wyjść!

Cofnął się, zatrzasnął drzwi. Charlotte słyszała jego kroki.

Jocelyn włączyła latarkę.

– Biegnie do tylnych drzwi. Pewnie liczy, że ucieknie przez las.

– Charlotte! – Głos Maxa, a w nim rozpaczliwe błaganie i rozkaz.

– Tutaj! – zawołała najgłośniejszym głosem, jak umiała, żeby usłyszał ją przez grube deski. – W piwnicy. Nic nam nie jest.

Jocelyn wreszcie znalazła pistolet.

– Jest – szepnęła.

Podniosła broń.

Charlotte słyszała stłumione krzyki. I znowu kroki. Drzwi u szczytu schodów stanęły otworem i w progu stanął Max z bronią w ręku.

– Charlotte – powtórzył.

– Tutaj – zawołała. – I Jocelyn też. Nic nam nie jest, ale Trey Greenslade chyba nie żyje.

Wbiegła na schody, prosto w jego ramiona.

Wypowiedział jej imię ostrym, gardłowym głosem, z którego były surowe emocje. Głosem człowieka, który otarł się o piekło. Z całej siły przyciągnął ją do siebie.

– Wiedziałam, że nas znajdziesz – szepnęła wtulona w niego.

– Dobrze, że chociaż jedno z nas było tego pewne. Na miłość boską, kobieto, nigdy więcej mnie tak nie strasz. Moje serce tego nie wytrzyma.

Podszedł Anson z pistoletem w opuszczonej dłoni. Wyglądał jak najprawdziwszy gliniarz.

– Wszystko w porządku, dziewczyny? – zapytał.

– Tak – mruknęła Charlotte. – Teraz tak.

Jak przez mgłę słyszała głos we wnętrzu domu. Ktoś coś krzychał. Poznała głos detektywa Walsh. Ociekał adrenaliną.

– Ambulans, do cholery! – wrzasnął.

Słyszała, jak Nolan Briggs szłocha gdzieś w oddali i zaklina się, że on też był zakładnikiem Greenslade'a.

Rozjuszona spojrzała na Walsh.

– To nieprawda. Drań cały czas mu pomagał.

– Tak, już to wiemy – mruknął Max.

Odciągał ją na bok, żeby Walsh i funkcjonariusz w mundurze mogli zejść do piwnicy.

Charlotte zajrzała tam. Jocelyn nadal stała nad Treyem. W dłoni ścisnęła pistolet.

Walsh podszedł do niej i delikatnie wyjął jej pistolet z dłoni.

– Jocelyn Pruett? – upewnił się.

– Tak. – Jocelyn ani drgnęła. – Czy on nie żyje? Mam nadzieję, że tak.

Policjant ukucnął i szukał pulsu.

– Żyje – powiedział.

– Szkoda – szepnęła Jocelyn.

I zaczęła płakać.

Charlotte wyzwoliła się z objęć Maxa i zbiegła ze schodów. Wzięła siostrę za rękę.

– Już dobrze, Jocelyn – szepnęła. – Chodź ze mną. Niech policja się tym

zajmie.

– Dopadłyśmy drania, prawda?

– Tak – zapewniła Charlotte. – To już koniec. Naprawdę koniec.

Ścisnęła siostrę za rękę i wyprowadziła z piwnicy, w światło.

Rozdział 65

Niedaleko kampusu kupili w restauracji z fast foodem cztery kawy i cztery hamburgery z frytkami. Max doszedł do wniosku, że potrzebowali żywności z podstawowych grup produktów – kawy, węglowodanów i białka. Musieli się wzmocnić przed zeznaniami na posterunku.

Max pojechał do parku. Było za zimno na piknik na zewnątrz, więc urządzili go sobie w samochodzie. Charlotte siedziała z Maxem z przodu, Anson i Jocelyn zajęli tylne miejsca.

– Już wiem – mruknęła. – Jesteśmy tutaj, żeby ustalić wspólną wersję, zanim spotkamy się z detektywem Walshem, tak?

Max już miał wbić zęby w hamburgera, ale znieruchomiał, spojrzał na nią i nagle stracił apetyt na myśl, że tak mało brakowało, by ją stracił. Przez moment nie był w stanie powiedzieć słowa, a co dopiero przełknąć kęs jedzenia.

A potem uśmiechnęła się do niego i znowu wszystko było w porządku.

– Nie rób z nas bandy spiskowców – powiedział.

– Niby dlaczego? – zdziwiła się Jocelyn. – W sumie to prawda.

– Fakt – przyznał Anson.

– Wiem, wiem – odparł Max. – Ale w ustach Charlotte brzmi to gorzej, niż jest w rzeczywistości.

– Bo ona taka jest – skomentowała Jocelyn. – Jak myślicie, dlaczego nigdy jej nie powiedziałam, że klub inwesterek to tylko przykrywka?

Charlotte odwróciła się do tyłu.

– Gdybyś to zrobiła, poradziłabym ci, żebyś trzymała się z daleka od ludzi pokroju Madison Benson i jej pseudo-mścicielek.

– Dobra, dość kłótni – uciął Max. – Mamy mało czasu. Po pierwsze, chciałem powiedzieć, że w takich sytuacjach zasada numer jeden to...

– Są zasady, jak składać zeznania? – zdziwiła się Charlotte.

– Zasada numer jeden – powtórzył cierpliwie – to nie kłamać, ale nie rozwijać żadnych wątków ponad to, o co pytają. Tak, Anson?

– Tak jest – wybełkotał Anson z ustami pełnymi hamburgera.

– Bardzo dobra zasada – stwierdziła Jocelyn. Mierzyła Maxa baczным spojrzeniem. – Skąd wiedziałeś, że Trey Greenslade przetrzymuje nas w swojej górskiej chacie?

– Greenslade działał według wzorca – odparł. – Wszystko dokładnie planował i obsesyjnie zależało mu na kontroli nad sytuacją. Musiał mieć pewność, że panuje też nad otoczeniem. Sprawdziłem jego zeznania podatkowe. Odziedziczył nieruchomość w Loring i apartament w Seattle. Górską chatę jego ojca wydawała mi się najlepszym miejscem do przetrzymywania zakładników. Żadnych sąsiadów i zbędnych pytań.

Charlotte ziała frytkę.

- Jesteś dobry, naprawdę dobry.
- Tak jest. – Anson skinął głową. – Bardzo dobry.

Max spojrzał na Jocelyn.

- Masz pojęcie, co się stało z zawartością pudełka z dowodami?
- Nie – odparła. – I nie wiem, czemu przed śmiercią Louise pojechała do Loring, jeśli o to też chcesz zapytać.
- Trey Greenslade musiał mieć powody, aby sądzić, że wówczas przejęła zawartość pudełka – zauważyła Charlotte. – Zabił ją tego samego dnia.
- Umarła z przedawkowania – zauważył Anson. – Jakim cudem zbliżył się do niej na tyle, żeby wstrzyknąć jej narkotyki?
- Pewnie tak samo, jak to było ze mną – wyjaśniła Jocelyn. – Posłużył się Madison Benson.
- Która mu pomagała, bo widziała w tym szansę dla siebie: zgarnęłaby większą pulę pieniędzy ze sprzedaży Keyworth – dodał Max. – Może nawet celowała wyżej, może liczyła na kawałek tortu o nazwie Loring-Greenslade.
- Dlaczego Greenslade się jej pozbył? – zapytał Anson.
- Kiedy się zorientował, że depcze mu po piętach, zrozumiał, że ma problem. – Jocelyn myślała na głos. – Nie wiedział, ile z nas wie o moim prywatnym dochodzeniu. Zorientował się, że Madison stoi na czele klubu, więc upatrzył sobie właśnie ją.
- Pewnie wyczuł w niej bratnią duszę – mruknęła Charlotte. – Socjopata zawsze znajdzie drugiego socjopatę.
- No właśnie. Uznał, że z nią się dogada – przyznał Max.
- Uwiódł ją – ciągnęła Jocelyn. – Ale znając Madison, pewnie sądziła, że to ona panuje nad sytuacją.

Anson pokręcił głową.

- Dwoje socjopatów i każde myśli, że panuje nad drugim.
- Wracając do zawartości pudełka z dowodami – zaczęła Jocelyn. – Greenslade myślał, że Briggs go wykiwał, że sprzedał dowody Louise, a potem chciał mu opchnąć puste pudełko.
- Jeśli to prawda, a jest w tym pewna logika – przyznał Max – musimy dojść, gdzie Louise schowała zawartość pudełka.
- Jedno nie daje mi spokoju – wyznała Jocelyn. – Skoro Briggs zdecydował się sprzedać te dowody, dlaczego zadzwonił do Louise? Przecież to ja zapłaciłabym każdą sumę, żeby je zdobyć.

Charlotte spojrzała na nią.

- Może nie mógł się z tobą skontaktować, bo zapadłaś się pod ziemię.
- O cholera! – Jocelyn spochmurniała. – Racja. Jeśli do mnie dzwonił, odebrała Louise. Zapewne rozpoznała jego nazwisko, domyśliła się, że skoro chce

się ze mną skontaktować, chodzi o coś ważnego, o coś, co ma związek z przeszłością.

– Pewnie dała mu do zrozumienia, że zna twoją historię – włączyła się Charlotte. – A kiedy jej powiedział, co ma do sprzedania, zgodziła się to kupić. Podjęła z konta dziesięć tysięcy i pojechała do Loring.

– Czyli zginęła przeze mnie. – Jocelyn skuliła się w sobie.

– Nie – zapewniła Charlotte.

– Tak – stwierdziła Jocelyn. – To moja wina.

Charlotte spojrzała na Maxa. Wiedział, że oczekuje, że pocieszy jej siostrę, przekona ją, że nie jest winna śmierci przyjaciółki. To nie będzie łatwe, stwierdził. Dobór odpowiednich słów nigdy nie był jego mocną stroną.

– Louise podjęła pewne ryzyko – zaczął.

– Nie zdawała sobie sprawy, jak wielkie – odparła Jocelyn.

– Może nie – przyznał. – Ale nie mamy pewności, że kierowały nią czysto altruistyczne motywy.

– Jak to? – zdziwiła się.

– Była jedyną z was, która wiedziała, że nie odpoczywasz na Karaibach – przypomniał. – Wiedziała, że zapadłaś się pod ziemię, bo wiesz, że ktoś włamał się do twojego komputera. Ale wiedziała też, że będziesz sprawdzała pocztę.

Charlotte spojrzała na niego.

– Tak jak ty.

– Miałyśmy z Louise tajny szyfr – powiedziała Jocelyn. – Miała się nim posłużyć tylko w sytuacji awaryjnej. Jednak nigdy tego nie zrobiła. Może uważała, że ma jeszcze czas. Może Briggs kazał jej od razu przyjechać z pieniędzmi.

– A może miała własne plany co do tych dowodów – podsunął Max.

Jocelyn podniosła głowę.

– Jak to?

– Wiedziała, że gwałcień zapłaci za to każde pieniądze – wyjaśnił Max. – O wiele więcej niż dziesięć tysięcy.

– Nie. To była moja przyjaciółka.

– Chwileczkę – wtrącił się Anson. – Jeśli Briggs chciał zgarnąć dużą kasę, czemu nie zwrócił się do Greenslade'a? Przecież on zapłaciłby o wiele więcej.

– To bardzo dobre pytanie – stwierdził Max. – Briggs zwróciłby się przede wszystkim do Greenslade'a, nie do Jocelyn. Czyli zostaje nam jedyna osoba, która miała dostęp do pudełka i powód, by je sprzedać. Jeśli mam rację, Trey były ostatni na jej liście.

Charlotte zmrużyła oczy.

– Roxanne Briggs?

– Nie mam na to dowodów, ale tak, sądzę, że tak – potwierdził Max. Zamyślił się. – Tak mi się wydaje.

– Ale dlaczego? – zdziwiła się Jocelyn.

– Bo Gordon Greenslade zginął w rzekomym wypadku na polowaniu kilka miesięcy temu – wyjaśnił. – Trey odziedziczył wszystko, a Nolan, syn Roxanne i drugi syn Greenslade’a, nic.

Jocelyn uniosła brew.

– Podzielimy się z policją twoją genialną teorią?

– Nie – odparł Max.

Anson zdjął przykrywkę z kubka z kawą.

– Przypominam o zasadzie numer jeden: prawda i nic więcej.

Charlotte spojrzała na niego.

– A zasada numer dwa?

– Patrz zasada numer jeden – odparł.

Rozdział 66

Miałem rację – stwierdził ponuro Daniel Flint. – Louise zamordowano. Wiedziałem. I zrobił to ten drań, Trey Greenslade?

Daniel wyglądał znacznie starszej niż na początku. Jednocześnie wyczuwało się w nim ponurą satysfakcję. Czasami trzeba poznać prawdę, stwierdził Max. Wiedział to aż za dobrze.

Zebrali się w jego biurze. Max siedział za biurkiem, Daniel i Jocelyn na krzesłach dla klientów, Charlotte podlewała półżywą roślinę w kącie, Anson opierał się o ścianę z rękami skrzyżowanymi na piersi.

Słyszac słowa Daniela, Charlotte wyprostowała się i opuściła dłoń z konewką.

Spojrzała na Maxa.

– Tak – przyznała. – Greenslade zamordował ją razem z Madison Benson.

– Greenslade nadal leży w szpitalu w Loring – poinformował Max. – Ale dziś rano zaczął mówić. Stara się wytargować korzystną umowę z prokuraturą. Podobnie jak Nolan Briggs. Powiem wam więcej. Madison Benson też sypie.

Poczuł na sobie spojrzenia wszystkich.

– Jak to? – zdziwiła się.

– Dzwonił do mnie detektyw prowadzący jej sprawę, tu, w Seattle. Jego ludzie włamali się do jej komputera stacjonarnego. Jak się okazało, nagrywała swoje rozmowy z Greensladem. Mają dość materiału, by na długo zniknąć za kratkami.

Daniel zmarszczył brwi.

– Madison Benson pomagała mu od samego początku?

– Tak – odparł Max. – Jakimś cudem dowiedzieli się, że Louise pojechała do Loring po dowody w sprawie Jocelyn. Założyli, że nadal je ma, kiedy wróciła do Seattle. Madison odwiedziła ją i dyskretnie dosypała coś do drinka, a potem zabrała klucze i przekazała Greenslade'owi, który wszedł do mieszkania, wstrzyknął Louise śmiertelną dawkę narkotyku i szukał dowodów.

– Wyobrażacie sobie jego zdumienie, gdy ich nie znalazł? – zauważyła Charlotte. – I jednocześnie panikę; otworzył walizkę, w której Louise trzymała swój egzemplarz materiałów na jego temat, ale był w takim stanie, że nawet tego nie zauważył.

– Interesowały go jedynie dowody z policyjnego pudła – stwierdził Max. – A nie jakaś tam mapa. Nawet nie raczył zajrzeć do kopert. Wiedział, że największym zagrożeniem dla niego jest właśnie pudło z dowodami. Madison miała mu pomóc w poszukiwaniach.

– Zakładał, że wiem, co Louise zrobiła z jego zawartością, ale ja zniknęłam – włączyła się Jocelyn. – Nikt nie wiedział, gdzie jestem. A potem wysłałam sygnał

alarmowy i Victoria i Emily rzuciły się do ucieczki.

– Madison pewnie szalała z nerwów – mruknęła Charlotte. – Pragnęła ich śmierci, bo wtedy zgarnęłaby całą pulę z Keyworth. Zdawała sobie jednak sprawę, że policja zacznie coś podejrzewać, gdy wszystkie umrą w podejrzanych okolicznościach, więc robiła wszystko, by podejrzania padły na ciebie i Emily.

– Jakim cudem tak szybko dopadła Victorię? – zdziwiła się Jocelyn.

– Victoria odzyskała przytomność i zaczęła mówić – wtrącił się Max. – I wynika z tego, że sama powiedziała Madison, dokąd się wybiera – do starej przyczepy ciotki na wybrzeżu. Madison pewnie chciała trochę odczekać, zanim zamorduje kolejną członkinię klubu, ale po rozmowie z nami zrozumiała, że musi działać szybko, więc wsiadła w samochód i pojechała na wybrzeże.

– Victoria wpuściła ją, bo myślała, że Benson przybywa z dobrymi wiadomościami – dodała Charlotte. – Podała kawę. Później już nic nie pamięta. Czyli Benson wsypała jej coś do kawy, a potem zmieniła ustawienia piecyka i wyjechała.

– Madison dorastała w takiej przyczepie – poinformowała Jocelyn. – Wiedziała, jak upozorować nieszczęśliwy wypadek.

– Ryzykowała – zauważył Anson. – Mogło się nie udać, ale wiedziała też, że gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, byłaby poza kręgiem podejrzanych. I prawie jej się udało. Gdyby Max i Charlotte przyjechali trochę później, Victoria Mathis umarłaby.

Daniel spojrzał na Maxa.

– Louise była dla mnie jak siostra. Dołączyła do klubu, bo chciała naprawiać zło tego świata. Pojechała wtedy do Loring, żeby zdobyć dowody przeciwko gwałcicielowi, zanim Roxanne Briggs zmieni zdanie. Później na pewno chciała przekazać wszystko pani Pruett.

– To możliwe – przyznał Max.

Nie będzie psuł chłopakowi wspomnień o kuzynce, stwierdził.

Jocelyn i Charlotte milczały.

– Dziękuję – powiedział Daniel. Wstał. – Odpowiedział pan na wszystkie moje pytania. Tylko o to mi chodziło. Obiecuję, że po sprzedaży mieszkania dostanie pan wynagrodzenie, ale to może trochę potrwać. Agent nieruchomości uprzedzał mnie, że ludzie niechętnie kupują mieszkanie, w którym ktoś umarł.

– Też tak słyszałem – mruknął Max. – Spokojnie, poczekam.

– Czas na mnie. – Daniel zerknął na zegarek. – Za dwadzieścia minut muszę być w pracy.

Max wstał, podszedł do drzwi, otworzył je, uściśnął dłoń Danielowi, a potem odwrócił się na pięcie i spojrzał na Charlotte i Jocelyn.

– Mój klient jest zadowolony – stwierdził. – Ale my nadal mamy kilka pytań.

– No właśnie – zawtórował Anson. – Na przykład, co, do jasnej cholery, Louise Flint zrobiła z tymi dowodami?

– Walsh mówi, że Trey Greenslade przeżyje – odezwała się Jocelyn. – I że trafi za kratki za zabójstwo Louise Flint i inne zbrodnie. Ale i tak chciałabym odnaleźć te dowody. Tam musi być coś, co dowodzi, że mnie zgwałcił, inaczej Briggs nie szantażowałby Gordona Greenslade’a przez tyle lat.

Max wrócił do biurka, wyjął mapę stanu Waszyngton, na której Louise zaznaczyła kilka miejscowości, i rozłożył ją.

– Oto, co wiemy – zaczął. – Daniel Flint twierdzi, że Louise nie miała żadnych znajomych czy krewnych między Loring a Seattle. Czyli między spotkaniem z Roxanne Briggs w Loring lub okolicach i powrotem do domu, w którym zginęła tego samego wieczora, zdołała ukryć gdzieś paczkę z dowodami.

Charlotte wpatrywała się w mapę z przechyloną głową.

– Między Seattle i Loring są tylko małe miasteczka. Z zapisu GPS nie wynika, żeby zjeżdżała z głównej trasy.

– Zapis z kamery przemysłowej z garażu w jej apartamentowcu dowodzi, że nie wyciągała niczego z samochodu – ciągnął Max. – Miała pusty bagażnik. W piwnicy nie było nic, tylko jej egzemplarz akt Greenslade’a.

– Do czego zmierzasz? – Jocelyn podniosła głowę.

– Do tego, że musiała się jednak gdzieś zatrzymać. Może instynkt podpowiadał jej, że pakuje się w coś bardzo niebezpiecznego. Może bała się, że Roxanne Briggs zmieni zdanie albo powie komuś, co zrobiła.

– Na przykład mężowi – mruknęła Charlotte.

Max spojrzał na Jocelyn.

– Może była przesadnie ostrożna. W każdym razie zatrzymała się gdzieś, żeby ukryć paczkę.

– Ale gdzie?

Max złożył mapę.

– Jocelyn, masz klucze do biura fundacji?

– Tak, a co?

– Idziemy.

Niedługo później stali przy biurku Jocelyn i przeglądali zawartość zaadresowanej do niej paczki.

– Nie ukryła niczego między Loring a Seattle – podsumował Max. – Powierzyła ją poczcie.

Jocelyn miała łzy w oczach.

– Była zaadresowana do mnie. Nie do niej, do mnie. Chciała mieć pewność, że trafi w moje ręce, gdyby jej się coś stało.

– Wtedy wiedziała już, że sytuacja jest poważna – dopowiedziała Charlotte.

– A także, że odbieram twoją pocztę i że nie chciałabyś, żebym się w coś

wpakowała.

– Przed wyjazdem do Loring przesłała mi zapasowe klucze – tłumaczyła Jocelyn. – Bo wtedy była ostrożna, ale jeszcze się nie bała, kiedy jednak przejęła paczkę z dowodami, zdała sobie sprawę, że to niebezpieczny towar i że ktoś może go szukać. Nie ufała zabezpieczeniom w blokach mieszkalnych, jakby nie było, nietrudno jest ominąć recepcję. Wiedziała za to, że tu, w fundacji, mamy świetne zabezpieczenia. Słusznie przypuszczała, że paczka będzie tu spokojnie czekała na mój powrót.

Charlotte uśmiechnęła się.

– Miałś rację. Louise nie planowała cię oszukać ani wykorzystać tego dla własnej korzyści. Była dobrą przyjaciółką.

– Owszem. – Jocelyn uśmiechnęła się przez łzy. – Ale wtedy, w piwnicy, mówiłam szczerze. To ty jesteś moją najlepszą przyjaciółką.

– Żadnych tajemnic? – upewniła się Charlotte.

– Żadnych tajemnic.

Rozdział 67

Max otworzył dwa piwa i postawił je na kuchennym stole. Usiadł naprzeciwko Ansona.

Starszy mężczyzna wziął jedną butelkę, upił spory łyk, odstawił i spojrzał na Maxa.

– Mówiłeś, że powiesz, jak się sprawy mają?

– Emily Kelly wyszła z ukrycia, cała i zdrowa. Zaszła się na wschodzie stanu, z dala od komputera i telefonu, ale podobnie jak Jocelyn śledziła rozwój sytuacji z komputera w bibliotece.

– A więc to już wszyscy – mruknął Anson z satysfakcją. – Poza Roxanne Briggs, która uciekła. Pewnie umiera ze strachu.

– Trey Greenslade i Nolan Briggs dochodzą do zdrowia. Obaj zasłaniają się prawnikami, ale obaj mówią.

– Chcą wytargować korzystne umowy. – Anson pokiwał głową.

– Tak jest. Pozostaje jeszcze kilka drobiazgów do wyjaśnienia, ale ogólnie sytuacja jest pod kontrolą.

– Gratulacje. – Anson stuknął butelką w butelkę Maxa. – Zawsze powtarzałem, że masz talent do ścigania drani i wyszukiwania tych, którzy wolą zniknąć.

– Dzięki. Niestety, ta sprawa nie zakończy się czekiem na okrągłą sumkę. Nie mogę nawet liczyć, że klient w pełni pokryje moje koszty, bo jednocześnie badałem inną sprawę.

– Szukałeś Jocelyn Pruett.

– No właśnie. Czyli wszystko sprowadza się do jednego: muszę mieć więcej zleceń firmowych. Korporacyjnych.

Anson zmrużył oczy.

– Na takie zlecenia nie masz szans w takim obskurnym biurze. Synu, ty nawet nie masz recepcjonistki.

– Wiem, że muszę mieć lepsze biuro. I ludzi. Ale na razie mnie nie stać ani na jedno, ani na drugie.

– Mógłbym ci trochę pomóc.

Max się uśmiechnął.

– Dzięki. To właśnie miałem zaproponować.

– Chcesz pożyczkę? Zaraz wypiszę ci czek.

– Nie, nie chcę pieniędzy. Potrzebuję recepcjonisty, żeby odbierał telefony, rozmawiał z klientami, prowadził akta.

Anson uniósł krzaczaste brwi.

– Masz kogoś konkretnego na myśli?

– Ciebie.

– Mnie? – Zdumiony Anson powoli odstawił butelkę.
– Ty potrzebujesz pracy, a ja kogoś do biura, kogoś, kogo nie muszę szkolić i nadzorować, kogoś, kto zna się na rzeczy. I przede wszystkim kogoś, komu mogę zaufać.

– Mnie – powtórzył Anson.

Z namysłem.

– A także kogoś, kto, przynajmniej dopóki firma się nie rozwinie, będzie pracował za grosze.

– Mnie – stwierdził Anson.

Tym razem z przekonaniem. Dalej sączyli piwo. W końcu Anson sięgnął po notes i długopis.

– Jutro zaczynam szukać lepszego biura – oznajmił.

Max się uśmiechnął.

– Dzięki. Pomogę ci.

– Nie – uciął Anson. – Musisz się skoncentrować na firmie. Odśwież stare znajomości z czasów profilingu. Zajmij się networkingiem.

– Networkingiem?

– A skoro o tym mowa, zatrudnij drugiego detektywa. Jednoosobowe agencje nie robią wrażenia na grubych rybach.

– Drugiego detektywa? A kto chciałby pracować w takiej małej firmie? Może kiedy rozwinę...

– Nie rozwiniesz, póki nie będzie was dwóch.

– Nie stać mnie na to.

– Więc zaproponuj mu udział w zyskach. Zrób go współnikiem, żeby też musiał ściągać nowych klientów.

– On? Masz kogoś konkretnego na myśli?

– Tak.

Anson mu powiedział.

– Hm. – Max się zamyslił. – Ciekawy pomysł. Że też sam na to nie wpadłem.

– Od tego masz recepcjonistę: żeby za ciebie wymyślał takie rzeczy.

– Skoro już mowa o wymyślaniu, chciałem cię o coś zapytać.

– Tak?

– Charlotte uważa, że nigdy nie przestanę myśleć o tym, co naprawdę stało się z Zaniem.

– I pewnie ma rację. Ani ty, ani Cabot, ani Jack. Bo widzisz, gdybyście przestali, nie byłibyście tak dobrzy w swoim fachu.

– Super. Chcesz powiedzieć, że dzięki obsesji jestem dobrym detektywem? Że zaburzenie osobowości pozwala mi lepiej pracować?

– Wszyscy trzej z pasją szukacie odpowiedzi na określone pytania. Jeśli

chcesz, nazywaj to obsesją. Ja wiem jedynie, że zawsze będziesz ich szukał, niech się dzieje, co chce.

– Charlotte twierdzi, że powinienem dać sobie więcej czasu na poszukiwania Zane’a.

– Ma rację – mruknął Anson. – Bo te pytania nie odejdą.

Rozdział 68

Kiedy następnego dnia Charlotte wychodziła z Deszczowych Ogrodów, siąpił lekki deszcz. Naciągnęła kaptur na głowę i szła do domu znajomą trasą.

W myślach planowała kolację, którą tego wieczora poda Maxowi. Po raz pierwszy cos mu ugotuje i chciała, żeby wszystko wypadło idealnie. W menu była zielona sałata i pieczony łosoś, skręciła więc na targ Pike Place, żeby kupić świeże produkty.

Kiedy wróciła do domu, na dworze zapadł wczesny jesienny zmierzch. Ciepłe światło ulicznych latarni odbijało się w mokrym chodniku, na szybach samochodów błyszczały krople deszczu.

Kocham to miasto, pomyślała. I Maxa. W Seattle wszystko było swojskie, domowe.

Przekręciła klucz w zamku i weszła do holu. Recepcja była pusta. Odźwierny skończył pracę na dziś.

Wjechała windą na dwunaste piętro, wysiadła, wędrowała długim korytarzem. Otworzyła drzwi do mieszkania, zapaliła światło, poszła do kuchni, położyła zakupy na blacie.

Już miała otworzyć lodówkę, kiedy poczuła ruch za sobą. Nagle zabrakło jej tchu, a puls przyspieszył dramatycznie. Za dużo wrażeń, pomyślała. Jestem ciągle spięta Muszę więcej medytować.

Ale instynkt wziął górę nad rozsądkiem. Odwróciła się gwałtownie, wbiła wzrok w ciemny salonik. W mroku ktoś się poruszył.

– Czekałam na ciebie – powiedziała Roxanne Briggs.

Światło z kuchni odbiło się w pistolecie w jej dłoni.

Charlotte starała się głęboko oddychać.

– Jak się tu dostałaś? – wykrztusiła.

– To nie było trudne. Przyszłam kilka godzin temu. Nie wiedziałam, kiedy wrócisz, rozumiesz, a chciałam być przed tobą. Powiedziałam temu miłemu panu na recepcji, że jestem twoją nową sprzątaczką i że nie mam klucza.

Roxanne nonszalancko wskazała pistoletem wiadro z mopem na podłodze. Charlotte dostrzegła też szczotkę.

– Uwierzył? – zapytała.

– Trochę to trwało, bo go nie uprzedziłaś, że dzisiaj zaczynam, ale kto by nie uwierzył zapracowanej sprzątaczkę? Poza tym miał pełne ręce roboty, akurat zaczęły się popołudniowe dostawy, robotnicy prosili o klucze. Chaos. Więc dał mi klucz, żeby się mnie pozbyć. Tak myślę.

– Czego ode mnie chcesz, Roxanne?

– Wszystko sobie przemyślałam – odparła. – I w końcu doszłam do wniosku, że to wszystko twoja wina. To ty wciągnęłaś w to tego cholernego detektywa. A

teraz mój syn przez ciebie trafi za kratki.

– Chyba nie obwiniasz Maxa i mnie za to wszystko, co się wydarzyło. To ty zabiłaś Gordona Greenslade’a, tak?

– Okłamał mnie – odparła Roxanne. Dłoń z pistoletem zadrżała. – Przez te wszystkie lata dochowałam tajemnicy. Obiecał mi, że zajmie się naszym synem.

– Byliście kochankami.

– Dawno temu, tak. Mówił mi, że mnie kocha, że odejdzie od żony i ożeni się ze mną. Ale już dawno przestałam w to wierzyć.

– Dlaczego po tylu latach postanowiłaś go zabić?

– Bo mój syn musiał znowu iść na odwyk, a Gordon nie chciał za to zapłacić. Wiesz, to bardzo drogie leczenie. Gordon zapłacił już dwa razy, ale przy trzecim odmówił. Powiedział, że nie obchodzi go, że powiem prawdę, bo i tak właśnie poznał kobietę swoich marzeń – w Internecie. Wyobrażasz to sobie?

– Słyszałam, że tak się zdarza.

– Opóźniony kryzys wieku średniego. Wiedziałam, że jeśli naprawdę chciał prysnąć z Loring i uciec od swoich zobowiązań, pewnie też zmieni testament. Nie mogłam na to pozwolić.

– Więc go zabiłaś, zanim to zrobił. Ale okłamał cię w sprawie testamentu, prawda?

Roxanne miała w oczach łzy wściekłości.

– Nolana nigdy nie było w jego testamencie. Wszystko zostawił temu drugiemu.

– Treyowi.

– Tak nie powinno być. – Roxanne chyba wzięła się w garść. – Mój Nolan ma takie samo prawo do pieniędzy Greenslade’a. Gdyby dorastał w takich warunkach jak Trey, nie sięgnąłby po narkotyki.

– Czyli zabiłaś Gordona Greenslade’a na darmo. Nolan nie dostał ani centa.

– Ani jednego. Nawet go nie uznał.

Dzwonek domofonu zaskoczył je obie.

– Kto to? – syknęła Roxanne.

– Max Cutler. Jest na dole. Wie, że jestem w domu. Muszę go wpuścić.

– Nie.

– Jeśli tego nie zrobię, nabierze podejrzeń. Uwierz mi, ściągnie tu policję i narobi zamieszania.

Roxanne zawahała się.

– No dobrze. Wpuść go.

Charlotte podniosła słuchawkę domofonu.

– Max?

– Mam wino. I nowiny.

– Wejdz. – Wcisnęła przycisk. – Mamy gościa.

– Kto to?

– Niespodzianka.

– Już idę.

Spojrzała na Roxanne.

– Poczekaj z opowieścią na niego. Przecież chcesz poznać naszą wersję, prawda?

Roxanne sama już nie wiedziała, czego chce. Po chwili rozległo się pukanie do drzwi. Drgnęła.

– Otwórz – poleciała. Dłoń z pistoletem zadrżała. – No, już.

Charlotte wstrzymała oddech, idąc do drzwi. Uchyliła je. Max stał na progu. W jednej ręce miał butelkę wina, w drugiej pistolet, ukryty za udem. Patrzył na nią bardzo chłodno.

– Kto? – zapytał cicho.

– Roxanne Briggs – odparła, siląc się na spokojny ton. – Opowiada mi, jak wszystko legło w gruzach.

– Ma broń? – zapytał bezgłośnie.

Skinęła głową, odwróciła się i poszła do saloniku. Max wsunął pistolet do kieszeni i nonszalancko oparł dłoń na rękojęści.

– Witaj, Roxanne – zaczął, jakby nie widział broni w jej ręce. – Wszystko w porządku?

– Ani kroku dalej – sapnęła nerwowo. – Bo strzelam, przysięgam.

– Dobrze.

– Roxanne właśnie mi opowiadała, że rozpaczliwie potrzebowała pieniędzy na odwyk dla syna – poinformowała Charlotte. – Miałaś rację. Nolan to syn Gordona Greenslade’a.

– Zastrzeliłam kłamliwego drania, bo przed laty obiecał, że mój syn dostanie swoją część majątku Greenslade’ów – wychrypiała Roxanne.

– Ale cię okłamał – zakończył Max. – Dlatego postanowiłaś sprzedać zawartość pudełka z dowodami? Żeby wysłać Nolana na odwyk?

– Nie miałam wyboru – szepnęła. – Egan od lat doił Gordona, grożąc, że pudełko z dowodami nagle wypłynie na powierzchnię, na przykład ktoś znajdzie je w starej szafie czy coś takiego. Ale tak naprawdę trzymał je w naszej piwnicy.

– Gordon Greenslade przez te wszystkie lata płacił mu za milczenie? – upewniła się Charlotte. – Żeby chronić Treya?

– Nie. – Roxanne pokręciła głową. – Gordon Greenslade miał w nosie swoich synów. Obchodziła go tylko reputacja rodziny, przynajmniej do chwili, gdy oszalał i postanowił uciec z kobietą z portalu randkowego.

– Twój mąż wiedział, że zabiłaś Gordona? – zapytała Charlotte.

– Nie, skądże. Egan nie sądził, że jestem do tego zdolna. I nie wiedział, że mam motyw.

– Czyli nie podejrzewał, że Nolan nie jest jego synem?

– Nie. – Roxanne uśmiechnęła się chłodno. – Dotrzymałam słowa. Obiecałam Gordonowi, że nie pisnę nikomu, pod warunkiem, że uwzględni Nolana w testamencie. Prosiłam go o pieniądze, tylko kiedy Nolan musiał iść na odwyk. Egan nie chciał tego opłacić, więc poszłam do Gordona. Dwa razy się zgodził i wszyscy, łącznie z Eganem, myśleli, że to gest dobroczynności. Gordon chełpił się swoją dobrocią, bo dzięki temu robił wrażenie na mieszkańcach.

– Trey płacił dalej, po śmierci ojca – domyśliła się Charlotte.

– Tak. Egan nawiązał z nim kontakt, anonimowo, i Trey początkowo płacił. Ale wiedziałam, że jest o wiele bardziej niebezpieczny niż jego ojciec.

– Egan wiedział, że Trey przeszedł od gwałtów do morderstw?

– Oczywiście. Jedno trzeba Eganowi przyznać – był naprawdę dobrym policjantem. Cały czas miał Treya na oku. Spisywał wszystkie przypadki gwałtu przypominające napaść na Jocelyn Pruett. Egan szybko skojarzył, że Trey zmienił więzy na narkotyki, żeby unieruchomić ofiarę i zadbać, by nie mogła go zidentyfikować. Ostatnio doszedł do wniosku, że Trey zaczął je zabijać.

– Zaczęło się po śmierci jego ojca, prawda? – mruknął Max.

– Tak. – Roxanne zmarszczyła brwi. – Dziwnie to zabrzmiało, ale wydaje mi się, że w głębi serca Trey bał się swojego ojca. Ale po śmierci Gordona ktoś zdjął pokrywę z parującego gara.

– Egan wiedział, że w pudełku, które zabrał na spotkanie z Treyem, są stare gazety?

– Skądże. – Roxanne była wyraźnie zdegustowana. – Stary kretyń nawet do niego nie zajrzał. Niby po co? Bardzo mu się wtedy spieszyło. Pobiegł do piwnicy, zabrał pudełko i wstawił do samochodu. Wydawało się pełne, bo kiedy zabrałam dowody, wsadziłam tam stare gazety i książki i zakleiłam tak samo jak Egan, kiedy ostatnio dokładał nowe haki na Treya.

– Bałaś się Treya Greenslade'a, choć wiedziałaś, że zapłaci za wszystko – domyślił się Max – więc skontaktowałaś się z Jocelyn Pruett. I trafiłaś na Louise.

– Na taki towar nie ma wielkiego zbytu – mruknęła Roxanne. – Tak, Louise odebrała telefon, powiedziała, że Jocelyn wyjechała na miesiąc, że jest jej najlepszą przyjaciółką i że wie, że Jocelyn chętnie kupi wszystko, co mam do sprzedania. Rzuciłam cenę – dziesięć tysięcy. Louise zaakceptowała cenę i umówiła się ze mną za kilka godzin.

– Dziesięć tysięcy wystarczyłoby na odwyk dla Nolana – mruknął Max.

– Tak. Umówiłam się z tą Flint w knajpie pod Loring. Dała mi pieniądze, a ja jej zawartość pudełka. I na tym miało się skończyć, ale niestety, wszystko się posypało.

Zaczęła płakać. Szlochała tak rozpaczliwie, z takim przejęciem, że nawet nie zauważyła, kiedy Max podszedł do niej i wyjął jej pistolet z dłoni.

Charlotte dotknęła jej barku. Roxanne, oślepiona łzami, odwróciła się do niej. Charlotte objęła ją. Roxanne szlochała coraz bardziej.

Max obserwował je w milczeniu. Odezwał się dopiero, gdy Roxanne odzyskała panowanie nad sobą.

– Zastanawialiśmy się nad jednym – mruknęła Charlotte. – Jakim cudem Trey tak szybko wiedział, że Louise pojechała do Loring po dowody? Dowiedział się tego samego dnia i z pomocą Madison Benson, zamordował ją tego samego wieczora.

Roxanne podniosła głowę.

– Mówiłam, że na taki towar jest mały zbyt.

– No tak. W sumie tylko dwie osoby – Trey i moja siostra.

– Nie. Był ktoś jeszcze. I do niej zadzwoniłam najpierw – wyznała Roxanne.

– Marian Greenslade, babka Treya? – domyślił się Max.

– Tak. – Roxanne otarła łzy skrajem flanelowej koszuli. – Poszłam do niej, jak matka do matki. Myślałam, że zapłaci, chcąc chronić dobre imię syna, rodziny, zwłaszcza że Trey miał stanąć za sterami rodzinnej firmy. Wszyscy wiedzieli, że to jej ukochany wnuk.

– Ale się myliłaś – stwierdził Max.

– Marian Greenslade kazała mi iść do diabła. Zagroziłam, że jeśli nie zapłaci, przekażę wszystko ofierze, Jocelyn Pruett.

– Ale Marian Greenslade nie dała się zastraszyć – powiedziała Charlotte..

– Nie dała – przyznał Max. – Właśnie to miałem ci powiedzieć. Dzwonił Walsh z rewelacjami z zeznań Treya. Po wyjściu Roxanne babka zadzwoniła do niego i kazała mu posprzątać bałagan, którego narobili z ojcem, bo inaczej może się pożegnać z marzeniami o Loring-Greenslade.

Rozdział 69

Kiedy policjanci wyprowadzili Roxanne Briggs, Charlotte przypomniała sobie o świeżutkiej sałacie i łososiu, ale nie miała ochoty na gotowanie, więc otworzyła butelkę wina i zamówiła pizzę.

Siedzieli z Maxem przy stole i rozmawiali.

– Co będzie z Roxanne? – zapytała.

– Przekazą ją policji z Loring. Na razie pilnują, żeby sobie czegoś nie zrobiła. Rozmawiałem z Walshem, jutro po nią przyjadą.

– Miałaś rację, kiedy mówiłaś, że kiedy dowiemy się, od czego wszystko się zaczęło, kawałki łamigłówki trafią na miejsce.

Skinął głową i upił łyk wina.

– Tak zazwyczaj jest.

– Tęsknisz za małżeństwem?

Znieruchomiał z pizzą w ustach, zaskoczony jej pytaniem.

Nie dziwiła mu się. Sporo ją kosztowało, by poruszyć ten temat, i koniec końców nie wyszło to szczególnie elegancko.

– Tęsknię za małżeństwem takim, jakie sobie wymarzyłem – odparł.

Ostrożny, pomyślała. Jak ona.

Uśmiechnęła się.

– Romantyk z ciebie.

Roześmiał się, sprowadzając rozmowę na ziemię.

– Przepraszam, ale totalnie źle mnie zrozumiałaś – powiedział. – Kiedy mówiłem, że tęsknię za małżeństwem, jakie sobie wyobrażałem, miałem na myśli te najnudniejsze aspekty. Kanapkę z tuńczykiem i piwo w domu, a nie kolację na mieście. Nie lubię imprez. Nie lubię dramatów.

– Zrozumiałe.

Zastygł z kawałkiem pizzy w dłoni.

– Tak?

– Oczywiście. W twojej pracy masz pewnie dość dramatów i melodramatów. I sporo frustracji.

– To też – przyznał. – Ktoś każe ci znaleźć odpowiedzi, a potem nie chce przyjąć ich do wiadomości.

– Ale ty i tak ich szukasz.

– Tak. Klasyczna definicja szaleństwa, wiem. Robisz w kółko to samo i liczysz, że skutek będzie inny.

Pochyliła się, sięgnęła po pizzę.

– Więc dlaczego w ogóle zostałeś profilerem? A teraz otwierasz własne biuro detektywistyczne?

– Pewnie dlatego, że jestem w tym dobry. I tylko w tym.

Wbiła zęby w pizzę.

– I nic innego cię nie interesuje.

– To też – przyznał. Przyglądał się jej nieprzeniknionym wzrokiem. – A skoro o mojej firmie mowa. Recepcja już nie będzie pusta.

– Zatrudniłeś recepcjonistkę? Jaka jest? Słodka? Śliczna? Mam być zazdrosna?

– Raczej nie. To Anson.

– Och. – Przemysłała to. – Świetny pomysł.

– On potrzebuje zajęcia, a ja kogoś w biurze. Wszyscy są zadowoleni.

Uśmiechnęła się.

– Tak.

– Szukam nowego biura. I będę miał współnika.

– Tak? Kogo?

– Jednego z moich przyrodnych braci, Cabota Suttera. Już z nim rozmawiałem. Był szeryfem w Oregonie, ale teraz, po różnych wydarzeniach, szuka odmiany. I chyba chciałby spróbować w Seattle w nowej branży.

Uśmiechnęła się.

– Innymi słowy, twoja firma się rozrasta. Podwaja, nie, potraja liczbę zatrudnionych.

– Co nie znaczy, że w tym samym tempie wzrośnie liczba zleceń – zaznaczył.

– A ja myślę, że tak – odparła z błogą pewnością. – Więc mając tyle roboty, pewnie nie zdążysz zatęsknić za małżeństwem – takim, jakie sobie wymarzyłeś.

Odsunął od siebie talerz, skrzyżował ręce na piersi.

– Słuchaj, może się mylę, ale jakkolwiek by na to patrzeć, jako genialny detektyw, muszę przyznać, że nie bardzo wiem, do czego zmierza ta rozmowa.

Upiła łyk wina, odstawiła kieliszek i spojrzała mu w oczy.

– Zastanawiam się po prostu, czy kiedyś, w przyszłości, rozważałbyś ewentualnie ponowne małżeństwo.

– Rozważam je, odkąd wysiadłem z windy w bloku Louise Flint i zobaczyłem cię w holu.

Wstrzymała oddech.

– Naprawdę?

– Naprawdę. A ty? Rozważasz małżeństwo?

Chciało jej się płakać z emocji.

– Tak, tak, z tobą, zdecydowanie tak. To znaczy, oczywiście jest za wcześnie, żebyśmy mieli absolutną pewność.

– Oczywiście.

– Wiele razem przeszliśmy. Musimy się dobrze poznać, zanim podejmiemy jakiegokolwiek decyzje.

– Innymi słowy, chcesz wiedzieć, czy zanudzę cię na śmierć – mruknął.

– Nie, wcale nie o to mi chodzi.

Wstał, podszedł do niej, wziął za ramiona i pociągnął w górę.

– Oboje się sparzyliśmy i oboje wolimy się nie spieszyć. Ale wróćmy do pierwszego pytania. Moja odpowiedź brzmi: tak, biorę pod uwagę małżeństwo z tobą.

– A ja z tobą.

– I na dzisiaj na tym poprzestańmy.

Zarzuciła mu ręce na szyję.

– Na dzisiaj tak – mruknęła.

– Nie zmienię zdania – zapewnił.

– Ja też nie.

Rozdział 70

Obudził go szmer deszczu za oknem. Było jeszcze ciemno, ale świt już nadchodził, czuł to. Przewrócił się na bok i przyciągnął Charlotte do siebie.

Przeciągnęła się leniwie.

– Już rano?

– Prawie. – Wsparł się na łokciu, pocałował jej wzburzone włosy. – Zastanawiałem się.

– Nad firmą?

– Nie, nad nami. Wyjdiesz za mnie?

Odwróciła się i otworzyła oczy.

– Mieliśmy się nie spieszyć. Poznać się lepiej.

– Już cię znam – odparł.

Uśmiechnęła się i dotknęła jego policzka opuszkami palców.

– Naprawdę?

– Mówiłem ci, że moja praca opiera się na założeniu, że ludzie się nie zmieniają, nie w głębi serca. Teraz jesteś kobietą, z którą chcę się ożenić, i zawsze nią będziesz.

– Chcesz powiedzieć, że jestem przewidywalna?

– Nie, że cię kocham.

– To się dobrze składa, bo ja ciebie też. Ale to już pewnie wiedziałeś. Bo skoro jestem taka przewidywalna i tak dalej?

Uśmiechnął się.

– Czasami trzeba to usłyszeć.

– Tak.

Przeciągnęła go do siebie i pocałowała.

Rozdział 71

Max zatrzymał się na chodniku przed restauracją.

Charlotte spojrzała na niego.

– Nie musisz tego robić.

– Ja tak, ale wy nie. Nie musicie tam ze mną wchodzić.

– Jak to nie – burknął Anson. – Jesteśmy rodziną.

– No właśnie – zawtórowała Charlotte. Zerknęła na swoją dłoń. Nikła w dłoni Maxa, tak że nie widziała pierścionka zaręczynowego. Spojrzała mu w oczy.

– Takich rzeczy nie robi się samemu.

– No właśnie. – Znowu Anson.

– Coś jeszcze trzeba wziąć pod uwagę – dodała Charlotte. – Twoje rodzeństwo jest zapewne ciekawe nieznanego brata, ale pewnie też czują się nieswojo. Może mają wyrzuty sumienia.

– Niby dlaczego? – zdziwił się Max.

– Może się obawiają, że masz do nich żal, że mieli ojca, a ty nie – odparła.

– Mylą się. – Max spojrzał na Ansona. – Miałem idealnego ojca.

Charlotte uśmiechnęła się.

– No właśnie. I to musimy im pokazać.

Anson burknął coś pod nosem, ale był wyraźnie zadowolony.

– Robimy to czy nie? – sapnął. – Czy będziemy tu sterczeć, aż znowu zacznie padać?

– Miejsmy to z głowy – mruknął Max.

Otworzył drzwi i pierwszy wszedł do zatłoczonej restauracji. Cały czas ścisnął Charlotte za rękę, jakby miała przynieść mu szczęście.

Niemal od razu zobaczyła dwie osoby, z którymi mieli się spotkać. Od stolika, przy którym siedział przystojny ciemnowłosy mężczyzna i młodsza o kilka lat kobieta, było niemal namacalne napięcie. Stały przed nimi kubki z kawą, ale nie jedli.

Wiedziała, że Max też ich zobaczył. Znieruchomiał.

Anson spojrzał w tamtą stronę bystrym wzrokiem policjanta.

– To pewne oni – stwierdził.

Max milczał. Ruszył w tamtym kierunku.

Ciemnowłosy mężczyzna siedział twarzą do drzwi. Zobaczył ich, powiedział coś do kobiety. Odwróciła się przez ramię. Była spięta i zdenerwowana.

Mężczyzna wstał. Miał tę samą sylwetkę co Max i podobne złotobrazowe oczy. Był spięty, ale zdecydowany.

– Max Cutler? – upewnił się.

– Tak.

– Ryan Decatur. A to moja siostra, Brooke. Dzięki, że zgodziłeś się z nami

spotkać.

– Dzięki, że przyjechaliście z Portland.

Wyciągnął rękę.

Ryan odetchnął z ulgą. Ścisnął jego dłoń.

– A to moja rodzina – ciągnął Max. – Charlotte Sawyer, moja narzeczona, i Anson Salinas, mój ojciec.

– Bardzo nam miło – zapewniła Brooke. – Zjecie z nami lunch? Chyba że wolicie tylko napić się kawy.

Przygotowana na odmowę.

– Lunch to dobry pomysł – zdecydował Max.

– To prawda – zawtórowała mu Charlotte.

– Najwyższy czas, żeby ktoś coś powiedział o jedzeniu – huknął Anson. – Jakby nie było, jesteśmy w knajpie.

Zaczęli siadać i koniec końców po jednej stronie siedzieli Brooke i Ryan, po drugiej Charlotte i Max, a dla Ansona kelner przyniósł dodatkowe krzesło. W oczach postronnych wyglądał jak rodowy patriarcha, stwierdziła Charlotte.

Zamówili jedzenie i nagle pękły bariery. Rozmawiali o wszystkim, tylko nie o przeszłości. O korkach na autostradzie, o pogodzie, o rozwoju Seattle. Ryan i Brooke zasypywali Maxa pytaniami. Odpowiadał cierpliwie.

– Naprawdę byłeś profilerem? – dopytywała się Brooke.

– Jak to jest być detektywem? – chciał wiedzieć Ryan.

Brooke spojrzała Maxowi w oczy.

– Nie wiem, jak ci dziękować. Nie wybaczyłabym sobie, gdyby ten oszust Simon Gatley przeze mnie wdarł się do naszej rodziny.

– Daj spokój – mruknął. – Prędzej czy później byście się zorientowali.

– Raczej później – zauważył Ryan. – O wiele za późno. Gatley był dobry, trzeba mu to przyznać. Oszukał nawet tatę.

– Początkowo tata nie wierzył w to, co usłyszał od prawnika o Gatleyu – dodała Brooke. – Wiedział, że to informacje od ciebie, i nie przyjmował ich do wiadomości. Twierdził, że masz ukryty cel.

– Ale jest biznesmenem z krwi i kości i nie mógł tego tak zostawić – ciągnął Ryan. – Stale współpracuje z firmą detektywistyczną i chciał, żeby sprawdzili Gatleya. Potwierdzili twoje rewelacje. Nie do wiary, że tak długo uchodziło mu to płazem.

– Nadal mu uchodzi, z tego co wiemy – wtrąciła się Brooke. Pokręciła głową. – Wymknął się. Wolę nie myśleć, ile osób jeszcze nabierze, zanim ktoś go wreszcie przyłapie na gorącym uczynku.

– Brooke bała się, że dzisiaj nie przyjdiesz – wyznał Ryan. – A ja, że będziesz zły.

– Nie – zapewnił Max. – Ciekawy, owszem, ale nie zły.

– Przykro mi, że tata z nami nie przyjechał – szepnęła Brooke. – Wiem, że jest ci wdzięczny, bo ustrzegłeś nas przed Gatleyem. Ale szczerze mówiąc, nie może się odnaleźć w tej sytuacji. Mama radzi sobie o wiele lepiej. Mówiła mu, że powinien tu z nami przyjechać.

– Może tak będzie lepiej – rzekł Max.

– Jego strata – dodała Brooke.

– Albo i nie – szepnął Ryan.

Wpatrywał się w drzwi restauracji. Charlotte i pozostali podążyli za jego wzrokiem.

Do ich stolika zmierzał siwowłosy mężczyzna o nieprzeniknionym wyrazie twarzy. Szedł zdecydowanym krokiem, jakby nie do końca był pewny, co go czeka na końcu drogi, ale jednocześnie wiedział, że musi ją przejść. Krok za krokiem, pomyślała Charlotte. I uśmiechnęła się pod nosem.

– Nie wierzyłam, że zmieni zdanie – szepnęła Brooke. – Chyba wsiadł w samochód zaraz po nas.

Anson odsunął się z krzesłem, tak żeby Max mógł wstać.

Davis Decatur zatrzymał się przy nim.

– Chciałem ci podziękować za wszystko, co zrobiłeś – zaczął. – Nie byłeś nam... mnie... niczego winien.

Wyciągnął rękę.

Max uścisnął ją.

– Nie ma sprawy.

To był trochę drętwy uścisk, ale zawsze lepsze to niż nic, stwierdziła Charlotte.

– Zrobił to, bo to w sumie jego zawód – zauważył Anson.

– Rozumiem – mruknął Davis. Zmierzył Ansona wzrokiem. – A pan to...?

– Anson Salinas – odpowiedział Max głosem pełnym dumy. – Mój ojciec.

– Rozumiem. – Davis wyciągnął do niego rękę. – O ile mi wiadomo, Max stracił matkę jako mały chłopiec. Miał szczęście, że spotkał pana.

– To nie tak – odparł Anson i podał mu rękę. – To ja miałem szczęście. Przy stole jest mnóstwo miejsca. Zje pan coś?

– Tak. – Davis się uśmiechnął do Brooke i Ryana i wrócił spojrzeniem do Maxa. – Chętnie. To była długa droga.

Rozdział 72

Charlotte siedziała w sali kominkowej w towarzystwie grupki mieszkańców oczekujących na happy hour. Nagle po sali rozszedł się szept. Podniosła głowę i zobaczyła Maxa w progu.

Uśmiechnęła się. Jego oczy, zazwyczaj chłodne i nieprzeniknione, płonęły; nie tyle namiętnością, choć ona też w nich była, ile nadzieją, miłością.

Już zawsze tak będzie, stwierdziła. Poczucie więzi nie zniknie. To nie był tylko skutek uboczny niebezpiecznych przeżyć. Była między nimi od początku, z czasem tylko nabierała mocy.

Mieszkańcy witali go entuzjastycznie. Znali go coraz lepiej.

– Gotowa? – Spojrzał na nią.

Zerknęła na zegarek.

– Tak, tylko zabiorę moje rzeczy.

Ted Hagstrom, inżynier, mrugnął znacząco.

– Macie plany na wieczór, co?

Pozostali zachichotali.

– Owszem, i to jakie! Będziemy wybierać farby – odparł Max. – Czeka nas remont domu.

– Czekam w holu – rzuciła Charlotte.

– Dobrze.

Odsunął się, przepuścił ją, a potem, kiedy wyszła, wrócił do rozmowy z rezydentami, którzy koniecznie chcieli podzielić się z nim dobrymi radami na temat remontów i historiami o ekipach z piekła rodem.

Szła korytarzem do swojego kantorka, po kurtkę i torebkę.

W holu spotkała kogoś znajomego – Richard, syn Ethel Deeping, uśmiechał się do niej serdecznie.

– Dzień dobry – zaczął i zaraz spoważniał. – Czytaliśmy w gazecie o porwaniu, a mama opowiedziała resztę. Co za koszmar.

Charlotte uśmiechnęła się.

– Wie pan, że pana mama uratowała mi życie? I mojej siostrze.

– Mama wspominała, że sfotografowała samochód porywaczy, i pani narzeczony dzięki temu odnalazł bandytów.

– Tak jest. Jesteśmy jej bardzo wdzięczne. Ethel zachowała się jak bohaterka.

Richard się uśmiechnął.

– Była zachwycona całą sprawą. I bardzo jej się podoba pani nowy narzeczony. Mówi, że wesele będzie w Deszczowych Ogrodach. Bardzo się cieszy na tę uroczystość.

– Ja też – zapewniła Charlotte. Odwróciła się i zobaczyła Maxa. –

Przedstawiam panu mojego narzeczonego. Max, to Richard Deeping, syn Ethel.

Mężczyźni uścisknęli sobie dłonie.

– Bardzo mi miło – powiedział Max. – Ethel była wspaniała, zrobiła zdjęcia i zawiadomiła mnie o porwaniu. Nie wiem, jak jej dziękować. Niedawno byliśmy z nią na kolacji. Chciała poznać całą historię.

Richard zachichotał.

– Będzie rozprawiła o tej kolacji i całej sprawie przez długi czas, uwierzcie mi. Cieszę się, że mogła wam pomóc. To z pewnością będzie ważny rozdział w jej pamiętniku.

Charlotte głęboko zaczerpnęła tchu. To idealna okazja, by delikatnie uprzedzić rodzinę Ethel, czego mogą się spodziewać we wspomnieniach nestorki rodu. Rozejrzała się, żeby się upewnić, że nikt ich nie usłyszy.

Spojrzała na Richarda.

– Ma pan chwilę, żeby porozmawiać o jej wspomnieniach?

Oczy mu rozbłyły.

– Oczywiście. Superzajęcia. To świetny pomysł, warto spisać ich wspomnienia, póki są z nami, prawda? Wraz ze starszym pokoleniem odchodzi kawał historii. Dobrze, że mama ma taką dobrą pamięć.

– O tak – mruknęła Charlotte. – Ethel ma dobrą pamięć i bujną wyobraźnię.

Max zerknął na nią z ukosa.

– Charlotte, może lepiej nie. Historia rodziny Deeping może być bardziej skomplikowana, niż ci się wydaje.

Richard uniósł brew.

– Co to ma znaczyć?

Max skrzywił się. Charlotte nie zwracała na niego uwagi.

– Chodzi o to, że pana mama nieco... koloryzuje – zaczęła. – Proszę się nie dziwić, czytając... co bardziej fantazyjne fragmenty.

– Co wymyśliła? – zainteresował się Richard.

Max pokręcił głową, ale uznał, że już za późno. Milczał.

– Chodzi głównie o rozdział o jej małżeństwie – tłumaczyła Charlotte. – Opisuje pana ojca w samych superlatywach, wspomina, że był świetnym biznesmenem, że działał na rzecz lokalnej społeczności, podkreśla, że był dobrym obywatelem i że świetnie grał w golfa.

Richard skinął głową.

– Wszystko prawda, o ile mi wiadomo. Ale kiedy umarł, byłem mały, miałem dziewięć lat, więc niewiele pamiętam. Moja siostra miała ledwie siedem. I dlatego tak bardzo nas interesują wspomnienia mamy.

Charlotte odchrząknęła.

– One są... dość kontrowersyjne. Bo widzi pan, problem w tym, że po peanie na cześć pana ojca opisuje, jak go, no cóż, zabiła.

Richard przyglądał się jej z nieprzeniknioną miną.

- Napisała to?
- Niestety. Uważa, że to bardziej dramatyczne.
- A niech mnie. – Richard się uśmiechnął. – A wspomina, jak to zrobiła?
- O ile pamiętam, twierdzi, że wsypała mu jakieś leki do owsianki tego dnia, gdy zmarł na polu golfowym.
- Więc to tak. – Richard pokiwał głową. – Zawsze nas intrygowało, jak to zrobiła. Nikt nie kwestionował, że umarł na serce, no ale mama była pielęgniarką, wiedziała, jak upozorować zawał.

Teraz to Charlotte zamurowało.

- Jak to?
- Napisała prawdę – wyjaśnił Richard. – W oczach sąsiadów ojciec był idealnym mężem i ojcem. Tylko że w domu był potworem.
- Rozumiem – szepnęła. Nic innego nie przychodziło jej do głowy. Może czas posłuchać Maxa i się zamknąć.
- Mama chciała nas zabrać i odejść, ale drań groził, że nas wszystkich pozabija, jeśli to zrobi. I spełniłby tę groźbę. Aż tu pewnego dnia sam padł trupem na polu golfowym. Wtedy tego nie rozumieliśmy, a mama nigdy o tym nie mówiła. Ale z czasem dodaliśmy dwa do dwóch.
- Pana matka naprawdę zamordowała męża? – wykrztusiła Charlotte.
- Prawdopodobnie. Nikt inny się nami nie przejmował, ba, nikt nie uwierzyłby, że coś jest nie tak. Zakaz zbliżania się byłby bezwartościowy. Więc mama zrobiła, co mogła, żeby nas chronić.
- O rany – sapnęła.

Widziała, że Max przygląda się jej z rozbawieniem, jakby chciał powiedzieć: a nie mówiłem? Udawała, że tego nie widzi.

Richard spojrzał na nią.

- Rodzinny sekret. To jakiś problem?
- Nie – zapewniła. Zerknęła na Maxa. – Prawda?
- Skądże. Zresztą podobno we wspomnieniach zawsze jest trochę fikcji.
- No właśnie. Całe mnóstwo. Wszyscy to wiedzą.
- Też tak słyszałem – uśmiechnął się Richard. – Idzie mama. Do zobaczenia.
- Miłego wieczoru – zawołała za nim Charlotte. Czuła, że głos jej drży.
- Wzajemnie – odparł Richard. – Zabieram mamę na urodziny jednego z wnucząt. Uwielbia przyjęcia.

Podszedł do Ethel.

Charlotte łypnęła na Maxa.

- Wiedziałeś, że napisała prawdę?
- Domyślałem się. Ethel Deeping to kawał twardzielki.
- Pewnie kiedyś wyda mi się to bardzo zabawne – mruknęła.

– Pewnie tak. Idziemy do domu oglądać próbki farb?

Wzięła go za rękę.

– Nie mogłabym wyobrazić sobie nic bardziej przyjemnego.

